



Zabawne przygody dziennikarki w świecie mody i urody!

KARIERA, MĘŻCZYŹNI, SEKS, MIŁOŚĆ

Truskawki z szamponem

Katarzyna Gryniewicz

Poliszynski i S-ka



Katarzyna Gryniewicz (ur. 1973) – dziennikarka, pracowała w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach. Od pięciu lat mieszka na obczyźnie. W Paryżu organizowała sesje mody, w Londynie pisze do gazet polskich i zagranicznych. Miłośniczka Warszawy i Traktu Królewskiego, czasem myśli o powrocie.

Co kryje się pod lakierowaną okładką magazynu dla kobiet? Nieco mniej błyszcząca rzeczywistość. Autorka zna ją dobrze i uchyla czytelnikom rąbka tajemnicy. Jej satyra na środowisko to eksplozja ironicznego humoru. Rodzimy diabeł nie ubiera się u Prady, maluje się używanymi kosmetykami, a na bankietach jest skupiony niczym pilot myśliwca.

Dwudziestodwuletnia Joanna, dotychczas pisząca do dziennika, rozpoczyna pracę w miesięczniku dla kobiet. Postanawia zostać świetną dziennikarką piszącą o urodzie. Tymczasem jej chłopak otrzymuje propozycję pracy w Londynie. Mimo to Joanna zostaje w kraju, by zrobić karierę. Krok po kroku obserwujemy jej wkraczanie w świat kobiecego piękna – sposób poznawania opisywanych kosmetyków, udział w konferencjach, redakcyjną atmosferę, kontakty z firmami kosmetycznymi, wizażystami i fotografami.

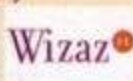
Cena 24 zł
ISBN: 978-83-7648-099-2

9 788376 480992
www.proszynski.pl

Patronat medialny



tu i portal dla kobiet



KosmetykaProfesjonalna.pl



Truskawki z szamponem

Katarzyna Gryniewicz

Prószyński i *S-ka*

Copyright © Katarzyna Straszewicz, 2009

Projekt okładki Izabella Marcinowska www.zielonykot.com

Zdjęcie na okładce © Galvezo/zefa/Corbis

Redakcja Jan Koźbiel

Korekta Mariola Będkowska

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-099-2

Warszawa 2009

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca S.A.

30-011 Kraków, ul. Wrocławska 53

Kurtyna uchylona

Drogie koleżanki, przypomnijcie sobie ostatnią wizytę w perfumerii. Pamiętacie pewnie rozkosz, z jaką nabieracie na koniuszek palca odrobinę białej substancji i wolno, żeby ta chwila trwała jak najdłużej, rozsmarowujecie na wierzchu dłoni. Skóra w tym miejscu robi się gładka jak jedwab, a przynajmniej tak wam się wydaje. Masujecie dłoń z lubością i podnosicie do nosa. Pachnie delikatnie, ciepło, znajomo - jak ulubione cukierki - a jednocześnie bardzo luksusowo i niedostępnie... z tej zadumy wyrывa was natrętny głos sprzedawczynie: - Może pani w czymś pomóc? - Nacisk na „może” nie pozostawia wątpliwości, że jest to pytanie retoryczne. Złe i speszone podnosicie wzrok, a potem szybko chowacie rękę za siebie. Teraz trzeba wymyślić jakiś powód wizyty w tej świątyni wachania, w tym skarbcu kobiecych marzeń. Czy musi być jakiś powód? - Ja tak tylko... oglądam - próbujecie zbyć natrętną sprzedawczynię. Ale gdzie tam, nie da rady. Zaraz pojawia się sakramentalne: - Czego pani szuka? - Dlaczego sprzedawczynie zawsze zakładają, że przychodzicie do perfumerii z planem w ręce, ze sprecyzowaną wizją swoich potrzeb? Tak, jak idzie się po jarzyny na targ: potrzebuję kilo pomidorów, bo zamierzam ugotować pomidorową. Coś tam mamrocze pod nosem o strasznie suchej skórze i problemach z alergią, ale oczy niespokojnie błędzą po półkach. Niech baba wreszcie się odczepi, żeby można było podotykać jeszcze tych wspaniałości, wysmarować ręce wszystkimi kremami z testerów, wypachnić

sobie rękawy aż po same łokcie, udając, że pryska się perfumami na papierowe paski.

Nic z tego, sprzedawczyni wisi na ogonie, chodzi za wami krok w krok, pilnując, żebyście niczego nie dotknęły bez jej pomocy. Teraz trzyma w ręce jakiś słoiczek i tonem nieznoszącym sprzeciwu informuje, że to jest krem dla was. Sięga do szuflady i wyjmuje taki sam krem, tyle że zapakowany w celofan, na którym widnieje cena z dużą cyfrą na początku i kilkoma zerami. Zachowuje się tak, jakby decyzja o zakupie została już podjęta. Magiczny nastrój pryska, teraz myślcie już tylko o tym, jak się wykręcić i zwiać. Właśnie, uciec jak najszybciej albo jeszcze lepiej rozpląnąć się w powietrzu, tak żeby nic nie trzeba było wyjaśniać.

Taaak, wizyty w perfumerii bywają stresujące. Gdyby tak można było dać się zamknąć w niej po godzinach, to by dopiero był raj - sam na sam z tonami kosmetyków, bez tych brzęczących sprzedawców nad uchem, bez presji, czysta przyjemność dotykania, wcierania, rozpylania i smarowania. Ech, tylko czy to nie jest kompletna utopia? Otóż nie, jest jeden sposób.

Wyobraźcie sobie pokój z wielkimi szafami. Drzwi tych szaf są szeroko otwarte i widzicie, że całe wnętrze wypełniają najlepsze kosmetyki (zupełnie jak w perfumerii). Czego tu nie ma: obłe, nieco staroświeckie słoiczki Heleny Rubinstein, opalizujące opakowania Shiseido, Lancôme w matowej porcelanie, Biotherm z błękitną falą, złoto-czerwone logo Clarinsa. Luksusowe kremy są upakowane tak ciasno, że żeby sięgnąć głębiej, trzeba najpierw wysypać pierwszą warstwę na podłogę. Na kilku półkach pręży się istny las wyrafinowanych flakonów. KobiECE sylwetki perfum Jeana Paula Gaultiera stoją w rzędzie jak modelki na pokazie. Za nimi galeria wielkich nazwisk: Dior, Valentino, Barbara Bui, Prada, Dolce&Gabbana,

strzeliste wieże Isseya Miyake i błękitne gwiazdy Thierry'ego Mugiera. Osobno flakony Guerlaina: Samsara połyskuje pąsową czerwienią, Shalimar w granacie, Mitsuko i Champs Elysées stłoczone w jednym kącie z kolekcją Aqua Allegoria. Szafy wyglądają tak, jakby miały za chwilę pęknąć w szwach, z tekturowych pudeł wylewa się kolorówka: kredki do oczu, cienie, pomadki, błyszczki, pudry, tusze, fluidy, róże, upiększające żele i sztuczne rzęsy splecione w jeden wielki kłęb. Szampony, odżywki, lotiony, balsamy, maseczki w ilości, jaka wystarczyłaby do zaopatrzenia stu zakładów fryzjerskich. Ale nie tylko szafy w tym pokoju są wypełnione kosmetycznym dobrem. Flakony i flakoniki stoją dosłownie wszędzie, trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby zauważyć wśród nich zarysy biurek czy komputerów. Tak, tak, biurek i komputerów właśnie, bo ten pokój to wcale nie magazyn w perfumerii ani skarbiec miliarderki kolekcjonerki, tylko miejsce pracy dziennikarki urodowej. Można oszaleć? Można. W takim właśnie miejscu spędziłam najbardziej niezwykły rok mojego życia.

Pani idzie

Siedzę na krawężniku jednej z uliczek Starego Miasta i skubię tipsy, na które poprzedniego dnia wydałam ostatnie pieniądze. W efekcie tego przedsięwzięcia moje paznokcie „urośli” do takich rozmiarów, że praktycznie straciłam zdolność chwytania. Nawet nie mogę wyjąć nic z torby, boję się, że stracę któryś ze szponów, i to już będzie kompletna kłapa. Wiem, że takie siedzenie na ziemi to najgorsze, co mogłam zafundować moim wyprasowanym jak listek spodniom, ale po prostu nie mogę się ruszyć, tak mnie boli brzuch z nerwów - za chwilę mam rozmowę w sprawie pracy w redakcji pisma „Cud na Twarz”.

Właściwie cały ten mój stres nie ma sensu. Wymyśliłam go sobie, podobnie jak to, że jakakolwiek rozmowa mnie dzisiaj czeka. Tkwią tu, pod drzwiami wydawnictwa, z własnej nieprzymuszonej woli. Naczytałam się o asertywności, aktywnym poszukiwaniu pracy, więc postanowiłam spróbować. Wejdę i poproszę o rozmowę z naczelną, powiem, że jestem pracowita i umiem pisać. Wyrzuci mnie, to trudno, zapukam gdzie indziej. Moja siła przebicia wolno podnosi się z krawężnika i idzie na spotkanie z przygodą.

Współczesne wcielenie Coco Chanel przechodziło akurat korytarzem.

- Pani idzie - rzuciło, nie odwracając głowy, i zniknęło w jakimś pokoju. Nie wzięłam tego do siebie, dalej stałam przy recepcji,

nieruchomo jak waran. Po chwili naczelna wyjrzała zza drzwi i zniecierpliwiona rzuciła: - Powiedziałam przecież, pani idzie! Czy muszę dwa razy zapraszać?

*

Łatwiej się dostać przed oblicze naczelnej, niż do niej dodzwonić. Po dwóch tygodniach tracę już nadzieję, że uda mi się dowiedzieć, czy czytała tekst, który napisałam na próbę, i co o nim myśli.

Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak się pisze do takiej gazety. Pracowałam już w dzienniku, w dziale miejskim. Wiem, jak opisać problem dziur w moście i konflikt na osiedlu, ale „Cud na Twarz” to pismo o urodzie. Pocieszam się, że przecież studiowałam dziennikarstwo, no i jak każda kobieta coś tam wiem o kosmetykach. Jednak w porównaniu z wiedzą koleżanek na ten temat moja wypada bladziutko. Nie licząc tipsów, jeszcze nigdy nie byłam u kosmetyczki. Mam raczej męskie zainteresowania, na przykład majsterkowanie, a do tego francuski manikiur jest kompletnie nieprzydatny. Przyznaję, że zupełnie sobie nie wyobrażam pisania o kremach. Dlaczego wybrałam takie pismo? Bo to najładniejsza gazeta, jaką widziałam - przepiękne zdjęcia, luksusowy papier. Poza tym w dziennikach krążą legendy o zarobkach w kobiecych miesięcznikach, a ja już mam dość pisania za groszową wierszówkę; nie tak łatwo dostać etat w gazecie, najpierw trzeba pracować jako wolny strzelec, czasem przez wiele lat. Pocieszam się, że nawet w piśmie o urodzie są też inne tematy i będę mogła się wykazać. Mimo to na próbę postanawiam napisać coś po linii, czyli o urodzie. Przeglądałam kilka gazet kobiecych, z „Cudem na Twarz” na czele, i robi mi się słabo. Każdy tekst jest podobny do drugiego jak dwie krople wody. Tak na pierwszy rzut oka wygląda to, jakby ktoś przepisał wszystkie instrukcje z

opakowań i nadal wspólny tytuł. Ale przynajmniej wiedział, z których opakowań spisywać. Ja nie wiem.

W końcu w chwili nagłego olśnienia przypominam sobie, że mama mojego chłopaka ma w swojej bibliotece poradnik urodowy z końca XIX wieku. Napiszę o tym, jak pielęgnowały urodę nasze babki - temat ciekawy, no i jest szansa, że nie umrę z nudów przy pracy. Przez dwa dni opisuję sposoby na domową produkcję pudru z ryżu, kąpiele słoneczne zażywane „w pełnym rynsztunku” i zalety wodnych kuracji w Ciechocinku. Wychodzi z tego pięć stron okraszonych staromodnym słownictwem. Spodoba się czy nie - ja się przy tym dobrze bawiłam.

*

- Wezwałam tu panią po to, żeby powiedzieć, że oto otwiera się przed panią wielka szansa - tu naczelna robi efektowną pauzę. - Dołączy pani do bardzo elitarnej grupy dziennikarek urodowych. Proszę się bardzo cieszyć.

Cieszę się, choć już wiem, że będę pisała tylko o kremach. O innych tematach naczelna każe mi zapomnieć, bo potrzebują pilnie osoby do działu urody. Nie dostanę też etatu, ale mam na niego szansę w przyszłości. Tak czy inaczej spróbuję. Może ta przyszłość jest bliżej, niż myślę.

*

- Kochanie, czy możesz przestać machać rękami i usiąść na chwilę?

Głos Pawła jest podejrzanie smutny. Czyżby mój mężczyzna nie cieszył się z newsa? Halo, proszę pana, czeka nas wspianiała przyszłość! Będę zarabiała mnóstwo pieniędzy, dokończymy wreszcie remont mieszkania, pojedziemy do Wenezueli zobaczyć Salto Ángel, a potem kto wie, może i do Nowego Jorku... No i najważniejsze: jak już wreszcie doprowadzimy mieszkanie po babci do połysku, moglibyśmy nawet pomyśleć o... ślubie i powiększeniu rodziny.

Koniec ciągłego zamartwiania się, za co kupimy lodówkę i zamienimy blaszaną miskę w łazience na prawdziwą umywalkę. Młodzi na dorobku, jasne, ale jak długo tak można? Czas ruszyć z kopyta - żegnajcie długie szare dni przed komputerem, witajcie eleganckie przyjęcia i pachnące salony piękności. Nadchodzi najlepsza dziennikarka urodowa na świecie: ja, Joanna Wielecka, lat 29 plus dziesięć miesięcy, włosy gęste, kręcone, półdługie (koniecznie trzeba obciąć), kibić smukła (brak apetytu, bo nerwy), paznokcie zdecydowanie długie (akrylowe tipsy jeszcze się jakoś trzymają), cera... hmm... taka sobie, ale pod wpływem tych wszystkich specyfików na pewno się poprawi. A gdyby tak jakaś mała operacja plastyczna? Nie od razu nowe piersi, ale powiedzmy nowe oczy, znaczy kurcze łapki zlikwidować - nie są jakieś dramatyczne, ale coś tam się już zaczyna rysować...

- Kochanie, naprawdę musimy porozmawiać. - Paweł bierze mnie za ramiona i siłą sadza na kanapie. Nie jest dzisiaj w nastroju do żartów, coś go gryzie. Niech już w końcu powie, o co mu chodzi, bo mam dzisiaj dobry dzień i nie zawaham się tego wykorzystać. - Dostałem propozycję z Saman Brothers!

- Co takiego? Co to znaczy? - Brzmi to trochę jak tytuł filmu, ale chyba nie o to chodzi.

- Saman Brothers, największy bank inwestycyjny na świecie. Wysłałam im moje CV w zeszłym tygodniu i właśnie odpowiedzieli. Szukają informatyka do oddziału w Londynie, od zaraz, nie wiem, dlaczego im się tak śpieszy, ale mówią, że jeśli przyjadę jeszcze w tym miesiącu, to będzie świetnie. Kontrakt już mi wysłali e-mailem. Wiesz, ile mi dają? Czterdzieści tysięcy funtów rocznie, po trzech miesiącach próbnych mogę negocjować. Wyobrażasz sobie, ile to pieniędzy?

- Poczekaj, gdzie ten bank?
- W Londynie.

- Odpada.
- Co odpada?
- Londyn odpada.
- Nie rozumiem.

- Nie ma mowy, nie pojedziemy. Czy ty nic nie rozumiesz? Wiedziałeś kiedyś w gazecie ogłoszenie, że szukają dziennikarzy do kobiecego pisma? Nie! A dlaczego? Bo nie szukają, nigdy. Dostać się tam można tylko jak się ma... dużo szczęścia, i ja je mam, mam teraz przed sobą świetlaną przyszłość, oboje mamy, nie mogą tego zmarnować.

- Zaraz, o ile dobrze zrozumiałem, to nie dali ci etatu, tak? Możesz sobie tak pisać i pisać, aż ci pewnego dnia podziękują i znów zostaniesz z niczym.

- Nie zostanę, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. - Przytulałam się do Pawła najmocniej jak umiem. - Myślisz, że moglibyśmy za pierwsze większe pieniądze skończyć łazienkę?

- Myślę, że byłbym głupi, gdybym nie przyjął oferty tego banku. Sama widzisz, jak ciężko jest zdobyć dobrą pracę, a taki wpis w CV to inwestycja w przyszłość.

Paweł jest taki stanowczy, odpowiedzialny, może dlatego, że dobre trzy lata starszy ode mnie. Jak sobie coś postanowi, to zrealizuje to na mur - za to go kocham, ale tym razem mógłby trochę odpuścić. Z drugiej strony wiem, że już od dawna chce się wyrwać z firmy, w której pracuje. Poszedł tam zaraz po studiach i przez tyle lat awansowali go tylko raz, w zeszłym roku na administratora systemu. Ma już tego dość i słusznie, zna języki, jest kreatywny, mógłby zajść daleko - fakt, tylko dlaczego teraz?

- A nie da się tego jakoś odłożyć, poprosić ich, żeby poczekali z tym kontraktem? - pytam, zatapiając rękę w jego bujnej czuprynie.

- No skąd, chyba nie mówisz poważnie. Taka okazja zdarza się czasem raz na całe życie i nikt na mnie nie będzie czekał, a już na pewno nie Saman Brothers.

Uwodzicielskie aromaty

Teoria Pawia, że w pismach dla kobiet pracują same sfrustrowane singielki, potwierdza się przynajmniej co do tego drugiego. Wszystkie dziennikarki „Cudu na Twarz” są koło trzydziestki, niezamężne, bezdzietne. Najwidoczniej taki styl życia pomaga w pisaniu na kobiece tematy.

Najstarsza i najważniejsza, puszysta rudowłosa Ala, objaśnia mi, jak będziemy współpracowały. Mam pisać teksty na zlecenie. Ważna jest terminowość, bo dziewczyny mają dużo pracy i nie ma czasu nikogo popędzać. Pisać muszę, w domu, bo przecież sama widzę, że nie ma tu miejsca dla dodatkowej osoby. Ale przychodzić do redakcji powinienam codziennie - mam też inne obowiązki.

Redakcja wygląda jak po przejściu trąby powietrznej - wszędzie płaczą się kartki papieru i stosy kosmetyków. Dlatego oprócz pisanie tekstów zajmę się porządkowaniem flakonów, tubek oraz tak zwanych dossier, czyli papierowych teczek z informacjami, które przysyłają producenci. Te tecki leżą teraz pod biurkami w wielkich stosach. Ali marzy się porządne archiwum, gdzie te wszystkie informacje stałyby sobie rzędem, podzielone na firmy i kategorie produktów. Na oko widać, że to gigantyczna praca i z całą pewnością nie uporam się z tym w kilka dni. Czekam mnie pionierska robota.

- Jak już coś przeczytamy, to nigdy do tego nie wracamy, łatwiej poprosić PR-owca o przesłanie jeszcze raz. - Ala jest wobec mnie szczerą. - Przychodzi taka masa, że trudno to ogarnąć.

Tobie się to przyda, poznasz kosmetyki od podszewki.

Wyobrażam sobie, jak siedzę pod biurkiem w tumanach kurzu, i robi mi się słabo. Postanawiam jednak sprawiać wrażenie osoby entuzjastycznie nastawionej do czekających ją zadań.

W tamtej chwili świat urody stał przede mną otworem, nie wiedziałam tylko jeszcze, którym...

*

W urodowym rzemiośle proces tworzenia zakłada dużą swobodę. Tematy lepimy z waty, a pomysły wyławiamy z Wisły. Czasem na wędkę złapie się niezła sztuka, a czasem stary but.

Jednym z moich pierwszych dziennikarskich zadań jest opisanie trzydziestu wód toaletowych. Sposób? Dowolny, byle każdy zapach został zaprezentowany rzetelnie i wnikliwie, stosownie do ceny. Wysoki poziom.

Wychodzę z redakcji objuczona dwiema potężnymi papierowymi torbami pełnymi pudełek z flakonami. Trochę w to nie mogę uwierzyć - że idę sobie z taką masą fantastycznych perfum prościutko do domu, spoglądam na wystawy mijanych perfumerii i widzę, że nie ma na nich nawet połowy tego, co ja mam w torbach. Czuję się jakoś tak... Nie mogę powiedzieć, że to nieprzyjemne. Kiedy docieram do domu, wyjmuję wszystkie perfumy z pudełek, ustawiam na biurku. Jest tego cała masa. Przez pierwszy dzień i pół nocy tylko wącham, drugiego dnia też. Trzeciego zaczynam wymyślać temat.

Ustawiam flakony od największego do najmniejszego - może napiszę o rosnącej albo malejącej tendencji w wysokości opakowań... Nie da rady, większość flakonów jest średniego wzrostu.

Sprawdzam nazwy: same słodkie słówka, amury, pochwały życia i skarbnice rozkoszy - ohyda.

Próbuję wywąchać jakąś prawidłowość, ale niestety, mam w nosie taki mętlik, że w tej chwili nic już nie czuję. Będę musiała odczekać.

Ustawiam flakony kolorami, nawet się ładnie prezentują, najwięcej jest czerwonych, tylko co z tego?

Dobra, od czegoś trzeba zacząć, bo nigdy nie skończę - najpierw forma.

Na szczęście jest kilka butelek z dziwnymi zamknięciami. Piszę: *W tym sezonie projektanci lansują nietypowe zapięcia...*

Dwa korki są okrągłe: *...doskonale leżą w dłoni.*

Trzy butelki mają kształt stożka, a jeden rombu: *Czyżby matematyka wkradła się do perfumiarstwa?*

Jeden flakon nie ma korka (pewnie zgubiłam po drodze), mogę jednak przypuszczać, że: *Korek nie ustępuje urodę reszcie.*

Aż jedenaście butelek jest przezroczystych, przynajmniej na tyle, że widać rurkę *w sercu flakonu ukrytą.*

Sześć flakonów nie ma w sobie nic szczególnego, poza tym, że są wysokie: *...wysokie jak wieżowce Manhattanu.*

Pierwsza część z głowy, w tym czasie odzyskałam węch, mogę pobawić się w skojarzenia.

Kilka zapachów jest słodkich: *jak landrynki, wata cukrowa - teraz te lakocie możesz smakować bez ograniczeń.*

Mam też kilka orientalnych: *Bliski Wschód jest znacznie bliżej niż Białystok.*

Wietrzę jakieś kwiaty: *w rajskim ogrodzie po wschodzie...*

Po przewąchaniu połowy znowu tracę węch, czuję teraz już tylko: *alkohol w niewielkich dawkach.*

Z papierów wynika, że większość perfum ma w sobie przynajmniej trochę mandarynki, czyli: *orzeźwiającego smaku cytrusów.*

Zaraz, zaraz... alkohol plus cytrusy... równa się: *drinki pite na plaży, smak świeżego ponczu, rozkosze letniej kanikuly.*

Idąc tym tropem, opisuję wszystkie trzydzieści sztuk. Trzydzieści najbardziej pokretnych skojarzeń przywołanych w przyływie czarnej rozpacz. Największym osiągnięciem tego dnia jest poemat na temat zapachu o nazwie Alkowa. Alkowa to podobno odtworzony wiernie aromat starych francuskich perfum z czasów Króla Słońce. Pachnie, hmm, zdecydowanie nie pachnie, raczej... powiedzmy, że to aromat bardzo oryginalny. Ale co tam zapach, ważna jest historia. Oczyma wyobraźni widzę ufryzowane damy w krynolinach przechadzające się po pałacach, wykwintne toaletki, na których obok kowadełka i młoteczka do kulturalnego zabijania pcheł stało właśnie coś takiego, w kryształowym flakonie. Może to jest właśnie tajemnica męskiej niewierności w tamtych czasach, bo czy można wytrzymać długo z kobietą, która ciągnie za sobą woń skunksa? Pardon, wydzielinę gruczołu piżmowego zmieszana z aromatem polnych ziół.

Mam tylko nadzieję, że kobiety, które to przeczytają, nie sprawią sobie niczego bez wążania. Drogie panie, nie kupujcie kota w worku. Nawet jeśli ten worek ładnie pachnie, to w środku zamiast rasowego persa możecie znaleźć zwykłego dachowca.

*

- Aśka, daj spokój! - Paweł stanowczo wyciąga wielki flakon wody perfumowanej Men by Men, który ukradkiem podrzuciłam mu do walizki.

- No coś ty, ty wiesz, jak to pachnie? Poczekaj! - Staję w teatralnej pozie z flakonem w ręce i deklamuję: - „Pachnie jak kwiaty na łące, jak poranna rosa, jak ćwierkanie...”.

- Tak, zwłaszcza jak ćwierkanie. Jak mi to celnicy na lotnisku ćwierkną z podręcznego, to nawet nie czuję – rzuca mój chłopak wkurzony. - Dasz mi się spakować do końca? Za cztery godziny mam samolot.

Dobry nastrój pryska jak mydlana bańka, a może go w ogóle nie było... Paweł leci do Londynu podpisać kontrakt. Potem już nie będzie odwrotu - zostanie sama w domu dwa tysiące kilometrów od niego. Saman Brothers chce mu wynająć mieszkanie - dobre duże firmy tak robią, jeśli zależy im na zdobyciu pracownika. Moglibyśmy mieszkać w centrum Londynu, codziennie spacerować sobie po Covent Garden. Tak, Covent Garden zapamiętałam chyba najlepiej z trzydniowej wycieczki do stolicy Wielkiej Brytanii jeszcze w czasach studenckich - gwarne kafejki, małe butik i galerie sztuki, uliczni artyści. Jak przyjemnie byłoby móc przychodzić tam wieczorem.

- Naprawdę mam nadzieję, że pojedziesz ze mną. – Paweł już stoi w drzwiach. - Bez ciebie to nie będzie to samo.

Powtarza to nie wiem już który raz dzisiaj. Jakby ciągle liczył, że teraz, na szybko, podejmę decyzję o wspólnym wyjeździe do Anglii.

- Muszę to wszystko jeszcze przemyśleć - mówię szybko. Sama nie wiem, dlaczego daję mu nadzieję, przecież już dawno postanowiłam. Mówię o wielkiej szansie, jaką daje mi praca w kobiecym piśmie, ale chyba sama nie chcę się przyznać przed sobą, jak bardzo pociąga mnie ten medialny świat. Uwodzicielski aromat tego, czym się teraz zajmuję, kręci mnie coraz bardziej. Po wyjściu Pawła długo patrzę przez okno na mokrą od deszczu ulicę, na lśniące samochody i ludzi przemykających pod ścianami kamienic. Czy oni też mają takie dylematy? Jak już w końcu coś im się uda w życiu, to zaraz muszą wybierać, z czegoś rezygnować? Czy to sprawiedliwe? Moja mama twierdzi, że jak najbardziej, bo gdyby wszystkim wszystko wychodziło, to by chodzili pijani ze szczęścia i niezdolni do konstruktywnego myślenia. Największe dzieła powstały podobno w bólach i im bardziej bolało, tym większa z tego wychodziła perła.

Skoro tak, to robię sobie duży kubek kawy z mlekiem i siadam do pisania. Jutro mam oddać duży tekst o szale na szałwie i właśnie w tym momencie wymyśliłam tytuł: „Szał na szałwie” brzmi fantastycznie, ale wcale mnie to nie cieszy. Nie lubię rozstawać się z Pawłem, nawet jeśli chodzi tylko o trzy dni.

Ciężary życia

Z przyjemnością odkryłam, że pierwsze tygodnie, spędzone na porządkowaniu archiwum i pisaniu tekstów o kosmetykach, nie były trudniejsze od następnych. Opisywanie zapachów, kiedy już opanuje się sztukę nieoczekiwanych skojarzeń, idzie wartko i przyjemnie, trzeba tylko pamiętać, żeby źródło inspiracji mieć zawsze w zasięgu ręki. Wkrótce jednak miałam się przekonać, że wbrew pozorom praca dziennikarki w kobiecym piśmie nie polega tylko na wążaniu i zapisywaniu. Przede mną jeszcze niewyczerpane pokłady wiedzy, którą muszę zgłębić i każdy dzień przynosi nowe niespodzianki.

Jedną z takich niespodzianek jest „robienie butików”, czyli stron w gazecie, na których pokazuje się różne przedmioty (niekoniecznie kosmetyki) z cenami i nazwą sklepu, gdzie można je kupić. Zero tekstu = zero wysiłku, myślałam naiwnie. Nic bardziej mylnego.

Pierwszy butik to była bułka z masłem - miałam wypożyczyć spinki do włosów. Kiedy już uporałam się z drobnymi przeciwnościami losu, takimi jak podrobienie podpisu naczelnej na zaświadczeniu, że jestem etatowym pracownikiem redakcji (bez tego o żadnym wypożyczeniu nikt nie chciał słyszeć) i znalezienie sklepu z żabkami (obowiązek sezonu), zgromadziłam całkiem pokaźną kolekcję spinek. Trochę mnie martwił fakt, że trzy z nich zaginęły w procesie fotografowania. Na szczęście były tak małe, że nikt tego nie zauważył, kiedy oddawałam resztę. Jedną spinkę znalazłam

tydzień później w kącie łazienki.

Tematem drugiego butiku były nieco większe przedmioty - hantle do ćwiczeń domowych. Przy Galerii Centralnej mieli tylko dwa rodzaje brzydkich po trzy kilo - wzięłam dla porządku. Na placu Odkupiciela dorwałam plastikową dziesiątkę wypełnioną cementem i zapinane na rzepy obciążniki na kostki albo nadgarstki. Nie mogłam się zdecydować, który kolor lepiej wypadnie na zdjęciu, więc wzięłam trzy różne po pół kilo każdy. Plecaczek trochę mi ciążył, kiedy biegłam na Stołeczną do sklepu dla profesjonalistów. Tam wreszcie znalazłam wszystko, czego szukałam i przepakowałam to do torby turystycznej, którą przezornie zabrałam z domu. Przede wszystkim hantle ze zdejmowanymi odważnikami po kilogramie, dwa i trzy kilo - wzięłam po jednym każdego rodzaju na obydwa końce sztangi i jeszcze dodatkowy pręt do osadzenia. Wypatrzyłam też trzy rodzaje małych kobiecych hantli kilogramowych (takich jak przy Galerii, ale znacznie ładniejszych) i jeszcze trochę masywniejszą trójkę w pięknym strażackim kolorze. Dorzuciłam do torby trzy pary specjalnych skórzanych rękawiczek z obciętymi palcami, złapałam za uszy i... Uszy zachowały się tak, jakby ktoś przyspawał je do podłogi - ani drgnęły. W torbie miałam ponad czterdzieści kilogramów żelaza oraz cementu. Ciągnąc i pchając na przemian, wytaszczyłam ją przed sklep, po czym wezwałam taksówkę. Biedny uprzejmy pan taksówkarz nie wiedział tego co ja, czyli że uszy mojej torby tworzą nierozzerwalną całość z chodnikiem. Złapał, szarpnął, zdziwił się, a potem zgiał wpół i wydał straszliwy jęk.

- O rany, coś mi pyknęło, nie mogę się ruszyć, co pani ma w tej torbie?

- Cement i żelazo - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Chce pani wykończyć starego człowieka. I po co to pani?
- Do pracy.

*

- Aśka, wyglądasz fantastycznie! Chodzisz na siłownię? Masz jakby lepiej wyrzeźbioną sylwetkę. I te włosy, sam bym tego lepiej nie zrobił! - Daniel, czyli mój kolega fryzjer, jak zwykle popłynął i daje upust emocjom. - Bosko, fantastycznie, wyglądasz czarująco, młach, młach, młach - całuje powietrze w okolicach moich uszu. - Wszystkiego najlepszego! - Wielki bukiet czerwonych goździków przepasanych szarfą z napisem *Rycząca Trzydziestka* ląduje w moich rękach.

- Czerwone, bo miłość, goździki, bo to ostatni krzyk mody - podkreśla Daniel i odplywa w głąb mojego skromnego lokum.

Znów dzwonek do drzwi. To Ela i Hania z redakcji. Hania przyprowadziła ze sobą swoją nową zdobycz.

- Poznaj Misia, złowiłam go w ubiegłym tygodniu na tenisie - szepcze. - Lekarz!

Misio rzeczywiście wygląda na lekarza i to po ciężkim dyżurze: okulary powiększają mocno przekrwione oczy, szara, zmęczona twarz i brzuszek - o wiele za duży jak na trzydziestolatka uprawiającego sport. Ale Hanka dumna jak paw daje mi znaki, że i w „tych sprawach” jest fantastycznie. Ela zrobiła sobie z okazji imprezy wyjątkowo staranny makijaż, jak to ona: zielone powieki, niebieskie rzęsy, jakaś dziwna substancja we włosach (żel z brokatem?) i pomarańczowa pomadka.

Nie ma czasu na dalsze oględziny, bo nadciągają kolejni goście.

- Nic się nie martw, będzie dobrze, trzydziestka to nie koniec świata. - Moja przyjaciółka Magda chyba myśli, że przeplakałam całą noc, i ma rację.

- Daj spokój, Magda, jakoś to przeżyję, wchodź.
- Są jakieś ciasteczka do schrupania? - Madzi oczywiście nie chodzi o to, co przygotowałam do jedzenia.
- Jasne, szwedzki bufet na słodko - mrugam do niej.
- Szwed, poważnie? Prawdziwy? - Chyba nie złapała żartu.

Magda, która wcale nie wygląda na swoje trzydzieści pięć lat, bezskutecznie próbuje upolować mężczyznę swojego życia. Nie wiem, co robi nie tak, bo to w sumie świetna dziewczyna: śliczna, filigranowa, mądra i dobrze ustawiona zawodowo - jest menedżerem w dużej firmie konsultingowej. Co tydzień jeździ na te swoje konferencje, mityngi i zebrania korporacyjne i wraca z nich coraz bardziej zdołowana.

Włączam muzykę na full i przenoszę się do kuchni. Odkąd Paweł przeprowadził się do Londynu, straciłam serce do gotowania. Już drugi miesiąc stołuję się na mieście, to znaczy głównie w bufecie w budynku wydawnictwa. Można powiedzieć, że stałam się nawet wielbicielką kulinarnych talentów pana Zenka, właściciela bufetu i kucharza w jednej osobie. Przygotowując moją urodzinową imprezę, poszłam po linii najmniejszego oporu, zamawiając u pana Zenka dwie miche salatkę rzymskiej, wielki kamionkowy garniec smalcu z jabłuszkiem i dwie blachy jego słynnego sernika. Pozostało mi tylko pokroić bagietkę i gotowe.

Przenoszę półmiski z jedzeniem do dużego pokoju. Daniel serwuje dziewczynom wódkę z tonikiem, oczywiście z przekonaniem opowiadając o tym, jakie to teraz modne na mieście. Doszło kilka nowych osób, nie wszystkie znam, więc pewnie to znajomi Daniela i Magdy.

- Prawdziwe chłopskie żarcie - zachwyca się Daniel. - Bardzo trendy. Teraz modne jest jedzenie bardzo wy szukane albo przeciwnie: przasne i nieskomplikowane. Brawa dla tej pani - Asiu, miałaś nosa!

- Okej, dzięki. - Lubię komplementy, a co, zwłaszcza zasłużone, bo pan Zenek faktycznie gotuje jak złoto.

Moi goście wcinają, aż im się uszy trzęsą, impreza rozkręca się na całego. Magda siedzi na kolanach jakiegoś bruneta w zielonych tweedowych spodniach i coś mu opowiada z przejęciem. Hanka próbuje tańczyć przytulanki ze swoim lekarzem. Kilka osób płąsa na parkiecie, kilka pali na balkonie. Telefon. Paweł. Próbuję zamknąć się z komórką w łazience, ale Elka daje mi rozpaczliwe znaki, że musi poprawić makijaż, więc wchodzę do sypialni, wypłaszając stamtąd parę gołąbków; nawiasem mówiąc, fajne chłopaki, pewnie znajomi Daniela.

Musimy rozmawiać z Pawłem dość głośno, bo nic nie słychać przez tę muzykę.

- Jak jest?

- Może być, chyba się rozkręca.

- Jak sobie radzisz?

- Wyśmienicie, poza tym, że dzisiaj wjechałam twoim samochodem w pacholka na parking. Nic wielkiego się nie stało, ale jest małe wgniecenie na błotniku... Czy to się da zalakierować?

- Na pewno, ale na przyszłość postaraj się częściej zdejmować nogę z gazu.

- O! wypraszam sobie, ja jeżdżę bardzo ostrożnie.

- Wiem, tylko przypominam.

- Nie powiedziałaś jeszcze najważniejszego...

- Wszystkiego najlepszego, przecież wiesz. Przyjedziesz?

- Jak tylko uporam się z tortem - żartuję, bo naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

- Czy ktoś tu mówił o torcie? - Ela zagląda do sypialni.

Racja, kończę rozmowę z Pawłem, bo pora na tort. Tort jest ogromny i okropnie kiczowaty: coś jak krzywa wieża w Pizie, tylko o niebo bardziej rozbudowana, z mnóstwem białego lukru i jadalnych perełek. Zwieńczenie tego tortu, czyli obściskujące się figurki panny

młodej i pana młodego, leży w koszu na śmieci. Sama nie wiem, dlaczego miałam ochotę sprawić sobie na urodziny taki dziwaczny prezent, w każdym razie wszystkie torty urodzinowe, jakie znalazłam, były zdecydowanie zbyt skromne jak na tę okazję. W końcu trzydziestka to nie byle co.

Nie ma w tym towarzystwie lepszej osoby do wygłoszenia okolicznościowej przemowy niż Daniel. Zaczyna nawet ładnie, mówiąc, jaka to ja jestem wspaniała, ale kiedyś w końcu musi paść ten magiczny numer i wtedy już widać, że Daniel trochę traci animusz i nie bardzo wie, co powiedzieć.

- Bo to prawda, że kobiety im starsze, tym lepsze, zupełnie jak wino, ale tylko do trzydziestego pierwszego roku życia - wtrąca brunet w tweedowych spodniach.

- Przepraszam - mówi nieoczekiwanie Magda, chwiejnym krokiem podchodzi do tortu. Obiema rękami obejmuje najwyższe piętro z tabliczką „trzydzieści lat”, odrywa je, a potem jednym ruchem rozpląscza na twarzy bruneta, zanim ten ma okazję zamknąć usta.

Wszyscy zamieramy, a moja przyjaciółka, najwyraźniej bardzo zadowolona z siebie, wyjmując z szafy płaszcz, wkłada go i opuszcza imprezę.

Hanka z lekarzem pomagają nieszczęśnikowi pozbyć się resztek tortu, a goście dyskretnie zaczynają się ulatniać.

Dochodzi czwarta rano, kiedy zostaję sama w domu. Na podłodze walają się jadalne perełki i pogniecione papierowe talerzyki, ale nie mam najmniejszej ochoty tego dzisiaj sprzątać. Zresztą komu niby miałyby przeszkadzać taki nieporządek, mnie jest wszystko jedno. No to się doigrałam, jestem teraz idealną czytelniczką mojej gazety - singiel w wielkim mieście. Auuuu!

Wymijcie nogi z teczki

„Cud na Twarz” ma 150 stron, wystarczy to na jakieś dwa dni; tyle z grubsza trzeba, żeby przeczytać wszystko od deski do deski. Teraz już wiem, że choć gazeta kobieca żyje krótko, trwałym śladem jej efemerycznej egzystencji jest redakcja ze swą piramidalną strukturą organizacyjną. Na to, aby czytelniczka mogła wreszcie z ulgą zostawić przeczytane pismo na ławce dworcowej poczekalni, w piramidzie pracują trybiki i tryby redakcyjnej maszyny.

Korektorki, absolutnie niezastąpione. My, dziennikarki, przesyłamy im nasze starannie dopracowane teksty, a one poprawiają w nich nasze niedopatrzona: błędy ortograficzne, stylistyczne, gramatyczne, merytoryczne et cetera. Często jedynym obszarem, w który nie ingerują, jest nazwisko autora, ale i tu zdarzają się wyjątki. Dobra korektorka musi mieć stalowe nerwy i nieskończone pokłady cierpliwości. Oglądając przez lupę te same artykuły o dużym ciężarze gatunkowym po wiele razy, popada w szczególny rodzaj odrętwienia: nie reaguje na odgłosy z zewnątrz, można położyć jej rękę na ramieniu albo wrzasnąć w ucho: „A kuku”, i nic. Gdy w końcu oderwie wzrok od monitora, będzie miała w oczach dwa znaki zapytania. Albo średnik. Teksty przeznaczone do korekty wrzucamy do tak zwanych teczek. Dlatego kiedy usłyszymy wołanie: - Mam nogi w teczce! - całkiem serio odkrzykujemy: - Możesz wyjąć, piersi też.

Graficzki - one myślą obrazem, my słowem. Porozumienie jest trudne, ale możliwe. Pod warunkiem, że popatrzymy na swój tekst ich oczami. To, co dla nas jest literą „s”, dla nich będzie wężem. Nie można zaczynać tekstu od węża, prawda? Jeśli spojrzeć w ten sposób, ma to głęboki sens. Dla grafika artykuł w gazecie jest elementem układanki i powinien się zmieścić w wolnej przestrzeni między zdjęciami. Za długi tekst przechodzi błyskawiczną amputację, a usunięty fragment raczej już nie przyrośnie. Podobnie rzecz się ma z tytułem, tyle że czasem paradoksalnie ten zabieg przynosi więcej pożytku niż szkody. Niejeden dobry tytuł powstał w wyniku szybkiego cięcia zadanego komputerową myszą. W sporach specjalistów od słowa z tymi od obrazu rozstrzyga tak zwana makieta, czyli szablon, przejaw kreatywności grafika, twór całkowicie autonomiczny i odporny na naciski dziennikarzy.

Operator DTP, czyli prawa ręka grafika. O ile grafik nie jest leworęczny, to bez operatora nic nie działa.

Dyrektor artystyczny, z wykształcenia malarz. Nadaje wszystkiemu artystyczny szlif. Jak graficzki do spółki z operatorkami DTP (murarze) stworzą makietę, artystyczny przychodzi i poprawia, „tynkuje”, czyli przesuwając, mrużąc pod nosem: „Tynk, tynk, tynk, tynk”. Otynkowana makieta nieodwołalnie zmienia autora.

Fotoedytorka, ktoś bardzo fotoczulą. Gromadzi zdjęcia do najdziwniejszych tematów. Rzucamy jej hasło: - Do materiału „Medycyna urody”: ostrzykiwanie policzków, tuszowanie cieni i sińców pod oczami, czyszczenie uszu wacikami, kobieta paląca i pijąca, ale nieodpychająca i jeszcze jakieś wdzięczne zdjęcie do niewdzięcznego tematu o wzdęciach. Na jutro.

Nazajutrz mamy przegląd geriatry na komputerze.

Styliści - stylistka trochę przypomina Świętego Mikołaja, bo wszędzie chodzi z wielkim worem, tylko zamiast przepychać się przez komin, przyjeżdża kulturalnie windą. W przeciwieństwie do Gwiazdora nie rozdaje prezentów i nad renifery przedkłada tak-sówki. Tak jak Mikołaj uważa się za osobę powszechnie znaną i obytą w szerokim świecie. Wie, jaki kolor będzie modny za dwa sezony i potrafi rozpoznać podrabianą torbę Louisa Vuittona bez dotykania. Wierzy, że mogą istnieć gazety bez słów, ale gazety bez mody - nie ma mowy!

Archiwistki to takie miłe panie siedzące w zacisznym pokoju wypełnionym gazetami i wonią świeżych jabłek. Warto do nich zaglądać, nie tylko ze względu na możliwość pochrupania owoców. Również ze względu na kanapki, cukierki, czasem nawet ciacho. W archiwum zawsze ktoś ma jakieś imieniny, urodziny albo inną rocznicę. Jak dodać obecność kolorowej prasy do poczytania, trudno o lepsze miejsce do spędzania czasu w pracy. Nazywamy to ro-bieniem researchu.

Sekretarze redakcji to zawodowi czytacze. Przykładowa rozmowa dwóch sekretarzy redakcji:

- Czytasz?
- Czytam, czytam.
- A tamto przeczytałaś?
- Tak, już skończyłam.
- I jak, co myślisz?
- Ja wiem... dobrze mi się czytało...
- No to jeszcze ja przeczytam i puszczamy dalej.

*

Na czele organizacji, która akurat w tym miejscu bardziej niż pi-ramidę przypomina strukturę plastra miodu, stoi redaktor naczelna pani Malina. Pierwsza po Bogu, czyli po prezesie wydawnictwa.

My, prości marynarze, kochamy naszą panią kapitan ogromnie. Kiedy wchodzi, rozjaśniamy twarze w uśmiechu, mówimy, jak pięknie dzisiaj wygląda, w nabożnym skupieniu słuchamy każdego słowa. Jesteśmy w siódmym niebie, jeśli zechce otworzyć się nieco przed nami i uraczyć pasjonującą opowieścią z życia prywatnego: o krnąbrnym rąbku spódnicy, który się dzisiaj rano tak jakoś zawinął, że nijak go nie można było rozprostować. Jak pocieszyć naczelną, jak znaleźć drogę do jej serca? Odpowiedź znajduje się w bufecie. Kiedy zbliża się pora lunchu, naczelna miota się jak oszalała po redakcji, szuka... chętnego do towarzyszenia jej w czasie obiadu. I to jest właśnie nasze „pięć minut”, trzeba opanować chęć ucieczki - teraz albo nigdy.

Pani Malina ma zawsze rację. Nawet jak nie ma racji. Wdawanie się w merytoryczne dyskusje jest pozbawione sensu. Wszystko, co usłyszymy z ust szefowej (zwłaszcza podczas obiadu), przyjmujemy na wiarę. Gdyby nawet wątpliwości męczyły nas nie wiem jak i aż skręcało w żołądku z chęci wyrażenia protestu - nie wolno. Kiedy opowie, że ma chęć na sesję mody w pędzącym pociągu do Zakopanego, stylistka pyta tylko, czy to będzie przedział pierwszej czy drugiej klasy. Pomysł na wywiad z człowiekiem-gumą wszyscy chwala za potencjał reklamowy. Gdy domaga się więcej cytatów z literatury pięknej, prosto z bufetu udajemy się do biblioteki poczytać Moliere.

Kapitan zawsze schodzi ze statku ostatni. Choćbyśmy siedziały w pracy do nocy, nie przesiedzimy redaktor naczelnej. Nawet nie ma sensu próbować, dlatego przed wyjściem do domu trzeba opracować strategię odwrotu. Przede wszystkim pretekst. Nie błahy w rodzaju późnej godziny - dla szefa pora nigdy nie jest tak późna, żeby to mogło usprawiedliwiać ewakuację. Nieumówione spotkanie albo fryzjer - zdaniem szefa możemy się spotykać wyłącznie służbowo, a na głowie wolno mieć tylko liczne kłopoty. Obowiązki

rodzinne też odpadają - nie zrozumie, bo nie ma praktyki. Żeby wyjść z pracy po osiemnastej, trzeba czegoś naprawdę mocnego. Czegoś, co nie da szansy na odpór, przemówi do wyobraźni, wytrąci wszelkie argumenty z rąk i dosłownie zwali z nóg. Czymś takim jest... niedyspozycja żołądkowa - nagła, silna i nieuleczalna.

Uzbrojone w przekonujący pretekst, zajmujemy się scenografią. Rozrzucamy na biurku masę papierów i na środku stawiamy kubek z miętą. Następnie zakładamy odpowiedni kostium: zimą może to być płaszcz albo kurtka na lewą stronę, latem krzywo zapięta bluzka, zamienione buty. Jeśli ktoś nosi okulary, może je lekko upaćkać dla wzmocnienia efektu zbolalej męczennicy. Wprawnym ruchem ręki rozmazujemy szminkę na twarzy i mierzwiemy włosy. Przyciskamy torbę do brzucha i skulone ruszamy w kierunku wyjścia. Gdzieś w okolicach windy spotykamy naczelną. Zanim zacznie mówić, wydajemy z siebie przeciągły jęk. Dobrze, jeśli dodatkowo zakręca nam się w oczach łzy. Powinno wystarczyć. Szefowa z miną dobrotliwego dziadka powie coś w rodzaju: - Idź, kochana, do domu. Za to jutro przyjdź wcześniej, dobrze?

Takie są granice dziennikarskiej wolności.

Szkoleni z cieni

Przekonałam się, że podstawowym zadaniem dziennikarki urodowej jest chodzenie na konferencje. W zasadzie jest to o wiele ważniejsze niż na przykład pisanie tekstów. W mojej nowej redakcji najchętniej wszystkie dziewczyny zbiorowo poszłyby na konferencję - natychmiast, tak jak stoją, na cały dzień albo najlepiej na kilka dni.

*

Śniadanie prasowe. Godzina jedenasta, w znanej restauracji w centrum miasta stan najwyższej gotowości. Kelnerzy uwijają się jak w ukropie, właściciel z szefem PR-u witają w wejściu dziennikarki. Na powitanie róża - taka, jaką lubię najbardziej: blad różowa - oraz uścisk ręki PR-a - taki, jaki lubię najbardziej: miękki jak termofor nad ranem. Niektórzy dostają jeszcze buziaczka, ale tutaj PR nie jest rozrzutny. Obowiązuje hierarchia nakładu (nie pracy bynajmniej, tylko liczby sprzedawanych egzemplarzy). „Czar Kobiety” to lider na rynku - trzy soczyste buziaczki i jeszcze potarcie ramienia, „Memoir”, pismo z zagranicznym rodowodem - trzy buziaczki, podobnie jak „Dobra Nasza!” i „Impreza”, dwa szybkie dostają: „Cud na Twarz”, „Maria Luiza” i „Piękna”, a „Smyk” może się najwyżej pocałować w nos. Stoły pięknie nakryte: obrusy w kolorach firmowych - ecru i złote dodatki - owoce, sery, konfitury. Będzie słodko. Siadamy w kolejności nakładów. „Czar Kobiety” po prawicy, „Maria

Luiza” z „Dobra Nasza!” po lewicy. Na końcu stołu tandem z „Rity” - akurat one siedzą tam z własnego wyboru, nie lubią się mieszać z innymi. Dla „Smyka” i „Małolaty” zabrakło krzeseł, ale zaraz doniosą. Mnie trafiło się doskonale miejsce vis-à-vis dużych nakładów - będzie na co popatrzeć.

Zaczynamy jeść. Co do picia? Soczek, absolutnie tylko świeżo wyciskany, innego nie pijamy. Najlepiej z czerwonej pomarańczy.

- Nie, proszę pana, powiedziałam czerwonej, nie pomarańczowej. Nie mają tu czerwonej pomarańczy? Jak można nie mieć czerwonych pomarańczy! No dobrze, niech będą zwykłe, pomarańczowe.

- Rogaliki, taaak, gdzie im do prawdziwych brioszek... w Paryżu zawsze kupuję brioski i nigdy mi się nic takiego nie trafiło, suche jakies, niedobre.

- Oj, widać, że dopiero otworzyli tę knajpę, doświadczenia im brakuje.

PR jako profesjonalista czuje, że czas zmienić temat na poważniejszy.

- Pamiętasz, kochana, te śliczne kłapeczki japonki, te, które przywiozłam sobie z Wenecji?

- Oczywiście, że pamiętam. Cudne.

- A tę spódnicę w kratkę? Tę, którą w Mediolanie razem wylałyśmy na konferencji farb Balandona?

- Oj, tak, to był dobry strzał.

- A ten topik, taki welurowy z koronką na rękawach i przy szyi? Byłam w nim w pałacu Misieckich.

- Miałam ci wtedy powiedzieć, że ten topik zauważyłam, bardzo ładny.

- Ukradli mi to wszystko z samochodem, w bagażniku były.

- O Jezuu, ale szkoda.

Kelner przynosi kawę, więc „Piękna” przytomnie zdejmuje ło-
kieć ze stołu i robi miejsce. Przy okazji odkrywamy, że w dekorację

stołu dyskretnie wkomponowano dwa szampony przeciwlupieżowe.

Mistrzowska robota: tu liść, tam trawka, tu ananas - prawie nie widać, że to szampon.

- Jak ładnie się ta nowa butelka komponuje ze stołem - chwali „Dobra Nasza!”.

- To nasz stylistka zaszalał - wyjaśnia PR. - Właśnie, jeszcze wam nie mówiłam, że mamy nowego stylistę. Poznacie go wkrótce, na konferencji poświęconej nowemu stylisście. Niesamowity człowiek, artystyczna dusza, jak coś ustawi, to tak pięknie ustawi, że oczu nie można oderwać.

- Oj tak, dobrze cię rozumiem. Ja to tak mam, że jak widzę kawałek piękna, to tak mnie to porusza, że aż chce mi się płakać. Mój mąż mówi, że jestem wrażliwa.

- Ja też tak mam. Kiedyś na wystawie, ojej, co to była za wystawa, zapomniałam w tej chwili nazwiska, taki kontestator, na pewno wiecie, o kogo chodzi. W każdym razie na tej wystawie popłakałam się autentycznie, tak mnie jakoś ścisnęło...

- Przepraszam panią - wyrywa się „Małolata” - a ten nowy szampon to ile będzie kosztował w sklepach?

Zapada cisza.

- Wszystkiego dowie się pani z materiałów prasowych, które dostanie pani przy wyjściu - odpowiada chłodno PR.

No tak, nie czas teraz na to i nie miejsce.

*

Obiad prasowy. Godzina czternasta. Czterogwiazdkowy hotel przy głównej ulicy. Hall tonie w kwiatach. Pod jednym z bukietów tabliczka: *Konferencja firmy Meteor w sali balowej*. Przy wejściu PR sprawdza zaproszenia i rozdaje buziaczki. Właściwie albo sprawdza, albo rozdaje. Wyciągam z torby nieco sfatygowaną kopertę, spośród niebieskich bibulek wydobywam mały kartonik w

kształcie gwiazdy i podaje.

- O, jest, proszę bardzo. Naczelną nie mogła, przysłała mnie - dodaje, widząc zdziwione spojrzenie PR-a.

Dalej zgodnie z instrukcją naczelną wstawiam bajeczkę o tym, jak to dużo pracy ma moja przełożona, bo zamykamy numer i wszystkiego musi doglądać. Prawda jest taka, że naczelną gości właśnie na innym obiedzie, który odbywa się w hotelu pięciogwiazdkowym, więc wybór był oczywisty.

- Zadzwoń potem do pani Maliny i zapytam, dlaczego nie mogła przyjść. Przecież mówiła mi, że będzie na pewno. - PR wyraźnie jest wkurzony. - Dobrze, niech pani wejdzie.

Ha, no to jestem. W sali balowej mimo wczesnej pory panuje wieczorowy nastrój. Delikatnie sączy się muzyka, dekoracje w kolorze purpury, siedzimy po pięć osób przy okrągłych stolikach zastawionych białą porcelaną i wypolerowanymi jak lustro sztućcami. Gapię się na łyżeczki, noże, nożyki i gorączkowo próbuję sobie przypomnieć podręcznik savoir-vivre'u ambasadora Pietkiewicza - czy popełnię błąd, jeśli zaatakuję przystawkę tym pierwszym z prawej i który z lewej będzie do niego pasował. Na moje oko sztućców jest co najmniej dwa razy za dużo. Przy każdym nakryciu z prawej strony stoi talerzyk z apetyczną maślaną bułeczką, rozglądam się dyskretnie i widzę, że nie tylko ja na nią patrzę - widocznie dzisiaj nie było żadnego śniadania prasowego... Też nie jadłam nic od rana, więc już bez skrępowania patrzę w napięciu na bułeczkę, wyobrażam sobie, jaka jest smaczna i chrupiąca, jak bym ją wzięła teraz do ręki i rozkroiła, ale... czym? Który nóż należy do tej smakowitej bułeczki? Może ten mały obok? Ej, nie, to by było za proste. Z doświadczenia wiem, że gdy idzie o savoir-vivre, nie należy kierować się intuicją. Więc może ten z zaokrąglonym czubkiem? Wygląda przyjaźnie, tak, użyję właśnie tego - postanawiam.

Tymczasem trzeba powstrzymać żądze, bo właśnie zaczyna się część oficjalna. Dziennikarki niechętnie przenoszą wzrok z buleczki na PR-a, który aż drży z emocji. Dzisiaj wielki dzień, bo jego marka przeprowadza *relaunch* wszystkich produktów. Przekładając to na język zrozumiały: kosmetyki tej marki sprzedawały się bardzo słabo, więc firma zmieniła im opakowania. No ale zmiana opakowań to nie brzmi dumnie, a taki *relaunch*... klasa. W zaczarowanym świecie kosmetyków nic nie może być banalne, dlatego nowe słóiczki czy tubki mają swoją niebanalną historię. PR rozkłada szeroko ręce i roztacza przed nami wizję oceanu. Przez dłuższą chwilę opisuje ryk wzburzonych fal i świst wiatru. To, czego nie da się opisać słowem, załatwia podkład muzyczny. Po burzy na mokrym piasku znajdujemy perłę. Teoretycznie jest to możliwe, ale jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tego doświadczył w naturze. W każdym razie w relacji PR-a perła, w dodatku czarna, nadnaturalnej wielkości, leży sobie spokojnie i czeka, aż znajdzie ją projektant opakowań pan Alain Delongue z Biarritz w południowej Francji. Oczarowany widokiem pan Delongue biegnie do pracowni, gdzie z mozołem, ale w natchnieniu, tworzy całą linię buteleczek i słóiczków. Opakowania mają kolor czarny - jak perła - korek beżowy - jak mokry piasek - i napis ciemnoniebieski - jak niebo po burzy. Piękno opakowań oddaje piękno zawartości, której zadaniem jest czynienie piękna. Ot i cała historia, wracamy do buleczek.

To, po co tu wszyscy przyszliliśmy, czyli obiad, ma charakter samoobsługowy. W tylnej części sali balowej stoją stoły z elektrycznymi podgrzewaczami, w których przygotowano fantastyczne potrawy. Jeden stolik z kuchnią francuską: ślimaki, żabie udka, boeuf bourguignon i sery. Drugi z kuchnią tajską: ryba w kwiatkach i kurczak w kwiatkach. Trzeci z włoską specjalizacją: spaghetti na sześć sposobów. Przy każdym stoliku stoi wyprężony jak struna kucharz

w wysokiej białej czapie i uśmiecha się zachęcająco. Wolno, wolniutko jak na zwolnionym filmie podnosimy się z krzesel i zmierzamy w kierunku kucharzy. Cała sztuka polega na tym, żeby wyglądać w tym momencie jak ktoś, kto przez całe dotychczasowe życie nic innego nie robił, tylko przechadzał się w towarzystwie żabich udek. Taki, powiedzmy, kontroler jakości z komisji, która przyznaje gwiazdki francuskim restauracjom - spaceruje sobie flegmatycznie, tu zajrzy, tu skubnie i ogólnie rzecz biorąc, ma wszystkiego po dziurki w nosie. Nie jest łatwo udawać kontrolera, gdy się nie jadło śniadania, to oczywiste. Ale trzeba, bo tego wymaga kultura obycia. Piętnaście dziennikarek, a ja z nimi, zmierza szybko-wolnym krokiem gajowego Maruchy w kierunku zwierzyny. W połowie drogi obława dzieli się na dwie podgrupy - jedna dopada kuchni francuskiej, a druga tajskiej (kto by w takim dniu miał ochotę na kluski). Zostają nieco z tyłu, bo moją uwagę przykuwa coś na szczycie wielkiej góry spaghetti przy włoskim stole. Podchodzę bliżej, jak prawdziwy kontroler, i widzę, że to wielka czarna trufla. O, la, la, pierwszy raz widzę truflę z takiej odległości i w całości. Wygląda jak wielka zepsuta malina albo jak brzydki robal, który pilnuje całej tej góry żarcia - pewnie jest tu tylko dla ozdoby. Przerywam obdukcję, żeby poprosić kucharza o nałożenie spaghetti, a wtedy on puszcza do mnie oko i ładuje całą truflę na mój talerz!!! Wracam do stolika dumna jak paw. I kto na tym polowaniu zdobył lisią kitę?!

Tylko jedna rzecz zmąciła tego dnia moją radość: koleżanka z naprzeciwnka zamiast bułeczki z prawej wzięła tę z lewej strony, dalej poszło już jak domino - moja bułeczka zniknęła bez śladu. I co pan na to, panie ambasadorze?!

*

Piknik prasowy firmy Cleo. Majątek Reguły, godzina siedemnasta.

- W tak pięknych okolicznościach przyrody - przerwa na śmiechy i oklaski - spotkaliśmy się tu po to, by uczcić nadchodzące lato oraz naszego bohatera: krem supernawilżający Megaofense dla mężczyzn aktywnych. Czy są tu z nami jacyś panowie? Nie ma? Nawet lepiej, w końcu jak pokazują badania, to my, drogie koleżanki, zaopatrujemy naszych mężczyzn w produkty pierwszej potrzeby. Ale nie będę pań dłużej zanudzała statystyką. Dodam tylko, że przygotowaliśmy tu z ekipą Megaofense moc atrakcji. Będziecie mogły panie pojeździć konno, będą konkursy z wiedzy o naszym kremie. I wreszcie największa atrakcja dzisiejszego dnia: wróżka Linda przepowie paniom przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. A oto nasz bohater: krem Megaofense, o którym opowie paniom mistrz olimpijski w surfingu mazurskim Sławomir Dzidziak. Sławek specjalnie dla pań przyleciał wczoraj z Bostonu, gdzie przygotowuje się właśnie do olimpiady w Barcelonie. Przez ostatnie dwa miesiące Sławek używał Megaofense rano, w południe i wieczorem. Popatrzcie same.

Na scenę wkracza umięśniony dwudziestolatek.

- Dzień dobry, nazywam się Dzidziak Sławomir - mówi szybko.
- Dostałem taki krem - tu Sławek wyciąga rękę i demonstruje.
- No i, panie Sławku, no i...?! - podpowiada PR.
- W porządku.
- Co w porządku? - denerwuje się PR.
- No ten krem, jest w porządku - wyjaśnia Sławek.
- Jak same panie widzicie, nasz mistrz olimpijski jest zachwycony Megaofense. Ale, ale, panie Sławku, proszę nie uciekać. Nasze panie chciałyby się jeszcze czegoś dowiedzieć. Drogie panie, możecie Sławka pytać i dotykać. Proszę bardzo.
- Dobra, zapytam - szepcze do koleżanek Ania z „Dobra Nasza!”. - Jak pan znajduje ten krem na tle innych?

- Przepraszam, proszę o powtórzenie pytania - wchodzi w rolę Sławek.

- Inaczej zapytam, podoba się panu ten krem?

- No, mówiłem już, jest w porządku.

- A używa pan też innych?

- No, razem z chłopakami używamy żelu pod prysznic Adidas.

- Ciiiiiiii... - PR-owiec daje rozpaczliwe znaki.

- Tak zupełnie szczerze, to bardzo dobrze myje ten żel - kontynuuje niezrażony Sławek. - Wie pani, trochę tylko wezmę na rękę i mogę się cały umyć po treningu. Nawet kiedyś się pobiliśmy z chłopakami o ten żel. Nie naprawdę, na niby. Tylko takie, wie pani, przepychanki między chłopakami...

- Ciiiiiii... Jezu, ciiiiiiicho - PR-owiec jest już czerwony jak burak.

- No bo to jest naprawdę dobry żel, lepiej myje niż mydło, a jaka skóra po nim gładka. Adidas się nazywa, to pamiętam dokładnie, bo mam takie buty. Może pani sobie zapisać, to pani nie zapomni.

- Miły ten chłopak, prawda? I inteligentny jaki, nie myślałam, że sportowcy są tacy inteligentni - szepcze mi na ucho „Piękna”.

Dziewczyny, ośmielone, biorą Sławka w krzyżowy ogień pytań.

Stoję w kolejce do wróżki i pogryzam chlebek z musztardą z plastikowej tacki. Zdecydowanie nie lubię pikników, bo na piknikach jest grill, dla wegetarianki oznacza to jedzenie chleba z ketchupem i musztardą, czasem się daje upolować jakiś ogórek.

Na koniach nikt nie jeździł, bo nikt nie umie, skończyło się na głaskaniu. W konkursie wiedzy o kremie wygrała dziewczyna z „Memoir” - wiedziała, co to znaczy ofensywa, pewnie strzelała na ślepo, ale się opłacało. Pojedzie zwiedzać fabrykę w Monachium, tam powstaje Megaofense.

Zupełnie nie wiem, jak wróżki to robią, ale wiedzą o mnie wszystko. Linda powiedziała, że pracuję teraz w czymś w rodzaju wielkiego pokoju wypełnionego pięknymi przedmiotami, ale że widzę ten pokój jakby przez lustro, może to jest krzywe zwierciadło, bo te piękne przedmioty wydają mi się strasznie brzydkie.

*

W poniedziałek koncern kosmetyczny Koral organizuje dla dziennikarek szkolenie. Fantastycznie - w końcu nie prezentacje, konferencje, pikniki, spotkania, tylko poważne szkolenie. Dowiem się czegoś o produkcji, składzie, jakieś ciekawostki, przyda się do pisania. Siedzimy z koleżankami po fachu przy długim stole, naprzeciwko zasiedli przedstawiciele koncernu Koral: dyrektorzy produktów, menedżerowie, PR-owcy, asystenci. Taki na przykład dyrektor drogich perfum to jest poważny gość. Bije od niego powaga i duma; wykształcony, umundurowany w elegancki garnitur człowiek, stworzony do reprezentowania, reprezentuje, czyli siedzi za stołem i sący mineralną. Sączymy zresztą wszystkie i zagryzamy ciasteczkami. Uśmiechamy się przy tym do milej pani, która prowadzi szkolenie.

Szkolenie polega na tym, że na dużej tablicy wyświetlane są nazwy kosmetyków, a pani pokazuje każdy z nich i puszcza w obieg, do testowania. Wypada w takim momencie odkręcić, powąchać, co gorliwsze z nas robią przy tym notatki. Zaglądam sąsiadce w papierozy i widzę, że przy nazwie pierwszego kremu zapisała: *Ładnie pachnie*. Natychmiast robię identyczny zapis w swoim kajecie; odkrywcze to to nie jest, ale coś muszę mieć, może naczelną będzie chciała sprawdzić, czy uważnie słuchałam. Po krótkim wstępie z fizjologii skóry następuje wykład z meteorologii kremów nawilżających, a po nim geografia pomadek. Ta ostatnia nazwa jest, podkreśla nasza wykładowczyni, bardzo ważna, więc wszystkie dziennikarki wpisują ją wyraźnie drukowanymi literami.

Miła pani jest zdenerwowana - przypuszczam, że raczej obecnością dyrektora niż naszą. Wskaźnik, którym pokazuje coś na tablicy, drży jak różdżka radiestety tuż przed wykryciem żyły. Nagle prowadząca przerywa wykład z geografii i zaczyna się zachowywać jak ktoś, kto zgubił komórkę (znam to z doświadczenia, bo średnio raz na pół godziny mam podobne objawy): bierze swoją torebkę i mamrocząc coś pod nosem o zgubionych kluczach (jednak nie telefon), wysypuje zawartość na stół przed nami.

No nie, taka wpadka, a tak jej dobrze szło. Robi mi się żal prowadzącej. Zerkam na dyrektora, bo spodziewam się najgorszego. Tymczasem zamiast wściekłości widzę aprobatę. Dociera do mnie, że rozłóżenie milej pani było zaplanowane. Taka mała szopka na rozluźnienie atmosfery. Już rozluźnione, patrzymy, jak miła pani pokazuje, co ma w torebce, a ma oczywiście same produkty firmy Koral. Czyli chodziło o pokazanie, co elegancka kobieta powinna mieć zawsze przy sobie, na wszelki wypadek - taki jak ten dzisiejszy. Marketingowcy szelmy wiedzą, jak nas zaskoczyć, otumanic i nie dać zasnąć. Teraz będzie zabawa.

Przystępujemy do testowania, czyli smarowania czym się da nadgarstków, dłoni i paznokci. Czarnym cieniem robię duże kółko, środek wypełniam kolorowymi kropkami pomadek, maskarą dorabiam wąsy na brzegach i kreślę esy-floresy w stylu orientalnym.

To pożyteczne zajęcie przerywa mi cichy jęk. To aktorsko uzdolniona pani osunęła się na podłogę. Patrzą na nią z życzliwym zainteresowaniem. Może odegra teraz narodziny Wenus z morskiej piany. Do tego rzeczywiście warto się najpierw położyć. A piana? Pewnie ktoś przyleci z gaśnicą. I faktycznie, do sali wpadają dwaj ochroniarze, tylko że zamiast przystąpić do polewania, biorą dziewczynę pod pachy i wynoszą na zaplecze. Ta scenka nie była jednak

zaplanowana, ona zemdląa naprawdę. Dyrektor wybiega z sali. Po chwili w drzwiach pojawia się klon naszej prelegentki w identycznej garsonce z identycznym zawodowym uśmiechem.

- Przepraszam panie za zamieszanie! - mówi i jedziemy dalej.

Związki przyczynowo--skutkowe

Pracuję w „Cudzie na Twarz” od czterech miesięcy i gdyby teraz ktoś mi powiedział, że będę miała kłopoty z zaaklimatyzowaniem się w świecie kobiecych mediów, pewnie bym go wyśmiała. Piszę coraz więcej, coraz częściej chodzę na konferencje i szkolenia i... coraz więcej czasu spędzam w redakcji, chyba dlatego, że nie bardzo chce mi się wracać do domu. Paweł dzwoni co wieczór, żeby powiedzieć, jak za mną tęskni. Podpisał z Saman Brothers roczny kontrakt i wygląda na to, że nieprędko znowu będziemy mogli być razem. Oczywiście o ile nie zmienię zdania, nie rzucę wszystkiego w diabły i nie pojedę do niego.

*

- Czy ja zawsze muszę mieć takie parszywe szczęście do facetów? - Magda rozparła się na mojej kanapie z kieliszkiem (to już trzeci) czerwonego wina w ręce i ewidentnie łapie doła. - Jak tylko się zaangażuję, to natychmiast się okazuje, że facet jest kompletnym dupkiem.

Ma oczywiście na myśli swoją ostatnią zdobycz, kolegę z pracy, Holendra. Nazywam go w myślach latającym Holendrem, bo przyjechał do Polski na konferencję, spędził z Magdą trzy upojne dni w Kazimierzu, a potem wyjechał bez słowa pożegnania, podając złą datę odlotu. Zdobycze Magdy staram się wizualizować i nadawać

im pseudonimy, bo inaczej całkiem się w tych opowieściach gubię i potem jest mi bardzo głupio, jeśli coś pokręcę i wychodzi na to, że nieuważnie słucham.

- Wyobrażasz sobie, jak stałam na lotnisku z tym cholernym albumem o Tatrach, a w informacji powiedzieli, że samolot do Amsterdamu odlatuje dopiero jutro rano.

- Do Amsterdamu? Nie do Hagi?

- O holender, znów coś pokręciłam.

*

Jak się ustrzec przed kolejnym koszem? Odpowiedzi na to pytanie nie znam ani ja, ani żadna ze znanych mi kobiet. Może dlatego, że 90 procent z nich to singielki. W mojej redakcji randki, związki, kłopoty z facetami i wynikające z nich życiowe perturbacje to jeden z tematów dziennych obrad. Nie tylko Ala, Ewa i Hania, ale i asystentka Wandzia, stylistki, specjalistki od zdrowego stylu życia i żywienia, pięknej kuchni i horoskopów, ba! nawet sama naczelna to single. Sytuacja damsko-męska jest dramatyczna, dość powiedzieć, że nasza redakcyjna psycholożka, specjalizująca się w pisaniu o seksie, nie ma faceta od roku. Pani Malina - z całym zespołem jest na ty, ale ze mną nie chce się jeszcze spoufalać - mimo dobrze przekroczonej czterdziestki trzyma się fantastycznie: szczupła, wysoka, zimna blondyna w ultranowoczesnych ciuchach, w konkursie urody mogłaby spokojnie konkurować z dużo młodszymi koleżankami z mediów. Jednak mimo walorów zewnętrznych naczelna wciąż prowadzi poszukiwania partnera życiowego i nieustannie wspomina największą miłość swojego życia, niejakiego Bogusia. Poznali się dwa lata temu w tajemniczych okolicznościach na festiwalu w Cannes (kobiety pokroju pani Maliny nie poznają mężczyzn na plaży w Międzyzdrojach). Pan Boguś był operatorem Telewizji Polskiej, która transmitowała galę, a pani Malina pojechała przeprowadzić

wywiad z pewnym bardzo znanym zagranicznym aktorem, przy czym z góry było wiadomo, że aktor nie będzie miał czasu na wywiad dla gazety z nie bardzo dalekiego, ale jednak Wschodu, więc naczelna ma dwa dni wolne. Właśnie w ciągu tych dwóch dni wydarzyło się coś, na wspomnienie czego naczelna do dzisiaj się czerwieni. Co to było dokładnie, nie wiadomo, ale musiało być wyjątkowe. Wyjątkowe jak rzadkie, acz intensywne SMS-y, które pani Malina wysyła swojemu byłemu kochankowi w chwilach, kiedy czuje wyjątkową pustkę. Na przykład w trakcie redakcyjnego kolegium. Te SMS-y nie odnoszą najwidoczniej oczekiwanego skutku i pani Malina nadal jest singlem.

*

To była jedna z tych sobót, kiedy nie mogłam się doczekać, aż zadzwoni budzik. Wskoczyłam z łóżka z przemożną chęcią pisania i od razu zaplanowałam, że będę dzisiaj robiła nowinki. Nowinki, czyli kosmetyczne newsy nie pierwszej świeżości są czymś w rodzaju zapychaczy powierzchni w gazecie, na stronie mieści się pięć dużych albo siedem drobniotkich notek, w których opisujemy zalety kosmetyku, którego zdjęcie umieszczamy tuż obok. Czasem ta robota idzie łatwo, szybko i przyjemnie, a czasem w wielkich bólach. Wszystko zależy od nastroju, bo notki powinny być w osobistym tonie, odkrywcze i błyskotliwe. Hasła w rodzaju: „po prostu musisz to mieć”, albo „podaruj sobie odrobinę świeżości” to tandeta i szanująca się dziennikarka urodowa powinna wymyślić coś więcej, błysnąć wiedzą na temat składników, zarazić czytelnika pasją. Najlepiej, żeby pasja była szczerą, dlatego warto wprowadzić się w dobry nastrój. W moim wypadku drożdżówki z budyniem na śniadanie i malinowa herbata zwykle załatwiają sprawę, ale tym razem sprawdzone wspomagacze okazały się niewystarczające. Pobieżne przejrzanie teczek z materiałami prasowymi, które przyniosłam z redakcji, uświadomiło mi, że nie będzie lekko: krem do pękających

pięt, oliwka do pielęgnacji skórek wokół paznokci i tajemnicze Perły Urody jakoś nie budziły mojego entuzjazmu. Zajrzałam głębiej w papiery ze starszych konferencji: szminki z efektem rozlanej benzyny, pistolet do „ostrzeliwania” kurzych łapek i samotemperująca się kredka do brwi - no to leżę, tutaj sama wyobraźnia nie wystarczy, to wszystko wymagało dokładnego obejrzenia. Dopiłam malinową herbatkę, zapakowałam materiały do torby i pojechałam do redakcji. Na mój widok portier, pan Wojtek, zrobił zdziwioną minę, ale tylko postukał ołówkiem w rejestr odwiedzających i wydał mi elektroniczną wejściówkę. W redakcji było cicho i pusto. Przez przeszklone drzwi pokoju naczelnej zobaczyłam gigantyczny kosz czerwonych róż z wetkniętym między wstążki bilecikiem. Pewnie jakiś PR realizował kolejny punkt akcji promocyjnej. Czerwony pajacyk siedzący na obudowie monitora przy biurku Ali wyglądał, jakby spał. Pootwierałam szafy z kosmetykami i poszłam do kuchni zrobić sobie kawę. Wróciłam do pokoju z parującym kubkiem i usadowiłam się przed komputerem Eli - najlepsze miejsce w całej redakcji, panoramiczny widok z okna - dzisiaj to będzie moje królestwo. Uruchomiłam komputer, założyłam na uszy słuchawki, włączyłam nowo-orleański dżezik i raz po raz zerkając na swoje zabawki, czyli tubki, buteleczki i kredki, które znalazłam w szafie, zaczęłam stukać w klawisze w natchnieniu. Całkiem dobrze mi szło i miałam już piętnaście tłusciutkich nowinek na ekranie, kiedy zorientowałam się, że musi być późno. Panorama za oknem poszarzała i z trudem zaczęłam odróżniać kolory szminek. Dość na dziś, norma wyrobiona, najwyższy czas wracać do domu. Wyłączyłam muzykę, ale zanim jeszcze zdążyłam zdjąć słuchawki, usłyszałam cichy jęk. Potem jeszcze jeden i jeszcze.

Przez chwilę myślałam, że to wciąż jeszcze muzyka, ale nie, jęk dochodził z zewnątrz.

- Ej, ej, ej...

Siedziałam nieruchomo, zastanawiając się, co właściwie mam zrobić i wtedy zauważyłam, że pajacyk na monitorze Ali kiwa lekko głową. Tego już było za wiele. Widziałam w życiu kilka horrorów i wiem, że motyw pajacyka jest jak najbardziej prawdopodobny. Ze wzrokiem utkwionym w ożywającą zabawkę ściągnęłam słuchawki z uszu i wstałam. Pajacyk znieruchomiał, za to jęk powrócił i to jeszcze głośniejszy.

- No, no, no - wyraźnie dobiegało z korytarzyka.

Gorączkowo wrzuciłam do torby wszystko, co miałam na biurku, i nie przestając nasłuchiwać, ruszyłam bezszelestnie do drzwi.

Cokolwiek to jest, chyba mnie nie zje?

Ostrożnie wyjrzałam zza framugi - droga wolna! Kiedy truchtając w panice, mijałam pokój naczelniej, jęki powróciły z jeszcze większą intensywnością.

- No, no, no! - Tym razem brzmiało to bardziej zawadiacko.

Na wykładzinie przed drzwiami pokoju leżała długa jasna pończocha. Spojrzałam przez szklaną tafłę drzwi do środka i oczy wyszły mi z orbit. Zobaczyłam panią Malinę w ekwilibrystycznej pozycji półleżącą na biurku pod koszem czerwonych róż i pochylonego nad nią mężczyznę w białej koszuli. Starannie zazwyczaj ułożony blond bob naczelniej sterczał dramatycznie zza głowy bruneta - całowali się, wydając przy tym głośnie jęki.

Właściwie powinnam w tej chwili wziąć nogi za pas, ale stałam jak urzeczona, wpatrując się w to widowisko. Nigdy dotąd nie widziałam pani Maliny w okolicznościach, które wykluczałyby nienaganny wygląd. Zawsze jest taka dopasowana, pozapinana i usztywniona, że nawet trudno ją sobie wyobrazić w nieformalnych sytuacjach, a tu taka niespodzianka. Zafascynowana postanawiam popatrzeć jeszcze moment. Pani Malina, nie przerywając całowania, oparła nagą, całkiem zgrabną nogę na pośladkach adoratora i wpiła

się w jego białą koszulę paznokciami. Efekt benzyny - oceniam szybko, że to najmodniejszy kolor z ostatniej kolekcji Kler. Tęczowe pazury coraz mocniej drapały bruneta. I wtedy go poznałam: te same zielone tweedowe spodnie w kancik i półdługie, mocno nażelowane włosy à la włoskie wakacje - toż to ten sam brunet, który obściskiwał Magdę na mojej trzydziestce i zaliczył bliskie spotkanie z urodzinowym tortem!

- Joanna?!

Krzyk naczelnej nie budził wątpliwości: zostałam nakryta i co gorsza, rozpoznana.

Pani Malina i brunet przerwali obściskiwanie i popatrzyli na mnie przez szybę. Wyszczrzyłam zęby w histerycznym uśmiechu, dygnęłam i uciekłam z redakcji.

No to po mnie - myślałam gorączkowo w windzie, nerwowo dusząc przycisk z napisem *Parter*.

Porozmawiajmy o urodzie... szczerze

Mogłoby się wydawać, że kobieta z dostępem do kosmetyków powinna wyglądać jak bogini. Bo w końcu kto jednym pociągnięciem pióra - albo raczej, z przeproszeniem, kliknięciem myszki - wpędza w kompleksy rzesze czytelniczek źle dobierających kremy do twarzy, niezmywających na noc makijażu, tych z nieodpowiednio dobranym cieniem i szminką, czy, co gorsza, niewłaściwą fryzurą? Kto lansuje rozmaite dekalogi urody i bezlitośnie łaje te z nas, które popełniają kardynalne błędy w pielęgnacji i makijażu, nie mówiąc o „grzechach niewłaściwego odżywiania... skóry”? Toż to prawdziwa skarbnica wiedzy, może grzmieć jak trąba jerychońska. Alfa i omega w dziedzinie urody prawdopodobnie budzi się, a potem zasypia z oczami czystymi jak poranny nieboskłon, cerą wilgotną za sprawą kremów nawilżających i ciałem iskrzącym się od porannego żelu nablyszczającego. Nic bardziej mylnego. Prawda jest taka, że bywa dokładnie odwrotnie.

*

Dziecko, które dostaje do ręki nową zabawkę, od razu sprawdza, czy działa. Z dziennikarkami urodowymi jest podobnie, po części z zawodowego obowiązku. Na szkoleniu Korala spojrzałam na moją redakcyjną koleżankę i autentycznie jej nie poznałam. Ela siedziała na końcu stołu, więc to do niej w efekcie spływały wszystkie testowane produkty, które natychmiast nakładała na twarz w takiej

kolejności, w jakiej przychodziły. Jedno oko na niebiesko, drugie na różowo, górna rzęsa zielona, dolna biała, złota smuga przez środek policzka i druga fioletowa mniejsza nieco niżej. Na to wszystko jeszcze żółta gwiazdka, brylancik oraz sztuczna rzęsa z kolekcji karnawałowej.

- Pani Elu, może dam pani chusteczkę - nie wytrzymał dyrektor jednego z produktów, które miała na twarzy (pewnie chodziło mu o antyreklamę). Ale Ela machnęła tylko ręką i poleciała szukać tak-sówki.

*

- Jak się macie, moje bellissimy? - wita naczelną dziennikarki wracające z konferencji.

Na tak postawione pytanie jest tylko jedna odpowiedź:

- Nie bardzo.

Tak już się utarło między kobietami, że za komplementy nie wypada dziękować. Bellissima może być zakamuflowanym komplemmentem i trzeba zachować czujność. Od pamiętnej soboty, kiedy nakryłam naczelną in flagranti, staram się niczym nie narazić. Następnego dnia pani Malina patrzyła na mnie intensywnie przez całe kolegium. Zupełnie nie wiedziałam, jak przed jej wzrokiem uciec, więc udawałam, że pilnie notuję. Bałam się, że wezwie mnie do siebie na rozmowę, a tu nic. Udajemy, że nic się nie stało. Ciekawe, jak długo. Teraz też naczelną mówi niby do wszystkich, a patrzy na mnie, brrr. A wracając do wyglądu...

*

Wygląd kobiety, jakikolwiek by był, nie jest powodem do zachwyków, tylko przyczynkiem do niekończących się rozmów o problemach z nim związanych. Dlatego w pracy redakcyjnej najważniejszym rekwizytem jest lustro. Jeden rzut oka w zwierciadelko i

rodzi się dyskusja, drugi rzut oka i rodzi się pomysł na nowy tekst.

- Matko, jak mnie wysypało po tej czekoladzie, którą wczoraj zjadłam na kolację - mówi Ala.

- Faktycznie, wyglądasz strasznie. Napiszmy o roli czekolady dla kondycji skóry. Można będzie pokazać kosmetyki w kolorze czekoladowym, te, które mają czekoladowe opakowania. Świetnie to będzie wyglądało, materiał na trzy strony.

- Tak, tak, to dobry pomysł.

- Mnie tak wysypuje po mleku - mówi Ela. - Chyba mam alergię czy coś.

- Napiszmy w takim razie też o mleku. Mleko doskonale łączy się z czekoladą. Powstaje wtedy kakao.

- To może i o kakao napiszemy, mamy kilka kosmetyków w kolorze kakaowym. Świetny materiał z tego będzie, już to widzę: mleko, czekolada, kakao. Mniem, mniem, jaki smaczny temat. Ja to biorę, ukrećę na sześć stron. Może nawet zrobimy z tego wiodący temat numeru.

Z praktycznego punktu widzenia najbardziej niepraktyczna rzecz dla dziennikarki urodowej to uroda. Bo jak jest uroda, to nie ma tematu i odwrotnie. Dlatego ludzie piękni albo chociaż zwyczajnie niebrzydki nie istnieją.

- Ta dziennikarka z „Rity” to piękna dziewczyna - zachwycam się po powrocie z konferencji.

- No wiesz, ona piękna?! Co ty opowiadasz, dziewczyny powiedzcie same, czy Ola z „Rity” jest piękna?

- Jest straszna.

- Jest ohydna: sucha jak badył, koścista, na pewno ma anoreksję.

- Tak, anoreksję ma na sto procent. Jak na nią patrzę, to widzę tylko te wielkie oczy.

- Oczy, jakie oczy, kochana?! To są gały, wielkie, załamane ciągle. Obrzydliwość.

- Dla mnie to po prostu potwór.

- Ej, no nie przesadzajcie, może się nie podobać, ale żeby zaraz potwór? Była modelką.

- O Boże, to co, że była, wiesz przecież, jakie obrzydliwe maskary są modelkami. To nic nie znaczy, to potwór.

- Ja bym zrobiła jej tak - zaczyna wyliczać Ela. - Przefarbowałabym ją na rudo, bo ten blond słomiany to porażka. Korekta nosa by się przydała, żeby nie był taki zadarty. Piersi powinna powiększyć przynajmniej ze dwa numery, bo wygląda jak facet. Oczy na czarno musi tuszować mocno, to będą się wydawały mniejsze, no i usta ma takie nadęte. Odessać się tego nie da, ale może przynajmniej ciemniejsza pomadka... Ale jak nie przytyje z piętnaście kilo, to i tak wszystko na nic.

- A wiecie, napiszmy o takim przypadku jak Ola z „Rity”. Napiszmy, jak sobie radzić z taką koszmarną brzydota. Jak się czesać, malować, jakie zabiegi sobie robić. Przecież jest dużo takich biednych dziewczyn jak ona, trzeba im pomóc.

- Tak, pomóżmy Oli - zgadzam się na wszystko.

*

- Zrobiłam tak - opowiada Hania. - Wykąpałam się i położyłam na twarz tę nową maseczkę Success. Jest gęsta jak miód, więc strasznie się namęczyłam, żeby ją równo rozsmarować na twarzy, ale w końcu się udało. Na powieki położyłam maseczkę w płatkach Skila. Śmierdzi strasznie, ale napakowałam sobie do nosa waty i jakoś wytrzymałam z tym wszystkim dwadzieścia minut. Maseczka zastygła w taką skorupę mało elastyczną, jak ją zdejmowałam, to musiałam na siłę odrywać, tak się przylepiła do skóry. Zmyłam twarz mleczkiem, tym, co to je we wtorek dostałyśmy na konferencji. Bardzo przyjemne, ładnie pachnie i skóra się po nim nie lepi. Posmarowałam twarz tą kuracją w ampulkach, no wiecie: Ampułki na Dobranoc Success, do stosowania po maseczce. Piekło mnie i

swędziało, więc trzymałam dziesięć minut krócej, niż zalecają. Zmyłam tonikiem jęczmiennym Banana. Wszedł w jakąś reakcję taką dziwną z tą kuracją, że grudy się porobiły, jeszcze raz musiałam użyć mleczka z wczorajszej konferencji. Jak już wszystko oczyściłam, to posmarowałam się kremem na noc, tym, który mam od tygodnia, więc jest sprawdzony. Poszłam spać, a rano obudziłam się w takim stanie...

Hania podnosi brodę do góry, żeby było lepiej widać.

- Plamy mam czerwone, wszystko mnie swędzi i odkryłam dwie nowe zmarszczki w kącikach oczu. Jak myślicie, co mi zaszkodziło? Moim zdaniem to była ta maseczka Success. Ale pewności nie mam...

*

Wandzia, asystentka naczelnej, przylatuje do działu urody i każe natychmiast zamknąć drzwi. Zamykamy, bo wygląda jakoś dziwnie - trochę jakby miała za chwilę eksplodować: krztusi się i na przemian gorączkowo łyka powietrze. Może najadła się czegoś niedobrego w bufecie, tylko dlaczego nie leci z tym do łazienki, a do nas? Dziwne. Ale zanim zdążymy rozwikłać tę zagadkę, Wandzia wybuchła śmiechem. Leży na biurku i rży jak żreback, w końcu zbiera się jakoś, ociera łzy rękawem i mówi:

- Nasza Królowa zrobiła sobie operację plastyczną!

Wiadomość jest pierwsza klasa. Królowa, czyli naczelna, dotąd twardo opowiadała się przeciwko tego rodzaju zabiegom, a tu proszę - zrobiła to! Natychmiast chcemy wiedzieć, co za operacja.

- Kiedy weszła dzisiaj rano do redakcji, trzymała gazetę przy twarzy. Powiedziała, że nie czuje się najlepiej i żeby odwołać wszystkie spotkania. Zapytałam, co się stało, a ona na to, że ukąsiła ja osa. W usta, ha, ha, ha, czujecie to? W usta! Poprosiłam, żeby pokazała, i o rany dziewczyny, tego się nie da opisać...

Wandzia nic więcej nie jest w stanie powiedzieć, bo znowu śmieje się jak szalona.

Wymyślamy na poczekaniu palący problem redakcyjny i biegniemy do gabinetu naczelnej. Dopiero po dłuższej chwili słyszymy: - Proszę. - Brzmi zupełnie inaczej niż zwykle, zdecydowanie bardziej prosząco.

Królowa siedzi przy biurku i próbuje przybrać surowy wyraz twarzy, ale nic z tego. Jej górna warga wygląda, jakby ktoś ją wywinął i przylepił niewidocznym plastrem. Czy z czymś takim można wyglądać poważnie? Odwracam się do Wandzi i robię „murzynka” - dolna warga wywinęta, nad nią wysunięty koniuszek języka. Jest tak, jak mówiła.

Pamela Anderson w fotelu naczelnej wygląda na załamana. Nawet nie stara się wstawiać głodnych kawałków o osie snajperce.

- Trzy miesiące - mówi cicho.
- ????
- Powiedzieli, że to zniknie za trzy miesiące.

Naczelna znowu patrzy tylko na mnie, w napięciu, a ja ze wszystkich sił staram się przybrać współczujący wyraz twarzy, podczas gdy w środku ryczę ze śmiechu.

*

Nie ma kobiet brzydkich, są tylko kobiety zaniedbane. Tak głosi hasło przewodnie naszego pisma. Niestety, z moich obserwacji wynika, że jak ktoś bardzo dba, żeby niczego nie zaniedbać, to też nie jest dobrze. Wystarczy spojrzeć na nas.

Ala jest fanką kosmetyków naturalnych. Wybiera tylko parafarmaceutyki, czyli kosmetyki, które można kupić w aptekach. Za nic w świecie nie użyje czegoś, co nie ma w składzie ekstraktu z roślin, zielonego koloru albo przynajmniej roślinnego zapachu.

Hania lubi chemię. Fascynują ją kosmetyki z uczenie brzmiącymi nazwami składników: koenzymy, molekuły i bioregulatory.

Wierzy w potęgę nauki, w to, że krem działa jak doktor Dolittle - dla każdego coś dobrego.

Ela lubi dużo, wszystko jedno jaki kosmetyk. Wszystko, co wpadnie jej w ręce, natychmiast nałoży na twarz, żeby sprawdzić. Chyba, czy nie odpadnie. Często, kiedy patrzę na Elę, zastanawiam się, gdzie się kończy wytrzymałość ludzkiej skóry.

Wszystkie dziennikarki (ja niestety też) mają alergię i przesuszoną skórę, wszystkie mają jakieś zmarszczki, może nawet ciut więcej niż u przeciętnej dziewczyny, a może tylko wiedzą, jak je znaleźć. Ale nie bądźmy powierzchowne.

W oparach absurdu

Wiem już, kim jest brunet w zielonych tweedowych spodniach. To Olgierd, fotograf. Fotografowie dzielą się na takich, którzy robią dla nas packshoty, tzn. zdjęcia kosmetyków, i tych, którzy fotografują modelki w studiu. Ci pierwsi zarabiają mniej i muszą się bardziej namęczyć (tak jest w każdej profesji), dlatego robią wszystko, żeby fotografować sesje mody albo przynajmniej robić mini-reportaże. Sprawa nie jest łatwa, bo wystarczy przejrzeć jakąkolwiek kobiecą gazetę i policzyć, ile jest w niej zdjęć mody, a ile zdjęć drobnych przedmiotów - tych drugich dużo, dużo mniej. Dlatego fotografowie mody to elita, ścisła czołówka, która przebiera w zamówieniach, a gazety i styliści ustawiają się do nich w kolejkach. Olgierd jest fotografem od kosmetyków, czyli tym mniej ważnym i robi wszystko, żeby się wkręcić do fotograficznej elity. Magda o mało się nie rozpląkała, kiedy powiedziałam jej o romansie naczelnej.

- A to skubaniec jeden, nie wiedziałam, że to taki drań.
- Odniosłam wrażenie, że się znacie.
- A skąd! To znajomy Damiana, poznaliśmy się dopiero na twojej trzydziestce. Wiesz, ile razy do mnie wydzwaniał po tamtej imprezie, ile SMS-ów wysłał? Na początku nie chciałam z nim gadać, ale tak prosił i skamlał, że się z nim w końcu umówiłam w Agrafce na kawę. Cały wieczór wypytywał mnie o ciebie, gdzie pracujesz i co

tam robisz, nawet byłam trochę zazdrosna, ale teraz już rozumiem dlaczego. On ma jakieś studio fotograficzne, ale chyba kiepsko mu idzie, bo za wszelką cenę chce się wkręcić na stałe do jakiejś gazety, żeby mieć więcej zleceń. Pewnie jest zdeterminowany, opowiadał mi, że jego wspólnik nie chce już z nim pracować i musi go spłacić.

I wszystko jasne. Zdaniem Olgierda droga do sukcesu prowadzi przez naszą wyposzczoną redakcję. Z całą pewnością romans z panią Maliną przyda mu się bardziej niż obściskiwanie mojej przyjaciółki, która nie pracuje w mediach. Co za okrutny świat. Magda zbiera się właśnie do kupy po kolejnym rozstaniu i moich ostatnich rewelacjach, więc pozwalam jej zamieszkać u mnie w czasie, kiedy będę na konferencji w Islandii.

*

Błękitna Laguna to coś w rodzaju kompleksu uzdrowskiego zbudowanego na bazie gorących źródeł pochodzenia wulkanicznego. Podobno kiedy przyjechała tutaj na wypoczynek Claudia Schiffer, zamknięto cały obiekt, by mogła popływać w naturalnych basenach tylko z przyjaciółmi. Dla nas oczywiście nikt nie zamierzał niczego zamykać, więc razem z weekendowym tłumem mieszkańców Reykjavíku poszliśmy się przebrać do szatni. Ponieważ jestem z natury raczej wstydliva, czułam się trochę skrępowana. Znamy się z dziewczynami służbowo, a teraz się będziemy służbowo rozbierać. Niby tylko do kostiumu, ale zawsze głupio. Kuląc się pod ręcznikiem, rzuciłam okiem na Islandki i... O jasny gwint! Zupełnie mnie zamurowało. Jak każda kobieta, mam mnóstwo kompleksów, ale w tamtym momencie wszystkie skurczyły się jak przekłuty balonik. Przed oczami miałam coś w rodzaju poradnika medycyny sądowej. Czego tam nie było, a fuj! Wtedy po raz pierwszy poważnie zwątpiłam w moc kosmetyków i błotnych kąpiei. Skoro mają tu

takie bogactwa natury, to jak to możliwe? Wypłynęłam prosto z szatni na szerokie acz płytkie wody Błękitnej Laguny w kłębach pary i już całkiem bez wiary, że ta kąpiel zmieni coś w moim życiu i wyglądzie. Cudów nie ma, trzeba się pogodzić z tym, co mam.

- O matko, ile tu Hlynurów - wysapał biały gumowy czepek, który wynurzył się tuż koło mnie z mętnej kipieli. Właścicielka czepka, Bożena z „Ponętnych Ust”, najwyraźniej też nie doceniała nordyckiej urody. – Normalnie „101 Reykjavik” w realu - rechotała.

*

Nie do wiary, jak podjadanie smakołyków, błotne kąpiele i oglądanie gejzerów potrafią człowieka wykończyć. Nie mówiąc oczywiście o przykrych obowiązkach wynikających z charakteru tej wybieżki, czyli szkoleniach z obsługi nowego opakowania superkremu (zajęłam pierwsze miejsce w konkursie zakręcania na czas) i przyswajaniu wiedzy o jego magicznych właściwościach (w zasadzie nie potrafi się tylko sam rozsmarować). Po czterech dniach tej katorgi stadko dziennikarek z radością wylądowało na polskiej ziemi. Jadąc taksówką do domu, myślałam o czekającej mnie kąpiel. Włączyłam komórkę i wykręciłam numer Magdy.

- Dojeżdżam, jesteś w domu?

- O, już? Tak wcześnie? - zdziwiła się.

- Zgodnie z rozkładem lotów, a co, nie cieszysz się?

- Tak jasne, tylko widzisz... hmm... a kiedy dokładnie będziesz?

- Dokładnie to jestem teraz na klatce - powiedziałam, wciskając kod w domofonie.

Kiedy wygramoliłam się z walizką z windy, Magda stała w drzwiach.

- Młach, młach - wycalowała mnie i tarasując sobą korytarz, zaczęła ciągnąć do łazienki.

- Może pozwolisz mi odstawić walizkę?
- Daj mi ją, nie ma czasu, jest taka sprawa... - Zamknęła drzwi do toalety i zaczęła szeptać: - On tu jest!
- Kto?
- Olgierd.
- O matko! Ten fotograf? Jak to możliwe?!
- Zaprosiłam go - wyznała ze skrucną w głosie. Poczulałam, że robi mi się słabo.
- Zaprosiłaś faceta, z którym kręci moja szefowa?!
- Potrzebowałam zdjęcie do biuletynu w pracy i pomyślałam o nim. No wiesz, znajomy fotograf, po co mam szukać, jak on jest pod ręką, moja firma płaci, dam mu trochę zarobić.
- Chyba oszalałaś. Po tym wszystkim, co ci opowiedziałam, chcesz się spotykać z tym facetem? Zdjęcia, dobre sobie, poza tym jak już chciałaś się z nim spotykać, to przecież on ma podobno własne studio.
- Już nie - rozstał się z tym współnikiem i teraz nie ma się gdzie podziąć. Powiedział, że u ciebie jest takie piękne światło... Daj spokój, chodzi tylko o portrecik.
- Taak, i nie ma w tym w ogóle erotycznego podtekstu?
- No może taki... małej... - Magda robi minę niewiniątka.
- Słychać pukanie do drzwi, więc uchylam je trochę. W korytarzu stoi Olgierd z wielką metalową walizką i statywem przewieszonym przez ramię.
- Dzień, dobry. To ja będę leciał - mówi szybko. - Znamy się już trochę z widzenia, ale jeszcze nie miałem okazji się przedstawić: Olgierd Miodulewicz, fotograf.
- A tak, widzę, bardzo dużo ma pan sprzętu - mówię, pokazując na walizkę i natychmiast oblewam się rumieńcem. Ale mi się powiedziało.
- Olgierdowi chyba też zrobiło się niewyraźnie, bo bąka coś tylko pod nosem i znika za drzwiami. Całe szczęście, że nie muszę go zapraszać na herbatkę.

Robię w myślach szybkie podsumowanie, żeby się w tym wszystkim nie pogubić: jeden brunet z dużym aparatem, moja przyjaciółka i szefowa w roli rywalek, do tego ja w roli przyzwoitki i moje własne mieszkanie w roli domu schadzek. No to pięknie, tylko jak ja mam w tych warunkach pracować?

Kody mody - kto jest czego ofiarą

Wyglądałyśmy jej na parkingu wydawnictwa i w windzie, a ona przyszła pieszo: nowa. Słyszałyśmy, że ma trudny charakter i będzie chciała wszystkich rozstawiać po kątach, a ona cicha i jasna (blondynka), weszła z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Tylko jedna rzecz - ubranie. Nasza koleżanka w zimny listopadowy dzień wybrała się do nowej pracy w takim oto stroju: różowa supermini, do tego fioletowe kabaretki i białe szpilki. Podniszczone, ale za to od Prady. Na buty założyła coś w rodzaju różowych skarpetek, które przycięła tak fikuśnie, że przez jedną dziurę wychodził czubek buta, a przez drugą obcas. Chude nożyśka kulila pod czarnym wełnianym paletkiem z różowymi wyłogami. W klapę, czy to na szczęście, czy na dobry początek współpracy, wpięła ni mniej, ni więcej tylko trupią czachę z piszczelami. Rozchyliła uszminkowane na czerwono usta i szepnęła:

- Cześć, jestem Maja, ktoś tu pali?

Maja nie była może ubrana odpowiednio do okazji, ale na pewno była modna.

*

- Gdzie pani kupiła takie buty, pani Asiu? - pyta mnie naczelna, zerkając znad swojego zastawionego sushi stolika w bufecie pod mój stół, na którym jak zwykle stoi miska sałatki cesarskiej. Już otwieram usta, żeby odpowiedzieć, ale szybko rezygnuję, widząc

zdegustowaną minę pani Maliny. Oj, to chyba nie był komplement... Odkąd zaczęłam pracować w piśmie kobiecym, codziennie dowiaduję się czegoś nowego, o sobie też. Może moje brązowe członka nie są specjalnie trendy, ale proszę popatrzeć, jak dobrałam dodatki: zamiast paska włożyłam w szlufki długą chustkę, na rękach oprócz zegarka z napisem *10-lecie firmy Koral* mam wszystko, co kiedykolwiek dostałam na konferencjach - z gumową różową sprężynką włącznie. Staram się, staram.

- Naczelną uważa, że ubierasz się za skromnie – zdradza mi Ala, którą umiejętnie podchodzę w palarni. – Zapytaj Kamila.

Dobry pomysł. Kamil to jeden z naszych redakcyjnych stylistów, ubiera gwiazdy, zna się na rzeczy. Zaglądam do jego kanciapy aż po sufit zawieszanej najrozmaitszymi częściami garderoby. W wielkich pudłach leżą chusty, paski i najmodniejsze torby. Zwiewne sukienki i bluzki wiszą rzędem na wieszakach z przyczepionymi do nich zdjęciami - Kamil przygotowuje zestawy ciuchów do sesji mody.

- Troszkę jestem zajęty - uprzedza.

- Przyszłam po radę... - Robię proszącą minkę.

- No dobrze, o co chodzi? - Widać, że Kamil czuje się mile połączony. Odkłada na biurko aparat i poprawia szelki. Kamil to jedyny znany mi mężczyzna, który nosi szelki. To również jedyny znany mi mężczyzna, który nosi szelki na gołe ciało. Przytrzymuje nimi czarne skórzane spodnie pełne suwaków i rozcięć.

Czerwone trampki Converse'a, kolczyki w sutkach, apaszka i czarny zamszowy kapelusz dopełniają całości - obok Kamila nikt nie przejdzie obojętnie.

- Chodzi o mnie - wyjaśniam. - Chciałabym wyglądać bardziej modowo.

- Kochana, na to jest tylko jedna rada - jesteś w świątyni dobrego

wyglądu, miej oczy szeroko otwarte, obserwuj i naśladuj.

*

Z moich obserwacji wynika, że gdyby Kamil miał napisać instrukcję, jak dostosować garderobę do pracy w kobiecej redakcji, brzmiałaby ona mniej więcej tak:

1. Wyjmij z szafy wszystkie ciuchy i rozrzuć na podłodze.
2. Jeśli mieszkasz z babcią i w tej chwili nie ma jej w domu, zrób to samo z jej szafą.
3. Sprawdź, czy w piwnicy i na strychu nie masz pudła z ubraniami z dzieciństwa, mogą okazać się bardzo przydatne.

Czas na rewizję.

1. Znajdź wszystkie białe bluzki i czarne garniturowe spodnie - odrzuć.
2. To samo zrób z małą czarną i żakietami.
3. Pozbądź się bliźniaków, czyli rozpinanych sweterków i bluzetek, które da się zestawiać w jednobarwną całość.
4. Pozbądź się wszystkiego, co ma podobny kolor.
5. Wyrzuć na śmietnik spódnice, które wydają ci się choć trochę eleganckie.
6. Ostrożnie z bielizną! Nie wyrzucaj halek - teraz to będą twoje spódnice.
7. Cieliste rajstopy odpadają, czarne możesz zostawić, ale tylko pod warunkiem, że podrzesz je na strzępy (jeśli uważnie czytałaś, wiesz, że posłużą jako ochraniacze na buty).
8. Obetnij rękawy w swetrach - reszta nie będzie ci potrzebna.
9. Pomocna uwaga: z szafy babci niewiele trzeba będzie usunąć, no, może powstańczy mundur dziadka (ale nie wyrzucaj, tylko w

tym sezonie jest niemodny! Za to już medale są hitem). Ubranka z dzieciństwa przechodzą w całości do drugiej rundy.

Teraz uważnie przyjrzyj się temu, co masz.

1. Każdy ciuch powinien mieć inny kolor, chyba że ma deseń. Desenie są w cenie. Im bardziej pstrokate, tym lepiej.

2. Nic nie powinno wyglądać na nowe. Będziesz starała się wyglądać jak kobieta, która ubiera się markowo, a każda z twoich koleżanek wie, że markowe ubrania kupuje się tylko z drugiej ręki - nowe są tak drogie, że nikogo na nie nie stać.

3. Sprawdź, czy gdzieś nie zaplątały się jakieś klasyczne džinsy - też trzeba wyrzucić. Z klasycznych rzeczy dopuszczalne są tylko siatkowe podkoszulki ojca, ale tego możesz nie mieć teraz pod ręką.

OK, gotowa do pierwszej przymiarki?

1. Zamknij oczy i weź pięć dowolnych ciuchów (możesz korzystać z szafy babci).

2. Na razie nie przejmuj się dodatkami. Dodatki dobiera się do całości, najlepiej z puli dziecięcej.

3. Stań przed lustrem i zobacz, jak wyglądasz. Masz na sobie jedwabną halkę w kolorze brudnego różu (tak to bywa czasem z ubraniami babci), na nogach grube wełniane rajstopy w odcieniu butelkowej zieleni w białe prążki (poziome) - świetnie. Na górę wybrałaś musztardowy golfik non-iron (oj, będzie gorąco!), a na koronkowa bluzka z bufkami - w łączkę. Nie wiesz, co zrobić z czerwonymi rękawami od swetra? A co się robi z rękawami? To nic, że swetra już nie ma - są ochraniacze na łokcie.

4. Pora na dodatki. To one są najważniejsze, określają całość, podkreślają twój gust i smak. Dobrze dobranymi dodatkami możesz zmienić strój nie do poznania. No właśnie. Jeśli założysz zwykłe

szpilki, etolę z lisa i koronkowe mitenki, będziesz wyglądała szykownie. Ale jeśli zastąpisz je sandałami, a na głowę założysz tyle kolorowych spinek, ile tylko się zmieści, to będzie ciut bardziej na luzie.

5. W wolnej chwili zrób na plecach aplikację ze śpiochów, w których chodziłaś, a właściwie leżałaś trzydzieści lat temu. Na szyi zawieś zamiast naszyjnika dziecienny bucik - wybierz taki, żeby zmieściła się komórka. No i co, zaskoczona? Nie rycz, głupia, jesteś *fashion*, to się nazywa styl *vintage*.

*

Od urody do mody jest tylko rzut beretem, bo czy może być lepsza okazja do pokazania się niż konferencja prasowa? Poza tym w obu dziedzinach najważniejsze jest kreatywne podejście do kreowania własnego wizerunku. Odrzucmy schematy w rodzaju: spódnica trzy czwarte i biała bluzka to najlepszy strój do pracy. Podrzyjmy na strzępy wypróbowane recepty w rodzaju: chcesz wydłużyć szyję to załóż dekolt w „V”, talię najlepiej podkreśli cienki pasek, poziome pasy optycznie poszerzają sylwetkę, czerń wyszczupla, jasne kolory pogrubiają, a krata jeszcze bardziej. To wszystko dobre dla kobiet, które czytają gazety kobiece, czyli czytelniczek. Tymczasem my, dziennikarki, stoimy po drugiej stronie lustra, dlatego powinnyśmy działać odwrotnie, niż piszemy. W dodatku im jesteśmy starsze, tym chętniej wracamy do stylu z lat młodości i tym głębiej sięgamy w otchłań dziejów w poszukiwaniu pomysłów na kreowanie wizerunku - nosi to nazwę: syndrom dzidzia piernik.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Elę (lubi eksperymentować; jak się okazuje, nie tylko z kosmetykami), wysoko po obu stronach głowy miała kitki (à la Pippi Langstrumpf), obszerne ogrodniczki (à la Maria Peszek w roli Kubusia Puchatka), kilkanaście kolorowych

gumek w charakterze bransoletek i zbliżała się do trzydziestki. Nawet nie to, że wyglądała brzydko, tylko widok był na tyle wstrząsający, że wywoływał pewien chaos myślowy. Logika nakazywała zaprosić do piaskownicy, podczas gdy instynkt mi mówił, że coś tu nie gra. Na wszelki wypadek postanowiłam nie zostawać z „taką małą” sam na sam w pokoju - kto wie, do czego jest zdolny umysł sześciolatki w ciele dojrzałej kobiety.

Na konferencjach prasowych wypatrzyłam jeszcze dwie zadziwiające figury z gatunku dzidzia piernik.

Jola, a właściwie pani Jola z „Memoir”, mimo pięćdziesiątki na karku, uparcie lansuje styl pierwszej komunii - od stóp do głów na biało, niezależnie od pory roku i okazji. I to nie jakieś tam sobie zwykle ubranka, tylko kreacje godne gwiazdy country: białe kozaki na niebotycznej szpilce, śnieżnobiałe spodnie i mleczna katana nabijana ćwiekami, do tego pszeniczna kosa à la posłanka sejmowa. Patrząc na naszą krajową Dolly Parton i nie mogę się nadziwić, gdzie ona wyszukuje te wszystkie kostiumy. Może ma rodzinę w Nashville?

Nie mniej kreatywna jest nieco młodsza od Dolly Grażyna z „Krainy Kosmetyków” - jej styl wykonał stopklatkę na początku lat osiemdziesiątych. Pamiętacie dziewczyny z „Och, Karol”? To właśnie jedna z nich. Najmocniejszym punktem Grażyny jest fryzura: długie puszyste włosy (w latach osiemdziesiątych kobiece głowy były niemożliwie puszyste i asymetryczne) przerzucone na jedną stronę, a z drugiej przytrzymane wielkim kwiatem - tak jak to robią kobiety na Bora Bora, tylko czy na to już nie za późna pora...

Dzidzia piernik zazwyczaj żyje we własnym świecie, zdając się nie zauważać zdziwionych spojrzeń, które ją otaczają. I jeszcze ważna rzecz: paradoksalnie dzidzia zazwyczaj uchodzi w środowisku za eksperta urodowego. Niby logiczne, bo ktoś, kto tak wygląda, musi być wielkim eksperymentatorem i siłą rzeczy znać się na kosmetykach.

W dodatku potrafi rozmawiać z PR-owcami, posługując się własnym tajemniczym językiem.

- Nio taki fspaniały kremik dostałyśmy dzisiaj na konferencji, teraz to dopiero będziemy śliczne...

*

Po kilku miesiącach obserwacji wiem, że na swoją pierwszą rozmowę z panią Maliną wybrałam najgorszy z możliwych wariantów - mundurek. Cud, że w ogóle chciała wtedy ze mną rozmawiać, bo mundurek to rzecz całkowicie zakazana w redakcji - tam obowiązuje kompletna dekompletyzacja stroju. Wbrew pozorom to wcale nie takie trudne. Opracowałam metodę uniwersalną: sięgam rano do szafy i wyciągam jak leci. Po minie Kamila widzę, że kierunek jest słuszny, muszę tylko bardziej popracować nad dodatkami.

Kobietę tylko kwiatkiem

PR-owcy, choć to w większości kobiety, uwielbiają zasypywać nas kwiatami. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się utarło, że dziennikarka na służbie marzy o wonnym bukietcie. Prawda jest niestety taka, że wszystkie te wymęczone, zwiędłe badyle, które przynosimy ze sobą z konferencji, są - delikatnie mówiąc - dość kłopotliwe. Jak przewieźć niepostrzeżenie długą czerwoną różę, bukiet stokrotek albo wiosennego tulipana do redakcji? Gdyby ktoś nas zobaczył z tym wiechciem na ulicy, może niesłusznie posądzić, że w godzinach pracy wybrałyśmy się na randkę. Kto uwierzy, że ta uśmiechnięta panienka na lekkim rauszu (wino do obiadu) i z bukietem to ciężko zapracowana dziennikarka? A tu jeszcze trzeba pokonać korki, tłok w metrze i autobusie. W efekcie pokonferencyjny bukiet ląduje najczęściej w koszu na śmieci - za najbliższym rogiem albo w budynku wydawnictwa, w najlepszym razie wrzuca się toto w całości do torby i zapomina o problemie aż do wieczora.

Oczywiście zupełnie inaczej można się zachować w sytuacji, kiedy z jednej konferencji udajemy się prosto na drugą. Wtedy kwiecie można sprezentować koleżance z innej redakcji (w dowód przyjaźni), albo PR-owcowi (dług wdzięczności). Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam „Marię Luizę”, jak z bukietem w garści sunie w podskokach do jednego z najbardziej nieprzyjemnych PR-ów, nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

- Co ona robi? - zapytałam zdziwiona bardziej doświadczoną koleżankę. - Role jej się pomyliły, komu ona daje kwiaty?
- Spokojnie - uciszyła mnie. - Ona się wkupia.
- Chyba wygłupia...
- Nie, wkupia się w łaski.
- Z takim bukietem? To musiało kosztować majątek.
- No coś ty, ona tego nie kupiła, dostała na śniadaniu w restauracji Bulterrier. Wszystkie zresztą dostałyśmy - mówiąc to, machnęła ręką w kierunku szatni. Rzeczywiście pod każdym numerkiem wisiał dokładnie taki sam bukiet z farbowanych na niebiesko margerytek z mnóstwem błękitnych wstążek.
- Aha - zrozumiałam wreszcie. - Ale tylko ona daje, inne nie?
- Inne dadzą później, mamy jeszcze dzisiaj dwa obiady prasowe, pokaz w salonie fryzjerskim, a wieczorem promocję zegarków, poza tym nasza naczelna ma urodziny. Jak bukiety nie zwiędną, starczy dla wszystkich.

*

- Straszłą plamę wczoraj dałam, nie uwierzycie - opowiada Hanka. - Zadzwonili do mnie z recepcji, że jest dla mnie przesyłka. Zapytałam, co to, a oni, że roślina i czy chcę ją wciągnąć do redakcji. Powiedziałam, że absolutnie nie. No bo sama wiesz, jak to jest: przyniosę, postawię na biurku, i co? I będzie wszystkich w oczy kłuło, tych, którzy nie dostali. Naczelna się wkurzy, że ona nie dostała. .. Zapytałam, czy to jest w doniczce, bo jak tak, to ja się po to zgłoszę, jak będę wychodziła, zabiorę do domu. Zapewnili, że kwiat jest posadzony. Wychodziłam strasznie późno, bo jeszcze kończyłam ten tekst o stopach. Strasznie się śpieszyłam, bo kolega na mnie czekał w samochodzie przed bramą. W recepcji już nikogo nie było, więc tylko podbiegłam i złapałam pierwszą z trzech doniczek,

które stały na kontuarze. Pomyślałam, że pozostałe są dla dziennikarek z innych redakcji. No więc złapałam pierwszą z prawej i lecę, a kolega na mnie pikał komórką, żebym już wychodziła. Przeleciałam przez hall i podwórko i już wsiadałam do samochodu, a tu dopadają mnie dwaj ochroniarze, jeden mi wykręcił rękę, a drugi odebrał doniczkę. Okazało się, że te cholerne bukiety stały na recepcji dla... ozdoby. Rozumiesz, trzy takie same, bo teraz jest moda na takie sekwencje w dekoracji. A dla mnie był mały kaktusek od firmy Jerzy. Dziewczyny z recepcji go schowały w szafce, bo myślały, że dzisiaj się po niego zgłoszę.

*

Kaktusek. Przyjechał do mnie w torbie z sześcioma szamponami do włosów farbowanych. Był taki malutki, że niewiele brakowało, bym go niechcący wyrzuciła razem ze zmiętą torebką. Przez całą szerokość plastikowej mini-doniczki biegł wyraźny napis: „Jerzy”. Wkrótce do Jerzego przyjechali dwaj bracia, też Jurki. Za kilka dni dołączyli kuzyni, co ciekawe, każdy nazywał się Jerzy. Kiedy zmultiplikowany kaktus zapełnił cały parapet, nastał długi weekend. Po weekendzie został już tylko jeden Jerzy, ale nazajutrz znów zaczął się rozmnażać. Miło tak czasem podeprzeć brodę ręką i zagapić się na życie przyrody. Ela, która wróciła z dłuższego zwolnienia, mogła sobie prześledzić odwrotny proces, zaglądając do nieotwartych przesyłek pod biurkiem.

*

Z kwiatami są tylko kłopoty, dlatego zmartwiłam się, kiedy Jolka, koleżanka z moich dziennikarskich studiów, została PR-owcem i dostała pod opiekę produkt zupełnie niemedialny: cięte kwiaty kanadyjskie. W tym miejscu prosimy o oklaski dla odważnej: proszę sobie wyobrazić, jak trudno jest promować coś takiego w gazetach, pomijając nieliczne na rynku tytuły ogrodnicze. Pewnie dlatego

powierzono owo trudne zadanie tej dziewczynie, tylko przyszła dziennikarka prymuska mogła przyczynić się do wzrostu sprzedaży ciętego kwiecia z wykorzystaniem medialnych narzędzi oddziaływania na potencjalnych nabywców. W praktyce wyglądało to tak, że Jola dzień i noc wydzwaniała do koleżanek w pismach kobiecych, namawiając je na spotkanie. Chciałam jakoś pomóc dziewczynie, ale od początku nie robiłam jej nadziei na publikację, bo od kwiatów do kosmetyków jest daleko jak stąd do wieczności, ale postanowiłam przynajmniej wpłynąć dodatnio na statystykę frekwencji na evencie - po raz pierwszy wzięłam udział w tak zwanej konferencji florystycznej. Jadąc na miejsce, wiedziałam już, czego się spodziewać. Będzie pokaz układania kompozycji z ciętych kwiatów kanadyjskich. Kwiatowe stylistki zaprezentują najnowsze światowe trendy w tej dziedzinie. A na koniec każda z nas dostanie jeden z tych bukietów na wynos. Chwaliłam Jolkę za wybór godziny: dziewiętnasta. Super, wreszcie dowiozę bukiet do domu.

Tymczasem na miejscu okazało się, że dziennikarek jest dwadzieścia, a stylistek dziewiętnaście. Oznaczało to tyle, że jedna z nas nie dostanie bukietu. Jak myślicie, która?

Niestety tak, ja.

Jeśli w losowaniu nagród miałabym takie szczęście, jakiego nie mam, to teraz leżałabym sobie na Martynice przy własnym basenie, a sześciu przystojnych eunuchów wachlowałoby mi pięty.

Tymczasem to właśnie ja wyciągnęłam pustą karteczkę z kapelusza podanego przez własną znajomą i teraz mogłam się tylko gapić, jak inne dziennikarki odbierają z jej rąk przepiękne bukiety.

Mnie Jolka tylko poklepała współczująco po ramieniu i powiedziała:

- Zadzwoń do ciebie wieczorem, okej?

Jak zrobić wywiad, gdy się nie ma pleców

- Dzień dobry, nazywam się XY, chciałam pana namówić na króciutką rozmowę dla pisma „Cud na Twarz”.

- O, to się cieszę, bo ja ostatnio dużo robię ciekawych rzeczy. Na przykład w Powszednim gram u Wyciłkowskiego rolę bardzo trudną, ale z tych, które dają aktorowi olbrzymią satysfakcję. Takie role to rzadkość we współczesnym teatrze, brakuje nam ról...

- Przepraszam, jeśli mogę...

- Tak, to ja przepraszam, wiem, jestem nieznośnie rozgadany dzisiaj, ale jestem tą rolą tak podekscytowany. Wie pani, kiedy dostałem ten tekst do ręki, to było tak, jakbym narodził się na nowo, nie tylko jako aktor, jako człowiek przede wszystkim. Takie moje katharsis. Bardzo mi to było potrzebne, niech pani nie pyta dlaczego, i tak nie powiem. Ale, ale, przecież nie tylko u Wyciłkowskiego gram teraz. Nadal można zobaczyć moje „Monologi liryczne” w Głównym, to zupełnie inny rodzaj sztuki, zupełnie inny rodzaj przeżywania...

- Przepraszam bardzo, ale ja właściwie chciałam pana zapytać o...

- Proszę, niech pani pyta, postaram się wyjaśnić wszystko najlepiej, jak tylko umiem, droga pani redaktor.

- Ojej, naprawdę? To świetnie, bo ja właśnie chciałam pana spytać o plecy.

- Przepraszam, o co?

- O plecy.

Po drugiej stronie słuchawki na chwilę zapada złowroga cisza.

- Jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pani, że... że... no nie, nie wierzę, wie pani, to się po prostu nie mieści w głowie. Sugeruje pani, że ja tę rolę dostałem dzięki... Skąd pani to wie, na miłość boską, no skąd? Ma pani dowody jakieś, czy tylko tak pani przypuszcza? Chce pani zrujnować komuś życie, karierę? Czy o to chodzi? Nędzny pismaku, ty pasożycie ty?!

Trzask odkładanej słuchawki.

*

- Dzień dobry, nazywam się XY, dzwonię z pisma „Cud na Twarz”. Chciałam pana zapytać o plecy. O to, jak pan o nie dba, czym pan je pielęgnuje, jakimi kosmetykami, może jakieś zabiegi u kosmetyczki...

- Przepraszam, przerwę pani, bo w ogóle nie zamierzam odpowiadać na takie pytania. Co to w ogóle jest za temat. Nie macie już o czym pisać, co? O tylu rzeczach mógłbym pani powiedzieć, znacznie ciekawszych niż moje plecy, proszę mi wierzyć. O rolach moich mógłbym opowiedzieć na przykład, o tym, co robię zawodowo, co gram. Dużo się u mnie dzieje, dlaczego o to mnie pani nie pyta, tylko o takie duperele?

- Bo „Cud na Twarz” to jest pismo o urodzie, o kremach, o kosmetykach, takie tematy tam poruszamy. I w najbliższym numerze tematem wiodącym będą właśnie plecy...

- No tak, rozumiem, pismo plotkarskie...

- Nie, skąd, nieplotkarskie. O urodzie, dla kobiet, poradnicze, ale nie plotkarskie. Niech się pan nie obawia, dalibyśmy piękną fotkę pana pleców, albo jak pan nie chce, to tylko pana twarzy. Chociaż lepsze byłyby plecy i twarz razem. Bardziej wiarygodne.

- Ha, ha, nie wierzę, ale durnota. Chcą pokazać w gazecie mój rewers, ha, ha!

- Właśnie, więc gdyby zgodził się pan powiedzieć mi parę słów o tym, jak pan je pielęgnuje, może ma pan jakieś problemy...
- W tej chwili to ja mam tylko jeden problem i jest nim pani. Odczepi się pani czy nie? Do widzenia.

*

Na dole listy w moim notesie jest jeszcze pan Adam. Matko, tylko czy on jeszcze gdzieś gra? Czy on jeszcze w ogóle coś robi, czy się rozsypał zupełnie? Gorączkowo staram się przypomnieć sobie, co się z nim teraz dzieje - i nic, pustka zupełna, niedobrze. Z drugiej strony to straszny podrywacz albo bardziej wykwintnie: piewca kobiecej urody; jakby go odpowiednio podejść, to może się zgodzi i o plecach. Tylko te jego plecy w tym wieku muszą wyglądać nie najlepiej, o rany, wyobrażam sobie, plecy dinozaura, brrr. Playboy ze spalonego lasu - ano nic, mówi się trudno, ostatnia deska ratunku.

- Dziecko, a dlaczego ty mnie pytasz o takie dziwne rzeczy, co?
- Ale skąd, jakie dziwne, najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Każdy ma plecy, nie każdy wie, jak o nie dbać, stąd to pytanie. Do eksperta się zwracam. Kto, jeśli nie pan, mógłby to wiedzieć lepiej. Nienaganna sylwetka, zawsze elegancki, szykowny. Nie tak jak ci aktorzy zaraz po szkole: lapserdaki takie. I te figury - skóra i kości. Niby non stop siedzą na siłowni, a efektów nie ma.
- Bo to trzeba sport uprawiać jakiś, a nie siłownię. Jak się konno pojedzie, hen, przed siebie, w las. Wiesz, dziecko, to taki męski sport, tylko męczyzna i jego koń, sam na sam, cisza i przestrzeń. Jak się wraca po dwóch, trzech godzinach z takiego wypadu, to człowiek się czuje jak młody bóg, żadna siłownia tego nie da.
- I plecy się wzmacniają...
- Oczywiście, plecy też.

- Co jeszcze tak dobrze na nie wpływa: mycie zimną wodą, balsam? Jakiś masażyk może od czasu do czasu, kobiecą ręką? Niech mi pan jeszcze coś powie o swoich plecach.

- A o moich rolach się nie da? Gram teraz epizod u Mączkowskiego - protestuje jeszcze, ale słabo.

- Panie Adamie kochany, ale ja muszę o plecach, bo mi naczelną nogi wyrwie z... Poza tym, panie Adamie, między nami mówiąc, kobiety pana kochają. Wie pan, co one by wszystkie, te pana wielbiicielki, zrobiły, żeby dotknąć pana pleców, choćby przez krótką chwilę na nie popatrzeć... Ech, sam pan rozumie, tak to sobie chociaż przeczytają w gazecie, pomarzą sobie, pofantazjują, pozwolimy im?

- No sam nie wiem... Dobrze, już dobrze, niech będzie o plecach. Tylko ma być krótko i na temat, i wszystko chcę potem autoryzować.

Oj, na temat to będzie do bólu - myślę sobie w duchu.

*

Są takie dni, kiedy zmęczona oporem kosmetycznej materii mam ochotę zaszyć się w mysiej norze i nie wychodzić z niej przez kilka miesięcy. W takich momentach dzwonię do Pawła. Jego ścisły umysł z miazdzącą logiką rozбивa na części i analizuje nawet najbardziej zawikłane zagadki mojego życia zawodowego. Jedną z takich zagadek jest nasza nowa koleżanka Maja Modna, która przechodzi w redakcji falę - może nie jest to taka duża sztormowa fala - nikt jej wszak nie każe szorować toalet szczoteczką do zębów, jak w wojsku, ale powiedzmy, że coś jest na rzeczy. Zauważyłam, że od dłuższego czasu Maja zrobiła się dla większości zespołu niewidoczna. Mówi coś i nikt nie reaguje, ma pomysł i nikt nie wyraża zainteresowania. Przez większość dnia Maja siedzi w palarni i pali

papierosa za papierosem, z nerwów. No bo jak tu się nie denerwować, skoro nikt nie chce od niej nic, nawet najmniejszej przysługi? Trzeba pojechać na konferencję - pojedzie Asia. Trzeba napisać o najnowszych fryzurach - Hanka. Prezentacja nowej kolorówki firmy Koral - Ela z Alą. Maja, choć za każdym razem zgłasza się na ochotnika, nie ma najmniejszych szans. Strasznie mi tej Majki żal - mam przeczucie, że pod tymi dyndającymi w uszach trupimi czaszkami czai się dobry człowiek. Problem z Mają jest taki, że Maja jest znajomą prezesa. Prezes jest figurą, która sporadycznie zstępuje do naszej redakcji. To rodzaj Bardzo Ważnej Osoby, garniturowca, ekonomisty. Siedzi gdzieś w wyłożonym dywanami gabinecie na piętrze, na którym zapadają najważniejsze decyzje. O pojawieniu się u nas Mai wiadomo tyle, że żona prezesa zna jej mamę, która jest kosmetyczką, i jakoś tak się zgadały, że dziewczyna zdolna, ambitna i chciałaby pracować w redakcji, więc czemu nie, prezes przysłał ją na próbę.

- Najgorsze, co mógł zrobić, przyjmując ją bez pytania naczelnej o zdanie - mówi Paweł, kiedy opowiadam mu o Majce. - Taka protegowana to zagrożenie, nie wiadomo, po czyjej jest stronie. No to ma przegwizdane.

Rzeczywiście ma. Po kilku tygodniach tułania się po redakcji Majka nie ma na koncie żadnego tekstu i ewidentnie jest na wylocie.

- Dziewczyny dajcie jej coś do roboty - coś tam musiało dotrzeć do wyłożonego dywanami gabinetu, bo prezes zagląda na poranne kolegium. - To młoda utalentowana dziewczyna - przekonuje. - Niech coś dla was napisze.

Naczelną woła Alę do siebie i długo obradują. W efekcie Maja dostaje ostatnią szansę (czy miała inne?). Ma napisać o pielęgnacji okolic bikini na podstawie wywiadów z gwiazdami polskiej estrady.

Wychodzę z redakcji jako ostatnia - musiałam spakować wszystkie te kremy do opalania, o których będę pisała w domu. Majka

siedzi przy biurku Ali i ze zboląłą miną wykręca kolejny numer telefonu.

- Halo, dzień dobry, mówi Maja Modna z „Cudu na Twarz”. Czy mogłybyśmy porozmawiać o okolicach bikini?

Klepię Majkę w ramię i pokazuję, że trzymam za nią kciuki. Bo co ja więcej mogę zrobić.

Następnego dnia naczelna ogłasza, że Maja zrezygnowała z dalszej współpracy. Dziewczyny nie kryją zadowolenia. Cóż, nie każdy jest w stanie wytrzymać redakcyjne tempo, tutaj działa prawo dżungli: słabsze jednostki muszą odpaść.

Lakierowana rzeczywistość

Stoję na zapleczu Teatru Powszedniego, czekam na gwiazdę. Tak mi poradziła pani z administracji, kiedy zadzwoniłam i poprosiłam o telefon do aktorki. Telefonu podać nie może, ale respekt wobec dziennikarza każe jej zniżyć ton do poufalego szeptu:

- Niech pani przyjdzie, wpuszczę panią za kulisy, ona tu ciągle biega. Złapie ją pani i zagadnie.

No to czekam. Pod pachą mam reklamówkę z dwudziestoma lakierami do paznokci. Były dwadzieścia trzy, ale poczułam się w obowiązku odwzięczenia się administratorce - dałam wybrać. Wybrała trzy najładniejsze, przynajmniej wiem, że ją kupiłam.

Najbliższa przerwa w spektaklu będzie za pół godziny. Administratorka już teraz, z mokrymi od lakieru paznokciami, pobiegła uprzedzić aktorkę. Wraca zadowolona.

- Niech pani spokojnie siedzi i czeka, powiedziała, że przyjdzie.

Na korytarzu panują przenikliwa cisza i ziąb, pachnie kurzem. Teatr od kulis wygląda okropnie: zniszczone stare meble z lat siedemdziesiątych, kąpiąca woda w toalecie, w oknach wypłowiełe ciężkie kotary. Naprzeciwko mnie otwarte drzwi do garderoby, zaglądam z ciekawości. W garderobie jest teraz małe przyjęcie, jedna z inspicjentek ma imieniny. Na zdezelowanych sprzętach ustawiała plastikowe talerzyki z ciasteczkami, szklanki pełne słonych paluszków i jednorazowe kubeczki. Kilka osób gawędzi sobie

cicho, objadając się smakołykami. Jakaś kobieta w stroju pasteczki z przełomu wieków poprawia makijaż przed lustrem. Z zawodowego obowiązku zapuszczam żurawia w kosmetyki stojące na toaletce. Nic specjalnego: wielkie pudełka z pudrem, bezimienne butelki z płynem do demakijażu. Biedne te aktorki, codziennie nakładają na siebie tony kosmetyków i nawet nie mogą poszaleć. Gdyby tak wpuścić je do naszej redakcji...

Z zadumy wyrывa mnie odgłos kroków - moja gwiazda biegnie do mnie korytarzem, trzymając w garści suknię z epoki. Na głowie ma perukę z mnóstwem siwych loczków. Wygląda staro, zupełnie inaczej niż na okładkach kolorowych magazynów, gdzie zrelaksowana wspiera się na ramieniu nowego mężczyzny jej życia.

Czy mamy jej fotę? - myślę gorączkowo. Dobrze, że się nie dałam wrobić w robienie zdjęć przy okazji dzisiejszego spotkania, i tak nic by z tego nie wyszło.

Aktorka jest zachwycona perspektywą testowania lakierów do paznokci. Przyproceedziła ze sobą koleżankę, również aktorkę. Pyta, czy ona też by mogła... Oczywiście, że może, upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu.

*

Dzwonię do znanej dziennikarki i pisarki. Od lat prowadzi programy w telewizji, zaprasza mężczyzn, zadaje trudne pytania. Taka wojująca feministka, ale bez przesady.

- Czy zgodzi się pani opowiedzieć mi, jakich perfum pani używa?

- Oczywiście, z miłą chęcią.

Co za ulga, nie ma to jak rozmawiać z dziennikarkami, one po prostu czują bluesa. Żadnego pozowania na intelektualistkę, kręcenia nosem, że temat nie taki. Jest robota i trzeba ją wykonać.

- Halo, słyszy mnie pani? Weszłam właśnie do łazienki, żeby podać pani pełne nazwy. Co my tu mamy...

Przez dwadzieścia minut moja gwiazda oprowadza mnie po świecie ulubionych zapachów. Wolno dyktuje nazwy, żebym zdążyła zapisać. Malowniczo opisuje, które perfumy z czym jej się kojarzą, zdradza, kiedy ich używa, przy jakich okazjach, które są na dzień, a które na wieczór. Zna historie wielu zapachów i dodaje do nich zabawne opowiadki z życia wzięte.

Prawdziwa poezja, nie tylko zapisywać, nawet nie trzeba będzie tego redagować, samo się pisze. Strasznie zadowolona postanawiam, że będę dzwoniła do dziennikarek tak często, jak to tylko możliwe. Kiedy tak rozmawiamy sobie o wykwintnych aromatach, słyszę w tle dziwne stukanie i hałas.

- Przepraszam na chwilę. - Słyszę, że moja rozmówczyni zwraca się do kogoś po francusku: - Patrice, proszę cię, przestań na chwilę, mam teraz bardzo ważną rozmowę. - I znów do mnie: - Wie pani, to mój mąż, obiera właśnie ziemniaki i robi przy tym straszny raban.

Chyba zostanę feministką, skoro to nie oznacza stu lat samotności...

*

Na zebraniu pada pomysł tematu - kosmetyczki wielkich kobiet. Poprosić dziesięć (!) znanych pań, żeby pokazały, co mają w kosmetyczce. Tak, robiliśmy to już tysiąc razy, zawsze w letnich numerach, tylko że tym razem będą naprawdę znane kobiety. Nie żadne aktorki trzecioplanowe, tylko osobowości ze świata polityki, wielkie umysły, intelektualistki, filantropki - śmietanka intelektualna. Kogo weźmiemy? Propozycji jest mnóstwo, ciężko wybrać: czy lepsza będzie żona kompozytora czy wiceministra. Lepsza żona kompozytora, bo ona rzadko bywa na imprezach, nie udziela wywiadów, nie lubi pompy, nikt jej jeszcze nie pokazywał od tej strony, będziemy pierwsi. A może weźmiemy jeszcze minister oświaty i kogoś z

Kancelarii Premiera, i jeszcze pisarkę noblistkę. A jakby tak pokazać panią dziekan z wydziału prawa i tę panią socjolog, która tak pięknie mówi o prawach kobiet - zawsze elegancka, pewnie lubi kosmetyki. No i koniecznie kogoś z misji humanitarnych, potrzebujemy kobiet z misją, pasjonatek, altruistek. Może ta siostra zakonna, która tyle robi dla porzuconych dzieci, ta, która tyle nagród ostatnio dostała. Tylko czy taka siostra czegoś używa? Na pewno używa, misja misją, ale jak się jest prawdziwą kobietą...

W końcu staje na działaczce, która organizuje pomoc dla najuboższych w dalekich krajach - bo ona taka skromna i cicha, ma taką piękną duszę. Ciekawe, czy ma równie ładną kosmetyczkę. To będzie HIT. Wszyscy są zachwyceni.

- Aśka, zajmiesz się tym? Obdzwonisz? - Naczelną patrzy na mnie w napięciu.

Już widzę jak działaczki i profesorki rozkładają przede mną swoje kosmetyczki. Coś mi mówi, że mogę podzielić los Majki. Nie ma mowy, nie dam się, jestem twarda jak puder w kamieniu, jak nakrętka od Megaofense, jak lakier z diamentowym pyłem, jak stal.

Okiem eksperta

Ze wszystkich tematów najgorsze jest zasięganie porady eksperta. Problem polega na tym, że aby poradzić, trzeba coś powiedzieć, a większość ekspertów nie lubi mówić.

Kosmetyczki, wizażyści, styliści, koloryści, masażyści - oni są ludźmi czynu, a od gadania i pisania to jesteśmy my, czyli dziennikarze. W zasadzie to prawda, tylko co ma zrobić dziennikarka urodowa, która właśnie dostała polecenie napisania czegoś w rodzaju „Wizażystka znanej firmy radzi...”?

*

- Cześć, Małgosiu, masz chwilę?
- Mów, o co ci chodzi, tylko szybko, bo strasznie jestem zajęta, jadę pociągiem do Katowic.
- A, bo widzisz, piszę taki tekst o małych oczach i chciałam zrobić do niego ramkę z poradą makijażysty i pomyślałam o tobie. Chcesz wystąpić w roli eksperta? No wiesz: zdjęcie, imię, nazwisko i parę słów o tym, jak się powinny malować kobiety, które mają małe oczy.
- Słuchaj, dobrze, możecie dać moje zdjęcie, tylko czy wy macie moje dobre zdjęcie? Dobre zdjęcie było w gazecie „Czar Kobiety” dwa lata temu, weźcie tamto zdjęcie. Dobre zdjęcie zrobiła mi też moja przyjaciółka Ania Szczerbowska, chociaż nie, może tamto nie jest najlepsze. Jakoś grubo wtedy wyszłam. Dobrze wyglądam na takim zdjęciu, które kiedyś zdołał mi Witek Cyk, tak się bawiliśmy,

na tym zdjęciu leżę na takiej brązowej kanapie i mam na kolanach kota. Bardzo delikatne światło, taka wysublimowana stylizacja...

- Poczekaj, twoje zdjęcie będzie malutkie i tylko główka. Wiesz, takie legitymacyjne. Ale przede wszystkim to powiedz mi o tym makijażu dla małych...

- Takie małe zdjęcie, ojej, pewnie wyjdzie okropnie, bo takie małe zdjęcia zawsze wyglądają strasznie, nie możecie dać dużego?

- Nie możemy, bo to będzie mała rameczka, a nie tekst o tobie. A wracając do porad, powiedz, co radzisz kobietom z małymi oczami.

- No kochana, to ty jesteś od pisania. Napisz.

- Jasne, Małgosiu, napiszę, tylko najpierw musisz mi powiedzieć parę słów... jakieś wskazówki, rady...

- Jakie rady?

- Jak powinien wyglądać makijaż, jak go zrobić.

- Normalnie.

- Co normalnie? Chcesz powiedzieć naturalnie, tak? Nie agresywne kolory, tylko delikatnie i subtelnie, jak ktoś ma małe oczy, tak?

- Co ty za głupoty opowiadasz, dlaczego niemocne kolory? Mocne kolory są trendy, teraz nawet na co dzień kobiety malują się mocno.

- Nawet te z małymi oczami?

- Coś ty się tak uczepiła tych małych oczu, masz małe?

- Ja nie, chociaż właściwie tak, mam małe. Poradź mi, jak się malować.

- No, kochana, to ty piszesz o urodzie i nie wiesz, jak się malować?

- Wiem, tylko tekst teraz piszę, potrzebuję opinii eksperta, czegoś specjalnego, z problemów praktyki, rozumiesz?

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Dobra, weźmy taką sytuację: na sesji masz umalować

dziewczynę, modelkę, i widzisz, że ona ma bardzo małe oczy. Starasz się zrobić taki makijaż, żeby tego nie było widać. Co robisz?

- Maluję.

- Ale jak?!

- Tak jak zawsze. Słuchaj, ja jestem fachowcem, w branży od pięciu lat, możesz to napisać.

- Dobrze, napiszę, tylko powiedz, jak.

- Kochana, to ty i pisać nie umiesz? Malować się nie umiesz i pisać też? Ja bym ci radziła zastanowić się nad zmianą zawodu...

- Małgosiu, źle mnie zrozumiałaś, nie pytam, jak napisać, tylko jak ty tę kobietę z małymi oczami malujesz. Na przykład czy rysujesz jej białą kreskę po wewnętrznej stronie dolnej linii rzęs? Czy obrysowujesz oko eyelinerem, ale tak, że nie dociągasz linii do wewnętrznych kącików? Czy tuszujesz mocniej górne rzęsy, a dolne tylko muskasz tuszem? Czy nakładasz odrobinę białego cienia albo jaśniejszego podkładu przy oku u nasady nosa?

- No proszę, jak się postarasz, to widać, że coś tam wiesz.

- Dziękuję. A co ty o tym myślisz, o tych sposobach, dobre są, stosujesz?

- Jak ktoś ma małe oczy, to nie jest tragedia, nie martw się.

- Okej, jakoś wytrzymam, a to, co wymieniłam, stosujesz?

- Jak już ci powiedziałam wcześniej, trzeba mocniej górne rzęsy wytuszować i rozjaśnić wewnętrzne kąciki oka. Eyelinerem nie dociągać...

- Okej, Małgosiu, wszystko to zapisałam, nie musisz powtarzać. Powiedz tylko, czy znasz jeszcze jakieś sztuczki, jakiś wypróbowany sposób dla takich jak ja...

- Przede wszystkim to zachować optymizm i pogodę ducha. Przepraszam, ale muszę już kończyć, strasznie się rozgadałam.

- Bardzo mi pomogłaś, Gosiu, dziękuję.
- Nie ma sprawy. Tylko koniecznie prześlij mi to wszystko do autoryzacji, żebyś czegoś nie pokręciła w tym tekście.
- Oczywiście, prześlę, do widzenia.

Siadam do komputera i piszę:

Małgorzata Twarzyk, makijażystka firmy Kameleon, radzi, jak malować małe oczy:

Małe oczy to nie tragedia, tylko problem, któremu można zaradzić odpowiednim makijażem. Wciążu pięciu lat pracy jako wizażystka widziałam wiele pięknych kobiet, których oczy znacznie odbiegały od normy, a jednak dzięki odpowiednim sztuczkom makijażowym ta dysproporcja była całkiem niezauważalna.

Najważniejsze jest to, by położyć silniejszy akcent na zewnętrzne kąciaki oczu: więcej tuszu, więcej ciemniejszego cienia i eyelinera. Oczy możemy optycznie rozsunąć, nakładając u nasady nosa odrobinę białego cienia albo jaśniejszego podkładu. Jeśli jednocześnie narysujemy białą kredką linię po wewnętrznej stronie dolnych rzęs, oczy będą się wydawały większe, spojrzenie zyska świeżość i blask. Na koniec dobra nowina: nie trzeba się bać mocnych kolorów w makijażu! Ostra zieleń i róż, ciemny granat i czerwień to przeboje tego lata. Właścicielki małych oczu mogą je malować w intensywnych barwach, pamiętając jednak o tym, by nie nakładać koloru zbyt blisko nosa.

Wysłałam to wszystko e-mailem do Małgosi i dzwonię.

- Cześć, już przeczytałam, trzeba to mocno przeredagować.
- O, ciekawe - mówię. - A co dokładnie?
- Tam, gdzie piszę o eyelinerze, trzeba dodać „czarnego”. Czarnego eyelinera, rozumiesz?
- Rozumiem, już poprawiłam, co dalej?
- Tam, gdzie piszę o przebojach tego lata, trzeba wyrzucić

„ciemny” granat. Granat jest modny, ale nie ciemny, ja tego nie powiedziałam.

- Faktycznie, nie powiedziałaś. To już też poprawiłam, mów dalej.

- To tyle.

- No, to dużo tego nie było. Dziękuję ci.

- Bardzo proszę. Ogólnie dobrze to zapisałaś, potrafisz notować szybko, dobrze nam się współpracowało.

- Cieszę się, że ci się podoba. Do usłyszenia.

Metamorfozy

W najnowszym numerze „Cudu na Twarz” umieściliśmy ogłoszenie:

Zapraszamy młode, odważne czytelniczki, które nie boją się gruntownej zmiany swojego wyglądu. Nasi redakcyjni eksperci: styliści, wizażyści i fryzjerzy doradzą wam najlepszą fryzurę, makijaż i ubranie. Będziecie mogły dowiedzieć się wszystkiego o sobie, poznać tajniki dobrego stylu, a co najważniejsze, nagrodą będzie profesjonalna sesja zdjęciowa u znanego fotografa, którą opublikujemy na łamach naszego pisma. Zgłoszenia zawierające trzy zdjęcia całej sylwetki i list motywacyjny z opisem dręczących Was problemów urodowych prosimy przesyłać do redakcji. Specjalne jury wyłoni trzy zwycięskie panie.

A kto to wszystko opisze? Oczywiście ja.

„Specjalne jury”.

Za trzy dni zamykamy numer, a jeszcze nie mamy Metamorfoz. Trzeba natychmiast się do tego zabrać. Naczelną biega po redakcji jak szalona. Gdzie są wszyscy, dyrektor artystyczny? Na obiedzie. No dobra, są stylistka i sekretarz redakcji. Gdzie te listy od czytelniczek? Worek stoi pod biurkiem asystentki Wandzi.

- Dajcie to tutaj. Aśka - krzyczy do mnie - weź trochę z góry, wszystkiego i tak nie przejrzymy, dawaj, popatrzmy, co my tu mamy... czytaj!

- *Droga Redakcjo, w pierwszych słowach mego listu chciałam*

podziękować za możliwość wzięcia udziału w Metamorfozach i zapewnić, że jesteście moim ulubionym pismem... - no fajnie, miło. Mam 20 lat i mnóstwo problemów. Przede wszystkim moja głowa jest nieproporcjonalnie mała w stosunku do reszty ciała...

- Dobra nie czytaj dalej, szkoda czasu, odpada.

- *Kochane Panie Redaktorki, nie mogę powiedzieć, żebym była szczególnie brzydka, mam jednak problemy z cerą - nieustannie się błyszczy, a co najważniejsze, mam takie ropne wykwity na czole i...*

- Błeee, daj spokój, zaraz idziemy na obiad, weź inny list.

- *Drogie Jury chciałabym się dowiedzieć, jaka fryzura jest dobra dla moich włosów, bo szczerze mówiąc, nie mam ich zbyt wiele...*

- Co za maskary jakieś piszą, daj następny...

- *Szanowni Państwo, przesyłam dokładną listę ubrań, które powinny być wypożyczone dla mnie do sesji: 1. bluzka zielona z niewielkim dekoltem, może być z rękawami 3/4, 2. spodnie jeansowe z prostymi nogawkami rozmiar 30/30, 3. Żakiet sztruksowy w kolorze śliwkowym (to mój ulubiony), 4...*

- Patrzenie, jaka mądrała - denerwuje się stylistka Monika.

- Sama się wystylizowała, a ja co, do domu mam iść?

- *Czekajcie, co ona pisze dalej: Załączam też dyskietkę z tekstem, w którym dokładnie opisuję moje opinie dotyczące stylizacji i ocenę pracy osób, które pracowały przy sesji, mam nadzieję, że to ułatwi pracę pani redaktorce.*

- No nie, ale zarozumiała, czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Dobra, nie ma co czytać dalej, obejrzymy lepiej zdjęcia.

Ola z Opola. „Imieniny u cioci Helenki”, scena grupowa - rodzina za stołem. Do każdej z postaci doprowadzona jest czerwona strzałka, obok podpis, dzięki temu wiemy, kto jest kim. Wujek Zdzisiek ma już nieźle w czubie, mamy nadzieję, że ciocia Helenka

jest jego żoną, bo wujek jedną ręką czule obejmuje solenizantkę za... no właśnie, za dekol... Dziwne. Druga ręka wujka spoczywa w salaterce z włoską sałatką. Przy jajkach w majonezie siedzi Ola w „swojej nowej sukience”. Sukienki nie widać, bo Ola trzyma na kolanach siostrzeńca. Widać za to czerwone oczy - od flesza.

Bogna z Warszawy. „Morskie impresje”. *To zdjęcie zrobił mój narzeczony (teraz już mąż) w czasie pierwszych wakacji w Ustrońiu.* Na zdjęciu niewysoka kobieta biegnie w kierunku zachodzącego słońca. Tyle dokładnie widać: niewysoka i kobieta, szczegóły giną w słońcu.

Wanda z Gdańska. *Pracowałam w agencji Dejko, więc mam doświadczenie w pozowaniu.* Na pierwszym planie drzwi, z prawej strony wsparta o framugę obfita brunetka. Koronkowe body uwydatnia kształt biustu, a kozaki z lakierowanej skóry za kolano uwydatniają nogi, a właściwie nogę, bo druga jest schowana za drzwiami. Może to nawet lepiej - ta jedna noga jest potężna, gigantyczna, ze względu na rodzaj buta przypomina nogę Aramis. Aramis nie ma majtek - to widzimy dokładnie - ma za to ostry makijaż i diamentowy diadem we włosach. Niedoszła królowa Metamorfoz tym razem będzie musiała poczekać - naszą gazetę czytają też nastolatki, pornografia nie wchodzi w grę.

Kolejne zdjęcia dostarczają nam niemałej rozrywki, ale czas go ni. W końcu w przystępie rozpaczy (że za chwilę zamkną bufet) wybieramy dwie najładniejsze: brunetkę z Mławy i blondynkę z Kłodzka oraz jedyną rudą, jaka się zgłosiła - z Radomia. Jury kończy obrady.

„Znany fotograf”.

- Szukam, kochane, szukam, ale wszyscy zajęci. Rok szkolny się zaczął. - Fotoedytorka Beata wygląda na zmartwioną.

- Żaden porządny fotograf nie weźmie takiego tematu, bo wiadomo, że wyjdzie strasznie. Oni potrafią fotografować tylko profesjonalne modelki, prawdziwa kobieta to jeden wielki defekt, a tu jeszcze ta metamorfoza. Jedyna nadzieja, że złapię kogoś ze szkoły fotograficznej, debiutanta. Oni wezmą każde zlecenie, no i za niewielkie pieniądze.

Późnym popołudniem fotoedytorka znajduje w końcu chętnego. Ku mojemu przerażeniu jest nim... Olgierd.

- Zamówiłam studio na jutro, asystenta nie będzie. Olgierd i tak nigdy nie miał asystenta, więc nawet nie zauważy, a nam to poważnie obniży koszty. – Fotoedytorka nigdy nie omija okazji, żeby zrobić oszczędności, z tego ją rozliczają. - Do malowania wzięłam asystentkę Małgosi Twarzyk, a fryzjer będzie z salonu Baba, koło mojej babci. No to mamy ekipę, jutro rano o dziewiątej zaczynamy!

„Profesjonalna sesja zdjęciowa”.

O dziesiątej w wynajętym studiu fotograficznym na obrzeżach miasta są już wszyscy oprócz modelek - jeszcze nie dojechały, bo fotoedytorka zawiadomiła je raptem kilkanaście godzin wcześniej. Może to i lepiej, że jeszcze nie dojechały, bo właśnie zaczynamy jeść śniadanie. W porządnym studiu śniadanie dla ekipy powinno być obfite, a to jest właśnie porządne studio: są serki, kiełki i świeże bułeczki z ziarnami, pychota. Po śniadaniu siedzimy sobie rozparci na kanapach i rozmawiamy. Jest tak miło, właściwie sesja mogłaby się wcale nie zaczynać. Fryzjer poprawia fryzurę przed lustrem. Asystentka makijażystki maluje mnie na wieczorowo, tak dla zabicia czasu. Olgierd bryluje, niby rozstawia sprzęt, sprawdza kable i mierzy coś światłomierzem, ale ani na chwilę nie przestaje zabawić rozmową obecnych na sesji kobiet. Rozmowa schodzi na podróże, bo Olgierd wybiera się na Jawę. Słucham uważnie, bo bardzo jestem ciekawa z kim: z naczelną, czy z Magdą?

- Taka wyprawa to chyba kosztuje majątek, stać cię? - pyta z nutką zazdrości makijażystka.

- Uzbierało mi się trochę wylatanych mil, poza tym może uda mi się to połączyć z pracą, tam są piękne krajobrazy, może jakaś sesja kostiumów kąpielowych...

Aha, Olgierd ubija kolejny interes, liczy na to, że fotoedytorka weźmie go pod uwagę przy planowaniu letnich numerów. To się chyba przeliczy, bo kostiumy kąpielowe to my fotografujemy najwyżej w Sopocie, lepiej niech uderza do „Memoir” albo „Czaru Kobiety”, ci to mają budżety na sesje. Ale Olgierd o tym nie wie, więc skoro nasze modelki nadal nieobecne, ustawia stylistkę Monikę na białym tle i robi jej serię portretów. Monika jest zachwycona.

- Jesteś tak piękną kobietą, że zasługujesz na znacznie lepszy portret, musimy umówić się kiedyś na prywatną sesję - kadzi Olgierd, a widząc mój wzrok w lustrze, mruga do mnie porozumiewawczo. Odbieram to jako bezczelność. Ten facet nie ma za grosz przyzwoitości.

Koło południa zjawia się pierwsza czytelniczka: Aneta z Kłodzka. Wygląda, jakby całą noc nie spała, i rzeczywiście opowiada, że z przejścia nie mogła zmrużyć oka. Po krótkiej naradzie stylistka postanawia, że Aneta z jasnej blondynki przemieni się w brunetkę, bo to jej doda charakteru. Aneta robi minę w podkówkę i zaczyna ciągać nosem, ale kto by się tym przejmował, fryzjer zabiera się do pracy, a reszta wraca do rozmowy.

Stylistka odbiera telefon od ochroniarzy budynku.

- Jest jakaś kobieta do pani, pani Moniko. Strasznie zdenerwowana, mówi, że zapomniała, w którym studiu ma być ta sesja.

- W studiu numer sześć na drugim piętrze - mówi stylistka. - A ładna kobitka? - podpytuje.

- Ja tam się na urodzie nie znam, pani Moniko, ale na moje oko

Monika. Fotograf bierze modelkę na stronę i próbuje ugłaskać.

Następna, proszę - Iza z Mławy. Oto prawdziwe wyzwanie dla nas wszystkich: Jak przemienić pływaczkę w romantyczną rusalkę? Teraz już wiem, że się nie da. Fryzjer nie bujał, mówiąc, że będzie ciężko. Włosy Izy zyskały wprawdzie płomienną barwę, ale za to skrzyły się w jakieś takie dziwne...

- Robiłem, co mogłem, odbarwiałem trzy razy - wyjaśnia specjalista.

Jak się nie da, to trudno, przejdźmy do stroju. Zgodnie z najnowszymi trendami w modzie Iza ma na sobie jedwabną koszulkę do pól uda. Dużo odkrytego ciała, zdecydowanie za dużo, zwłaszcza że, co tu owijać w bawełnę, to ciało jest nieprawdopodobnie owłosione.

A słyszałam, że pływaczki golą całe ciało, żeby zmniejszyć tarcie.

- Przecież nie będę dziewczyny depilowała – tłumaczy stylistka.
- Wytnie się na komputerze.

Trzecia czytelniczka, Viola z Radomia, po metamorfozie trzęsie się dwa razy szybciej niż przed.

- Za dużo kawki się pije, prawda, pani Violu?

- No tak, mamusia też mi to mówi. - Viola peszy się jeszcze bardziej, zbiera się jednak do kupy i prosi: - Przepraszam, czy ja mogłabym poprosić o wyjęcie tej agrafki z tyłu? Myślałam, że wytrzymam, ale tak boli...

Kochana bidula, agrafkę jej wbiliśmy w ciało podczas przymiarek, a ona nawet nie jęknęła, myślała, że tak trzeba. Garsonka w stylu szyk miejskiej kobiety jest o wiele za duża, dlatego Viola ma na plecach smoczy grzebień ze spinaczy, szpilek i agrafek. Żeby się tylko nie oparła, bo będzie katastrofa.

Sesja trwa do północy. Dziewczyny są tak zmęczone, że nawet nie mają siły się przebrać w cywilne ubrania. A tu czeka je jeszcze wywiad, i to jest moja działka.

Właściwie to nawet nie muszę pytać - wiem, bo widziałam. Jeśli chodzi o włosy, mają tylko jedno do powiedzenia. Pytają: czy to im zostanie? Przywołany na pomoc ekspert twierdzi, że niestety tak. Chyba że przefarbują. W tej sytuacji dziewczyny jak jeden mąż postanawiają zostać dłużej z fryzjerem po sesji.

*

List od czytelniczki: *Szanowni Państwo, widziałam Metamorphozy w ostatnim numerze Waszego pisma. Przyznam, że wywarły na mnie wielkie wrażenie. Że z takich nieciekawych, zwykłych kobiet jak ja można zrobić tak piękne dziewczyny. To daje nadzieję i wiarę, w przyszłość, w kosmetyki i w Ciebie, Droga Redakcjo. Pragnę Wam pogratulować z całego serca i jeszcze tylko jedno powiedzieć: JA TEŻ CHCĘ!*

Test na inteligencję

Badania wykazują, że spośród artykułów poświęconych urodzie kobiety najbardziej lubią czytać... testy kosmetyków. Dlatego każda szanująca się gazeta kobieca, taka jak „Cud na Twarz”, od czasu do czasu musi coś przetestować. Autorytet specjalistów od urody to za mało, zawsze można ich posądzić o stronniczość. Najlepiej, jeśli wypowiedzą się osoby całkiem niezależne, zwyczajne śmiertelniczki, czytelniczki, potencjalne nabywczynie, przeciętne Kowalskie, czyli... nasze redakcyjne koleżanki z innych działów.

Dzień, o którym wiadomo, że właśnie wtedy odbędzie się rozdawnictwo kosmetyków do testu, to małe święto - wszyscy w komplecie, nie brakuje nawet przewlekłe chorych, rodzących, przebywających na urloпах i konferencjach wyjazdowych. Takiej okazji po prostu nie można przepuścić. Od rana wszyscy chodzą skupieni i głodni, z obsesyjną myślą: a jak wyjdę na lunch i akurat wtedy rozdadzą? Nie ma mowy, czekam.

Kiedy wybija godzina zero, przed drzwiami działu urody ustawia się długa kolejka (jak ktoś się kiedyś próbował dodzwonić do jakiejś redakcji i nikt nie odbierał, to prawdopodobnie miała tam miejsce taka właśnie okoliczność - prosimy o wyrozumiałość).

Demokratyczne metody rozdziału to podstawa, każdemu po równo i tylko czasem według zasług. Naczelną dostaje trzy luksusowe, dyrektor artystyczna też. Reszta sprawiedliwie: jeden drogi

plus dwie taniocy i proszę się nie obrażać, nie prychać, bo możemy nie dać nic. Że kolor nie taki? Kochana, darowanemu kosmetykowi nie zagląda się pod pokrywkę, jest jak jest, czas zmienić przyzwyczajenia.

Przy okazji testu koleżanki z redakcji dowiadują się ciekawych rzeczy, które dotychczas wiedziałyśmy tylko my, specjalistki. Na przykład, że według danych firm rozprowadzających kosmetyki przeciętna Polka jest Murzynką. Tak, tak, bo czy można inaczej wytłumaczyć fakt, że pudry, fluidy i kompakty, które dostajemy do testowania, są ciemnobrązowe? Nigdy nie naturalne, transparentne, beżowe, tylko właśnie ciemne jak skóra Naomi Campbell. Dam inny przykład: czy ktoś kiedyś znalazł w gazecie próbkę podkładu w kolorze nadającym się do użycia? Przenigdy. To, co uda się wycisnąć z tej małej torebeczki, w najlepszym razie ma odcień gorzkiej czekolady. Można sobie najwyżej posmarować rękę, powąchać i wyrzucić do kosza ze wstrętem. Jak to ma nas, kobiety, zachęcić do zakupu, to przepraszam, ale chyba marketing w firmach kosmetycznych pojechał zbiorowo na wakacje. Razem z redakcyjnymi koleżankami wymyśliłyśmy, żeby zrobić w naszej gazecie „Test Najjaśniejszych” - zaprosić firmy do udziału na zasadzie konkursu. Wygra ta, która ma najjaśniejszy podkład w swojej ofercie. Zrezygnowałyśmy z pomysłu po rozmowach z PR-owcami. Uparcie powtarzali, że badania określają cerę Polek jako ciemnobrązową. No, skoro badania tak mówią... Z badaniami nie ma co walczyć.

*

Testy tym się różnią od urodowych tekstów, że nie ma w nich dużo treści, ale jest za to dużo informacji. Rzetelne opracowanie wyników to podstawa. Każdy kosmetyk musi być zapisany razem z nazwiskiem obdarowanego, na marginesie warto przy okazji porobić notatki typu: wygodny aplikator, korek z naturalnego tworzywa,

kwiatowy aromat - wszystko się może przydać.

Do każdego numeru naszego pisma robię przynajmniej jeden test. Nie można powiedzieć, że jest to wdzięczna praca - przede wszystkim dlatego, że łatwo się komuś narazić. Kiedy zaczynam zbierać opinie, chodzę po kolei do wszystkich koleżanek, którym dałam coś do przetestowania, i proszę, żeby mi opowiedziały, czy są zadowolone, czy im się dobrze używało, jak się nakładało, jak się zmywało, jak pachnie, jak smakuje, co tam tylko kto wymyśli.

W większości są to pytania, na które te osoby nie mogą odpowiedzieć. Dlatego, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to, co dostały, jeszcze tego samego dnia oddały: mamie, cioci, siostrze, porobiły prezenty i tym podobne. Kto normalny przez dwa tygodnie smarowałby się podkładem trzy razy ciemniejszym od skóry tylko po to, żeby się przekonać, czy nie dostanie po nim wyprysków? Zwłaszcza że można wymyślić opinię na poczekaniu, a taka opinia jest nieweryfikowalna, każdy ma prawo do własnej. Wygląda to tak:

- Używałaś tego szamponu?
- Używałam, jasne, bardzo dobry.
- A jak z łupieżem? Zniknął?
- Dlaczego miał zniknąć, ja nigdy nie miałam łupieżu.
- Aha, to szkoda, bo to był szampon leczniczy.
- No tak, wiem to, oczywiście. Zniknąć nie zniknął, bo jak mówiłam, nie mam. Ale nie wystąpił, to też ważne, prawda?
- No tak, to już jest jakiś konkret. A jak ci się podoba zapach?
- Zapach, hmmm... jak on pachnie, w tej chwili wyleciało mi z głowy. Chemiczny taki. Czekaj, ja mogę zadzwonić do mamy, ona jest teraz w domu, to ją poproszę, żeby powąchała.

- No to ciekawe, bo firma postawiła sobie za zadanie wyprodukowanie szamponu, który pachnie bardzo naturalnie. Dokładnie to on miał pachnieć rumiankiem, nie czułaś?

- Wiesz co, jednak zadzwonię do mamy, poczekasz?

- Daj spokój, to nieważne.

Potrafię odróżnić, kiedy ktoś naprawdę używał kosmetyku, a kiedy zwyczajnie buja, dlatego słucham sobie tego wszystkiego i mam ubaw. Wcałe się nie przejmuję, że ktoś mnie ewidentnie robi w balona, bo tak naprawdę pytam tylko dla zasady - samo pisanie testu nie ma nic wspólnego z kosmetykami.

Wyobrażam sobie, że tak muszą pracować ludzie, którzy piszą horoskopy. Żadne tam gapienie się w gwiazdy, fusy albo karty. Robi się coś w rodzaju dużej tabelki i w odpowiednie rubryczki wpisuje dowolne rzeczy, cały czas uważając, żeby się nie powtarzać. Jeśli Waga w jednym miesiącu ma szczęście w pracy, w domu powinna uważać na kontuzje, a w miłości na chwilowy zastój, to już w następnym miesiącu coś się w pracy powinno lekko popsuć, na przykład szef będzie patrzył krzywo, w domu z kolei wiosenne porządki i niezajomy z miłym sercu prezentem. Gdyby horoskop pisać metodą tradycyjną, na przykład na podstawie tarota, mogłoby się okazać, że Koziorożec przez trzy miesiące z rzędu nie może wrócić do domu, bo czekają tam na niego nieoczekiwani goście, albo że Raki siedziałyby non stop w kafejce na rogu, czekając na mężczyznę marzeń. A tak, gdy piszący jest skrupulatny, to pomyłki bywają rzadkie. Ale oczywiście się zdarzają.

Gdy mamy do czynienia z testem kosmetyków, w razie pomyłki wychodzi, że maskara za dziesięć złotych ma takie same właściwości jak ta za sto, a to jest niedopuszczalne. Z dobrze napisanego testu powinno wynikać, że tanie kosmetyki, nawet jak są bardzo

dobrze, to nie są jednak tak dobre jak kosmetyki z górnej półki. Zwykły krem może się łatwo rozprowadzać, ale nie powinien się doskonale wchłaniać. Niedrogi eyeliner może być dość ekonomiczny, ale już nie superwydajny. Tania szminka może mieć ładny kolor, ale nie niezwykłą trwałość - i tak dalej. Wystarczy odrobina wyobraźni. Muszę się dowiedzieć, jak to jest z tymi horoskopami, może będzie szansa na dodatkowe pieniądze...

*

- Ze wszystkich znaków zodiaku ty jesteś najbardziej kochliwym. Patrz, i to wy takie bzdury wypisujecie.

Magda przegląda ostatni numer „Cudu na Twarz”, starając się nie ubrudzić gazety tym, co ma na twarzy i rękach. Testujemy maseczki nawilżające u niej w domu. Pidżama party połączone z kosmetycznym seansem ma nas wprowadzić w dobry nastrój, dlatego przygotowaliśmy się do niego wyjątkowo starannie: moja przyjaciółka zrobiła specjalnie na tę okazję sushi i kupiła wino, ja przyniosłam kosmetyki i zapachowe świece. Rozłożyłyśmy się z tym wszystkim na dywanie przed telewizorem i włączyłyśmy jazz - żyć nie umierać! Magda jako najbliższa przyjaciółka jest moją najlepszą testerką. Wiem, że zawsze mogę na nią liczyć: czy idzie o preparaty na trądzik, czy kremy po goleniu, jest szybka, dokładna i pomysłowa, a o to w tym wszystkim chodzi. Teraz na przykład testuje dla mnie trzy maseczki naraz (posmarowała każdy policzek inną, jeszcze inną ma na czole), dwa kremy do rąk (każda dłoń inny), a na paznokciach u rąk i stóp ma w sumie dziewiętnaście lakierów (jeden musiała powtórzyć, bo się nierówno rozsmarował). Prawdziwa przyjaciółka. Nie mogę być w tyle, dlatego też nałożyłam na paznokcie kolejne dwadzieścia emalii, a na twarz kilka nawilżających specyfików. Jak nam po tym wszystkim skóra nie odpadnie, to wygrałyśmy.

Wszystkie wyniki i obserwacje skrzętnie notuję na bieżąco, więc będę miała kilka ładnych testów na zaś. Wolę, jak spotykamy się u Magdy, bo po pierwsze, miło czasem wyrwać się z własnych czterech ścian, a po drugie, Magda ma jedno z ładniejszych mieszkań, jakie widziałam. Prawie 120 metrów, czyli dwa razy tyle, ile moje własne, a do tego ogromny taras na dachu. Przestronne, supernowoczesne z betonowymi ścianami i telewizorem wielkości kinowego ekranu. Jedynym ciepłym i bardzo kobiecym akcentem w tym wnętrzu jest wielki puszysty dywan w kolorze morelowego różu, na którym leżymy my, nasze kosmetyczne zabawki i taca z sushi. Gdyby jakkolwiek mężczyzna zobaczył nas teraz, byłby zszokowany, i to nie tyle naszym wyglądem, ile tematami, jakie poruszamy. Rozmawiamy o dzieciach.

- Nie żeby mnie jakoś szczególnie ciągnęło do bycia matką, ale chyba powinnam o tym pomyśleć, mam już trzydzieści pięć lat - mówi Magda, nakładając kolejną warstwę lakieru na paznokiec. - Z drugiej strony, jak sobie pomyślę o takim małym rozwrzeszczanym... Zresztą, rozejrzyj się, czy tu jest miejsce dla dziecka?

- No nie ma i ojca nie ma... - sugeruję.

- To akurat nie jest problem. Zaczęłam się wstępnie rozglądać i mam już pewne typy...

- Zaczęłaś się rozglądać? Poważnie? Mówisz o tym, jakby chodziło o jakiś casting.

- Oczywiście, a co ty myślisz. Nie oszukujmy się, nie jestem teraz z nikim związana, jak wiesz, a czas goni. Jak już mam mieć dziecko, to przynajmniej z facetem, który jest bliski ideału, żeby dziecko było fajne. Tak sobie w myślach robiłam przegląd facetów, których znam i wiesz, co mi wyszło? Idealny byłby Robert, no wiesz, ten kolega z pracy. Spotykamy się czasem, ale on od razu postawił sprawę jasno: ma żonę, małego synka i nie ma zamiaru się wiązać, chodzi tylko o seks.

- Poszłaś na to?

- Oczywiście! Jak facet mi się podoba, a podoba mi się bardzo, to dlaczego nie. Co tak patrzysz na mnie. Przypominam ci, że ja nikogo nie zdradzam, to on powinien się wstydzić.

- I myślisz, że on...

- Czy by się zgodził? Nawet nie mam zamiaru go pytać, przecież znam odpowiedź: kocha żonę i nigdy od niej nie odejdzie. Zresztą to nie ma znaczenia, i tak to ja sama wychowam to dziecko, nic od niego nie chcę oprócz jego fantastycznych genów. Wiesz, że on ma sto dwadzieścia IQ?

Sięgam po kolejny kawałek sushi, bo nie wiem, co powiedzieć.

- To by nawet nie była taka zła opcja, jakbym miała dziecko jeszcze w tym roku, żeby już mieć to jak najszybciej z głowy... - rozmarza się Magda.

Jest już dobrze po północy, kiedy Magda odbiera SMS-a.

- Kolega z pracy - wyjaśnia, widząc moje pytające spojrzenie i pokazuje mi, co jest na ekraniku telefonu. „Bym Cie zjadł” - czytamy. Oho, jest kandydat na ojca.

Narty i znikające tematy

Wczoraj na zebraniu redakcyjnym dziennikarka z działu psychologii zrobiła nam straszne świństwo. Planowaliśmy zimowe numery i każdy mógł zgłaszać swoje propozycje tematów. Jak to bywa przy takich okazjach, człowiek staje na głowie, żeby zabłysnąć. Jedna przez drugą wymyślałyśmy najbardziej oryginalne problemy dręczące współczesną kobietę. Ile można czytać reportaże pt. „Uciekłam z domu - zaraz wracam”, „On, ja i moja teściowa”, „Byłam alkoholiczką”, „Co gwiazdy mają w swojej szafie”, „Wygrałam miłość w ruletkę”. Wszystko już było, dlatego sztuka w tym, żeby przynajmniej znaleźć nowy pretekst do pokazania po raz kolejny tego samego zjawiska. Dotyczy to też, niestety, urody, tylko pole do działania jest wyjątkowo małe. Właśnie zastanawialiśmy się wspólnie, jak ugryźć urodową magmę w nadchodzących miesiącach, aż tu nagle wspomniana dziennikarka od psychologii wypaliła:

- Mam wspaniały pomysł... napiszmy o nogach i o ustach!

Ja, Ala, Ela i Hanka jak jeden mąż spojrzaliśmy na nią jak na wariata i przez chwilę miałyśmy nadzieję, że się przesłyszałyśmy. Ale nie, siedziała dumna jak paw i właśnie odbierała pochwały oraz zachwyty z ust całego zespołu, z naczelną włącznie. Ręce nam opadły, dosłownie, i wszystko, co tylko mogło nam wtedy opaść, zwisło smętnie. Rany Julek!, czy nikt tego nie widzi, nie grzmi?

- A co mają nogi do ust twoim zdaniem? - Ja jeszcze liczyłam na cud.

- Nic, napiszmy osobno o nogach, osobno o ustach. Dwa teksty, kapujesz?!

- Doskonały pomysł, fantastyczny! - Wszyscy przekrzykiwali się zachwytaami, zostałyśmy na polu bitwy same.

Problem polega na tym, że nogi i usta to jeszcze nie jest temat, to są tylko części ciała. Tematem na tekst mogą być:

„Nogi po balu”, czyli zmęczone, obolałe, opuchnięte, obtarte - piszemy, jak je doprowadzić do ładu za pomocą kosmetyków, masaży itp.

„Nogi roztańczone”, jak się przygotować do karnawału - pokazujemy rajstopy relaksujące, relaksujące kremy, żele chłodzące i tym podobne.

„Przygotuj nogi do lata”, za chwilę wskoczysz w sandały, pomyśl, co zrobić z pazurami i brzydkimi piętami - sztuka pedikiuru.

Usta:

„Usta krzyczą czerwienią” - czerwone pomadki wracają do łask w tym sezonie, nosimy je nie tylko na wieczór.

„Usta na nartach” - krótki przegląd pomadek ochronnych i metod naprawiania posłonecznych zniszczeń.

„Usta do poprawki” - najnowsze zabiegi powiększające.

Bardziej zdrowotnym tematem będą żylaki albo opryszczka. Tylko że, niestety, to już wszystko było. Trzeba wymyślić coś nowego, nieoczekiwanego, na przykład pokazać nogi gwiazd, nogi pod mikroskopem, usta spaprane operacją plastyczną. Te propozycje, choć teoretycznie ciekawe, odpadają - za bardzo medyczne, obrzydliwe albo gwiazdy się nie zgodzą. No to może nogi à la natura, kosmetyki własnej roboty, kąpiele w dziegiu - nie ma mowy z przyczyn biznesowych, temat urodowy jest jednocześnie pretekstem do pokazania rozmaitych produktów, bo produkty to reklamy. Jak nie ma reklam, nie ma pieniędzy.

Dlatego gdy ktoś wyskakuje na zebraniu z propozycją taką jak ta naszej redakcyjnej specjalistki od psychologii, to jest niestety trochę tak, jakbyśmy zaproponowały w rewanżu: napisz o kobietach po trzydziestce, zrób reportaż o matkach, portret psychologiczny przeciętnej Polki. W końcu, moja pani mądralińska, ile człowiek ma części ciała? To będą kolejne tematy na następne miesiące, a od stycznia od nowa? Przecież jak wymyślamy materiał na sześć stron o tak zwanych bryczesach, to nie dlatego, że nie możemy napisać po prostu o udach. Bryczesy to to, co mamy po zewnętrznej stronie ud. Zgrabna nazwa, prawda? Zdradza, że mamy poczucie humoru, znamy kobiece problemy - w tych miejscach najczęściej odkłada się nam tłuszcz. Poza tym jeśli najpierw napiszemy o zewnętrznej stronie ud, to zostaje nam reszta: wewnętrzna część, kolana, idąc dalej nawet pupa. Z tego da się wykroić kilka tekstów. Dzielenie skóry na kobiecie to codzienność w naszej pracy.

*

Pojutrze wyjeżdżam na narty. Wszystko spakowane, a co najważniejsze, teksty dopięte na ostatni guzik. Przez dwa tygodnie pisałam jak głupia dzień i noc, autoryzacje zrobione, zdjęcia kosmetyków skompletowane. Dzisiaj będzie dzień odpoczynku. Idę do ściany, czyli do tablicy, na której wywieszane są wydruki z gotowymi stronami gazety, jeszcze raz rzucę okiem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Patrzę i widzę, że w miejscu kilku moich materiałów widnieją puste kartki. Dziura. Wielka ziejąca pustka - spadły. Kaprys naczelnej.

Hanka, która zawsze potrafi znaleźć właściwe porównanie, wyjaśnia to tak:

- Z tematami jest tak jak z bohaterką mojego ulubionego filmu pod tytułem „Morderstwo w pociągu” na motywach powieści Agathy Christie. Znasz to? Jechała babka pociągiem, wszyscy widzieli, że jest, i nagle znika. Pociąg się nie zatrzymywał, więc nie mogła

wysiąść, szukają jej i nic, kamień w wodę. Przepadła, został tylko ślad na szybie.

Takim śladem jest tytuł w planie numeru. Wystarczy go przekreślić i czerwonym długopisem wpisać nowy. Wtedy zaczynamy pisać od początku. I to jest właśnie tego typu sytuacja.

Nawet nie ma mowy, żebym nie pojechała na narty, za długo na to czekałam, poza tym już wszystko zorganizowane. Paweł wziął dziesięć dni urlopu i kupił bilety z Londynu do Grenoble. Stamtąd dojedzie autobusem do Les Deux Alpes. Ja pojadę z Polski autokarem i spotkamy się na miejscu. Trochę mnie przeraża wizja trzydziestu (jak dobrze pójdzie) godzin w autokarze, ale to nic wobec wizji zobaczenia się z Pawłem, no i z Alpami. Stanę na głowie, ale wymyślę jakiś sposób, żeby załatać te dziury w szpiglu - w sumie to pięć stron do wypełnienia. Ciężka sprawa, biorąc pod uwagę ile mam czasu - jeden dzień.

Paweł jest jednak niezastąpiony. Spokojnie wysłuchał przez telefon moich jęków, a potem w sekundę wymyślił fantastyczny temat: „Pielęgnacja włosów pod czapką” - prawda, że rewelacja?! Co to jednak znaczy świeże oko. Jestem pewna, że nie było jeszcze o tym nigdzie indziej, będziemy pierwsi! Siadam w natchnieniu do komputera - jak posiedzę całą noc, to na rano wystukam cacuszko, że zdjęciami będzie akurat na pięć stron. W poszukiwaniu inspiracji położyłam sobie przy komputerze ciepłą wełnianą czapkę z pompomem, tę, którą zamierzam zabrać na narty - żeby przypadkiem nie stracić weny.

Co ma łysy do ślepego, czyli subtelny wpływ reklamy

Wolę pracować w domu niż w redakcji, ale ostatnio coraz częściej przesiaduję wieczorami w „fabryce” (tak to miejsce nazywamy). Hania powiedziała mi w zaufaniu, że naczelna lubi, żebym była pod ręką, w razie gdyby trzeba było załatać jakąś dziurę i napisać szybko tekst, albo zrobić coś dla działu reklamy. Tego akurat nie cierpię w mojej pracy. Moim zdaniem w ramach dokształcania zawodowego dziennikarki urodowe powinny mieć darmowe wykłady z logistyki. Ścisła współpraca z działem reklamy wymaga tego rodzaju umiejętności. Kończę właśnie tekst o tym, jak dobrać okulary do kształtu twarzy i fryzury. Robota koszmar, ale wyszło fajnie, są porady okulistów, wywiady ze sławnymi okularnicami, makijaże dla krótko- i dalekowszkie, masa innych zaskakujących mądrości. Dopisuję ostatnią linijkę i już mam posłać całość sekretarzowi redakcji, kiedy czuję ciepłą dłoń na moim ramieniu.

- Kochaniutkaaaaa...

Diabli nadali, Gonia z reklamy, zaraz będzie jazda.

- Cześć, Goniu - mówię szybko. - Popatrz, opisałam soczewki kontaktowe tej firmy, o której mówiłaś, zrobiłam wywiad z lekarzem, którego chciałaś wypromować, pokażę dużo oprawek marki Kosilor, mówiłaś, że chcą nam dać reklamę.

- Kochaniutka jesteś, fajniutko, tylko widzisz, musisz jeszcze

pokazać ten preparat. - Gonia w wyciągniętej łapie trzyma coś, co przypomina nabój do karabinu.

- Co to za preparat, jakieś krople do oczu?
- Nie, to jest... serum na wypadające włosy.

Czuję, jak skóra cierpnie mi na karku, a włosy leciutko unoszą się u nasady. Staram się mimo to zachować spokój, uśmiecham się miło (mam nadzieję) i mówię:

- Ja piszę tekst o oczach.
- Wiem, kochana, wiem, ale nie ma wyjścia, musisz to pokazać, to jest zakontraktowane.

- Chyba żartujesz?

- Nie kochana. Właśnie podpisałam umowę: będziemy to serum pokazywali w każdym numerze ze zdjęciem, w tekście redakcyjnym, przez sześć miesięcy. W zamian bardzo możliwe, że oni nam dadzą reklamę w grudniu. Fajnie, co?

- Przez sześć miesięcy w zamian za... Goniu, zastanów się chwilę, jak możesz obiecywać takie rzeczy? Dostajesz od nas plany każdego numeru, wiesz, o czym piszemy. Przecież nie mogę w tekście o oczach wyskoczyć z serum dla łysiejących, rozumiesz?

- Wymyśl jakiś sposób, kochana, żeby to dołożyć do tekstu.

- A co ja mogę wymyślić? Że jak ktoś ma problem z wyborem oprawek, to mu włosy wypadają ze zgrzyoty i potrzebuje tego świństwa?

- Che, che, bardzo dobre. Wiedziałałam, że coś wymyślisz.

- Goniu, ja żartuję. Nie mogę tego pokazać w tym miesiącu, przykro mi. Jak to jest bardzo ważne, to możemy zmienić plany do następnego numeru i wtedy ewentualnie pokażemy.

- Musisz teraz. Wymyśl coś, bo się zaraz klient obrazi i reklamy nie będzie.

- Wy tłumacz temu klientowi, że jak jego serum wystąpi w gazecie

w sąsiedztwie szkieł kontaktowych i okularów, to czytelniczki pomyślały, że zwariowaliśmy, a reklama będzie niewiarygodna.

- Jemu jest wszystko jedno, o czym będzie tekst, tylko żeby zdjęcie było wyraźne, na pół strony, gdzieś o takie... - Tu Gonia kadruje palcami powietrze.

- Nie ma mowy, nawet jakbym na głowie stanęła, to się artystyczny nie zgodzi.

- Dobra, ja z nim porozmawiam.

Idziemy razem do Andrzeja i Gonia kładzie przed nim obiekt.

- O, fajne, co to?

- Cieszę się, że ci się podoba. Serum na wypadające włosy.

- Nie gadaj, skuteczne? Właśnie tego szukałem, wypadają mi straszliwie...

- Masz ode mnie całe pudełko, tylko jest jedna kwestia: musisz to pokazać na stronach urodowych w tym numerze.

- E, nie, tego się nie da zrobić. W tym miesiącu jest o oczach.

- Wiem, ale niestety musicie to wcisnąć, zakontraktowałam to.

- Chyba żartujesz.

- Już pytałam, ona nie żartuje - wyjaśniam uprzejmie.

- No to muszę cię rozczarować, nic z tego. - Andrzej jest nieugięty, właśnie jestem świadkiem pojedynku gigantów. - Tekst już sobie wstępnie zламаłem, mamy wszystkie zdjęcia, piękny materiał, ekskluzywny, nic więcej do niego nie włożę.

- Zwłaszcza że nie na temat - wtrącam swoje trzy grosze, bo mam w tym interes.

- Taaak, to w takim razie zobaczymy! - Gonia odwraca się na pięcie i znika. Za pięć minut wraca ze swoją szefową, czyli szefową

działu reklamy i idą prosto do pokoju naczelnej. Wychodzą stamtąd we trzy, podchodzą do biurka artystycznego. Pani Malina mówi:

- Andrzej, przerobisz ten materiał tak, żeby wcisnąć zdjęcie tego produktu.

Nie poznaję Andrzeja. Robi się jakby mniejszy, w każdym razie jego napakowana pierś nie pręży się już tak dumnie jak przed chwilą.

- Oczywiście, moja droga królowo, już to robię, natychmiast. O, patrz, jaki jestem szybki, już dołożyłem. Rozsunąłem trochę te soczewki i proszę. Nawet nie wygląda brzydko. Ta fiolka z serum ma nowoczesny kształt, jak rakieta, lubię takie kształty, dlatego uważam, że to mądra decyzja. Teraz na stronie jest więcej dynamiki, ruchu.

Robi mi się niedobrze.

- Co wy na to, drogie panie? - kontynuuje swój popis Andrzej. - Zadowolone?

- Nie do końca - mówi Gonia. - Zestaw to jest dwadzieścia sześć fiolek, mamy pokazać wszystkie. - Wyciąga z reklamówki wielką tekturową kratę, coś jak pojemnik na jajka, tylko zamiast jajek są naboje z serum. - O, to mam zakontraktowane - demonstruje.

Mina Andrzeja chwilowo rekompensuje mi straty moralne, ale nie ma czasu na rozliczenia, bo słyszę:

- A ty, kochanieńka, napisz w tekście o tym kosmetyku, że taki rewelacyjny. Wystarczy mi na o tyle... - Ręce Goni „robią” ramkę. - Tyle mam zakontraktowane.

- Zmieści się, jak skrócisz to, co napisałaś, do połowy - podpowiada uprzejmie Andrzej.

Robi mi się ciemno przed oczami, jeszcze chwila i zacznę rwać włosy z głowy...

*

Na zdjęciu w gazecie będziemy mieli wiosenny koszyk z kosmetykami, a w nim: sześć kremów nawilżających firmy Koral, siedem

kremów przeciwzmarszczkowych firmy Korala i jeden krem matujący firmy Cerise.

- Co tu robi krem Cerise? Oni nam nigdy nie dali reklamy i nie dadzą, za biedni, zmarnowane miejsce - piekli się szefowa działu reklamy, która przyszła do redakcji przeglądać strony przygotowane do wysyłki do drukarni.

- Tylko że ten krem jest naprawdę dobry, używałam go i nie uwierzysz, wydaje mi się, że działa...

- Wywalić.

- Tak jest, wywalić!

- Zamiast niego dajcie coś Korala.

- Tak jest, Korala!

- Jakoś mało tutaj widzę kosmetyków Korala.

- Jest sto procent.

- A, jak tak, to dobrze, wystarczy.

*

Zebranie działu urody z działem reklamy. Dziewczyny z reklamy przygotowały się do notowania, a ich szefowa mówi:

- Nasi reklamodawcy...

- Potencjalni - wrywa mi się.

- ...chcieliby wiedzieć, co możemy im zaproponować w nadchodzących miesiącach.

- Żeby kupili reklamy? - podsuwam.

- Nie, chodzi o to, co my możemy im zaproponować. Czyli, że na przykład będziemy pokazywali ich produkty na stronach redakcyjnych, pisali o nich dużo, a oni wtedy, kto wie, może w zamian dadzą nam reklamy.

- Przepraszam, ale jak my o nich będziemy pisali za darmo, to po co oni mają nam płacić za reklamy? Czy to nie jest bez sensu? - dziwię się.

- Nie - wyjaśnia szefowa działu reklamy. - Oni muszą coś od nas dostać, tylko wtedy będą chcieli współpracować. Takie są mechanizmy współczesnej reklamy prasowej. Redakcja powinna je

dobrze poznać, żeby włączyć się w strategię pozyskiwania reklam. To wy jesteście ambasadorkami naszego pisma i wy powinnyście przyciągać reklamodawców. Na przykład będziecie o reklamodawcach dobrze i dużo pisać, co miesiąc. Ogłosimy konkursy, w których do wygrania będą właśnie kosmetyki wybranych firm, zagwarantujemy, że na każdej stronie urodowej pojawi się zdjęcie ich kosmetyku...

- Nawet jak materiał będzie o czym innym?

- Kochane, pisać to wy sobie możecie, o czym chcecie, nam tylko zależy, żeby zdjęcia tych kosmetyków pokazać i już. A teraz powiedzcie, co możemy zaproponować naszym klientom.

- Czyli jakie tematy mamy zaplanowane?

- No można to i tak ująć, z naszego punktu widzenia to jest towar, który będziemy sprzedawać.

- Chyba oddawać - uściślam. - Przecież oni za to nie płacą, tylko obiecują. Poza tym wiadomo, że jak o czymś napiszemy w tekście, to to jest tysiąc razy skuteczniejsze niż reklama. Reklamom się tak nie ufa. W dodatku za darmo. Lepsze i za darmo, czy nie uważacie, że to zmniejsza szansę na sprzedaż gorszego za duże pieniądze?

Zapada cisza. Moje koleżanki patrzą na mnie w przerażeniu.

- Pogrążasz nas - syczy Ala.

Szefowa działu reklamy rzuca mi wściekłe spojrzenie i mówi lodowatym głosem:

- Widzę, że nie masz pojęcia o reklamie. Jak niczego nie proponujemy reklamodawcom, to oni wybiorą inne pisma. Dlatego musimy im dać więcej, więcej emisji, więcej o nich pisać niż inni, wtedy wybiorą nas, u nas kupią reklamę.

- Przepraszam, ale tak na zdrowy rozum, to jak my będziemy o nich w kółko pisać, to chyba będą woleli dać reklamę w piśmie, które o nich nie wspomina. U nas już będą mieli reklamę bezpłatną... Czy

wy sobie przypadkiem nie psujecie rynku? - Brak logiki w tym wszystkim jest tak porażający, że po prostu nie mogę odpuścić.

- Zwariowałaś, zamknij się wreszcie! - Ala kopie mnie pod stołem z całych sił.

Szefowa działu reklamy kipi już teraz na zewnątrz.

- Nie znasz mechanizmów tego rynku, musimy im dużo dać, a w ogóle to nie mam zamiaru o tym z tobą rozmawiać. Alu, co z tymi planami?

- Okej, więc jeśli chodzi o plany, to chcemy napisać o karnawałowych fryzurach... i makijażach... - Ala zagląda do papierów i recytuje szybko.

- Świetnie, dostałam taki krem na żylaki, pokażemy go przy okazji. - Uradowana Gonia stawia sobie ptaka w notesie.

- To raczej do działu Zdrowie - protestuje nieśmiało Ala.

- Nie, zakontraktowałam już na Urodę, klient nie miał nic przeciwko... nawet mu się spodobał ten pomysł, bo jest oryginalny! - Gonia jest nie do pobicia.

Wziątki albo gratisy

Przeciętny dziennikarz, idąc na konferencję, może się spodziewać, że dostanie nowy długopis, może dwa, czasem jakiś bloczek z nadrukiem firmowym. Jak trafi wyjątkowo dobrze, czyli na dużą konferencję międzynarodowej firmy, może ustrzelić T-shirt, obowiązkowo w rozmiarze XXL. Pobiega wtedy wśród znajomych, nerwowo się dopytując, czy może ktoś ma mniejszy i będzie się można zamienić. Nie można, bo wszystkie koszulki są w takim samym rozmiarze. Spuści wtedy nos na kwintę - no dobra, będzie kolejna piżama. Jeśli dziennikarz ma wyjątkowe szczęście, to wygra coś w konferencyjnym konkursie. Najczęściej do wygrania jest nieco większy zestaw firmowych długopisów, duży notes, czyli agenda, albo ewentualnie album z osobistym autografem zagranicznego szefa firmy - słowem, marzenie i coś, bez czego absolutnie nie da się przeżyć.

Dziennikarka pisząca o kosmetykach zasługuje na znacznie więcej: prezenciki, popularnie zwane wziątkami albo gratisami. Czego PR-owcy nie wymyślą, żeby przypodobać się czwartej władzy - a w każdym razie jej ładniejszej części.

*

W firmach kosmetycznych całe zespoły specjalistów obmyślają, co by tu ofiarować kochanym redaktorkom, co by je mogło ucieszyć, czego jeszcze nie mają w swojej kolekcji. Przed świętami (albo popularnymi imieninami) pracują szczególnie intensywnie.

Dzwonię do firmy Koral.

- Piszę o kremach do twarzy, czy mogę poprosić o przesłanie informacji prasowych o produktach?

- Niestety, nie mamy czasu, robimy świąteczne prezenty dla dziennikarek, zajmę się tym po Nowym Roku.

- Ale my zamykamy numer jeszcze przed świętami.

- Przykro mi, zarobione jesteśmy po uszy, nie dam rady.

Efekty zarobienia zaczynają spływać do nas na dwa tygodnie przed Wigilią. Cała redakcja wygląda jak stoisko w sklepie ogrodniczym w dniu wyprzedaży - wszystko tonie w zieleni. Asystentka naczelnej co chwila wnosi naręczna kolorowych torebek i wielkie pudła ozdobione kokardami. Redakcyjne królowe piękności, czyli Hanię, Alę, Elę i mnie, ledwo widać zza różowej bibułki. Co my tu mamy: perfumy w wymyślnych opakowaniach (serie limitowane), jedwabne chustki z Milanówka w co drugiej przesyłce, zestawy kosmetyków (a to niespodzianka!). Do bufetu już nikt nie chodzi, bo żywność przychodzi w paczkach. Najfajniejsze są kosze piknikowe wypakowane smakołykami: dwie butelki wina, trzy bombonierki, ciasto „domowej roboty” - nic tylko rozłożyć się z tym na dywanie pod biurkami i jeść. Co bardziej pomysłowi PR-owcy dorzucają coś oryginalnego, na przykład: makaron sojowy, łosoś norweski wędzony, pierniczki w kształcie serca (tak was lubimy, kochane redaktorki), pomarańcze i jabłka (każde obwiązane złotą wstążeczką, robota faktycznie musi być przy tym nieziemski). Między owocami są krem do stóp (nie zapominajmy, kto obdarowuje) i termos - coś trwałego musi zostać na pamiątkę, kiedy już wszystko inne zostanie zjedzone.

Dziewczyny w recepcji na widok kolejnego obładowanego kuriera wywracają oczami.

Dlatego raz na tydzień wypada im coś odpalić, na przykład czekoladę do podziału i kaktusa Jerzego.

*

Wziątki dzielimy na luksusowe i praktyczne. Praktyczną rzeczą jest materac dmuchany jednoosobowy - wiadomo, każdy kiedyś jedzie na wakacje pod namiot albo przynajmniej ma remont w domu i materac jest wtedy jak znalazł. Kurtka przeciwdeszczowa też niczego sobie, zwłaszcza taka składana do małych rozmiarów, sama wygoda. Najbardziej cieszy pierwsza kurtka, piąta jakby mniej, chyba że dopiero ta piąta nie ma logo firmy wyhaftowanego żółtą nitką na plecach. Ciekawym pomysłem są plecak, walizka na kółkach, samolotowy kuferek na kosmetyki oraz torba. Z PR-owskiego punktu widzenia torba jest niesamowicie skuteczna. Rzeczywiście, jak się ostatnio spóźniłam na miejsce zbiórki i nie wiedziałam, który autokar odjeżdża na moją trzydniową konferencję, to tylko popatrzyłam na bagaże i wszystko stało się jasne - dwanaście zielonych toreb z napisem *Koral* powiedziało mi więcej niż tablica informacyjna.

Chciałabym mieć kiedyś szansę opowiedzieć ludziom PR o naszym, dziennikarskim postrzeganiu ich ciężkiej pracy, zwłaszcza o wziętkach. Powiedziałabym im wtedy, że nieco ryzykownym pomysłem na prezent dla dziennikarki jest budzik - to jest skomplikowane urządzenie i rodzi tylko nikomu niepotrzebne frustracje. Praktyczne mogą być za to mikser czy suszarka, bo znakomicie nadają się na puchar przechodni. Paradoksalnie wazon, czyli tak zwane szkło, wcale nie jest praktyczny - dziwne konstrukcje zalegające na parapetach w redakcjach to właśnie wziętkowe wazony, oczywiście tylko te, z których za nic nie dało się zdrapać reklamowego napisu. A propos drapania, w tej dziedzinie dziennikarki są prawdziwymi mistrzyniami. Właściwie najlepsze są takie prezenty, z których w jakiś sposób można usunąć napisy, reszta to zwykły szmelc. Dziewczyny z „Cudu na Twarz” tak to widzą:

- Słuchajcie, namoczyłam tę naklejkę w domu w wodzie z proszkiem i odeszło.

- Nie gadaj, ja próbowałam zmywaczem do paznokci i tylko się rozmasało.

- Wypróbuj moją metodę. Mnie się udało i mam piękny grill ogrodowy.

- Ja za to przysiadłam wczoraj i wyprułam cały napis z tej kurtki puchowej od firmy Daniel, zrobiłam dwie dziury, ale i tak jestem zadowolona, bo mogę teraz w niej chodzić po mieście.

- E, ja chyba nie mam cierpliwości do tego, zawiozłam swoją na działkę, chodzę w niej na spacer z psem. Psu zakładałam wtedy kocyk plażowy od Bamble, napis akurat wypada na ogonie, ale psu i tak wszystko jedno, zwłaszcza że biega w tym tylko po lesie.

W kategorii „najdziwniejsze wziętki wszech czasów” pierwsze miejsce przyznałabym leżakowi od firmy Armi. Drewniana rama plus żółte płótno, całkiem ładny, tylko że niestety długość około pięciu centymetrów, czyli za mały nawet dla lalki. Innym zdumiewającym pomysłem był kłapek, przysłany wraz z zaproszeniem na konferencję jednego z producentów kosmetyków do opalania - jeden, lewy. W wyniku poszukiwań środowiskowych udało się ustalić, że nikt nie dostał prawego. Kolejne zaskoczenie: różowe boa ze strusich piór w złotym pudle na kapelusze - przysłane już po Dniu Babci - oraz biała balowa rękawiczka (tym razem zdarzały się prawe i lewe, część dziennikarek zdobyła komplet).

Tradycyjnym zabiegiem dekoracyjnym przy pakowaniu wziętek jest wypełnianie pudeł z kosmetykami muszelkami i plastikowymi perełkami - to jeszcze mogę zrozumieć, kolorowe konfetti też, ale piasek i kamienie? Tłumaczę sobie, że element zaskoczenia też jest częścią strategii PR-owca. Podejrzewam, że cała ekipa udaje się czasem do sklepu z różnościami, jeden zakłada opaskę na oczy,

okręca się jak ciuciubabka i pokazuje ręką półkę. Raz się trafi termos, a innym razem elektryczny podgrzewacz do butelek dla niemowląt.

Czasem takie przypadkowe pomysły bywają lepsze od tych starannie przemyślanych. Po konferencji plastrów do depilacji wręczyli mi plastikową torbę, szepcząc:

- Coś ładnego do łazienki.

Zaglądam i widzę fantastyczny materiał frotte. Ale mi się trafiło, cały komplet ręczników, pomyślałam. Ledwie się z tym pakunkiem zmieściłam do windy. W domu odkryłam, że torbę wypełniał wprost gigantyczny szlafrok, rozmiar XXL, z napisem *Jak dobrze być kobietą*.

*

Odkąd zaczęłam pracować w „Cudzie na Twarz”, żyję w otoczeniu zdobycznych przedmiotów. Śpię pod reklamowymi kołderkami, słucham zdobycznego radia, a światłe myśli zapisuję w reklamowym notesie długopisem z osobistym monogramem. W kuchni mam reklamowe garnki i talerze, poranną kawę piję z firmowego kubka, zresztą sama kawa też jest zdobyczna (z noworocznego koszyczka).

Oglądamy z Magdą moją kolekcję gratisów, popijając herbatkę w pięknych porcelanach - dopóki nie podniesiemy filiżanki do ust, nikt by się nie domyślił, że to wziętek.

- Beznadziejny mieli pomysł z tym napisem na spodeczku - krytykujemy. - Ciężko usunąć.

- Może jak będziesz często myła w zmywarce, to z czasem puści - radzi moja przyjaciółka, oglądając z zainteresowaniem inny talerz, na którym pięknie wykaligrafowano: *Firma Mela serdecznie zaprasza na obiad prasowy, który odbędzie się w siedzibie firmy przy ulicy takiej to a takiej o godzinie piętnastej. W programie między innymi pokaz fryzur letnich i niebanalne jedzenie*.

- Ale pojechali! - Magda nie kryje podziwu.

- Masz wielkie szczęście, wiesz, ile kobiet dałoby się pokroić za taką pracę? - Mama powtarza mi to przy każdej okazji, nawet przy wigilii.

Rzeczywiście moje życie wygląda teraz zupełnie inaczej niż kiedyś. Smaruję sobie pięty najbardziej wyszukаныmi mazidłami, nie mogę też narzekać na finanse - mogę napisać tyle, że nawet bez etatu stać mnie na wiele rzeczy. Na przykład na to, żeby odwiedzić Pawła w Londynie. Co z tego, skoro nie mam czasu. Gazeta musi ukazywać się regularnie, nie mogę ot tak wziąć urlopu i zniknąć. A co, jeśli po powrocie zastałabym na moim miejscu kogoś innego? Lepiej o tym nie myśleć. Robię wszystko, żeby udowodnić, że jestem najlepszą dziennikarką urodową na świecie i zasługuję na etat. Czuję, że już jestem blisko.

Objawy alergiczne

Ela robi remont mieszkania i na redakcyjne kolegia przynosi dokumentację postępów prac. Na jednej z fotek jest jej wielka dumna, jacuzzi, ale nikt nie patrzy na wannę, tylko na to, co powyżej, czyli na półki z ogromną liczbą słoiczków, tubek i buteleczek.

- Ile ty masz kosmetyków w łazience! - zachwycają się dziewczyny z działu graficznego.

- To nie łazienka, to jest domowe laboratorium - odpowiada z godnością Ela.

Rzeczywiście, każda dziennikarka urodowa ma w domu mały poligon doświadczalny, ćwiczy tam niekontrolowane wybuchy wysypki, (za)biegi z przeszkodami, strzelanie z korków i przeprowadza doświadczenia z bronią biologiczną.

Niekontrolowane wybuchy są szczególnie niebezpieczne. Kiedy się smaruje twarz codziennie innym kremem, choćby najlepszym, istnieje obawa, że skóra może zaskoczyć nas jakimś paskudnym wykwitem. Wtedy trzeba mieć pod ręką cały arsenał preparatów do działań maskujących (to te z pododdziału kosmetyków do makijażu).

Pisanie o urodzie wymaga zaprężenia do pracy wszystkich zmysłów bez wyjątku. Żeby sklecić coś sensownego na temat opakowania, trzeba przeprowadzić mnóstwo doświadczeń akustycznych - solidnie „popykać” z korka, obstukać paznokciem denko, sprawdzić, jak „pracuje” nakrętka. Organoleptycznie, wachając,

nasłuchując, można się sporo dowiedzieć o kremie. W każdym razie dużo więcej, niż używając go przez czas krótszy niż miesiąc. To są wszystkie rzeczy niezmiernie ważne i proszę o zachowanie stosownej powagi.

Najwygodniejszym miejscem do testowania jest wierzch lewej dłoni (jak ktoś jest leworęczny- odwrotnie). Od ciężkiej pracy w zaczarowanym świecie kosmetyków moja prawa ręka zaczęła przypominać łapę bohatera dowolnej części „Obcego”. Najpierw szczyt wieniła, potem pokryła się tysiącem krostek i łusek, a na koniec zaczęła mi pękać skóra między palcami. Początkowo nie łączyłam faktu pojawienia się wyprysku z wysokogatunkowymi cudami, zdobycze nowoczesnej kosmetyki i prymitywne potwory jakoś mi nie szły w parze. Naiwnie próbowałam wypędzić Obcego kosmetykami „dla wrażliwych” - bez skutku. Zadomowił się na dobre, zaczął nawet ewoluować, gdy przeszłam na kosmetyki „przebadane pod kątem uczuleń”. Po tak zwanych ratunkowych kuracjach SOS zastanawiałam się, czy nie pojechać na ostry dyżur, po „najłagodniejszych z łagodnych” zaczęłam szukać w sklepach letnich rękawiczek. W końcu pojechałam do lekarza.

- Ma pani egzemę - orzekł. - Już nigdy się pani tego nie pozbędzie, niestety. Trzeba unikać stresu i alergenów, czyli tego, co wywołuje takie wypryski.

To tak, jakby powiedzieć murarzowi, że ma unikać tynku. Czyli jestem skazana na towarzystwo Obcego.

*

Kiedyś wierzyłam, że istnieje coś takiego jak kosmetyki dla alergików. Ale wystarczyło mi zgłębić kilka tajników urody, żeby pozbyć się złudzeń. Konferencja połączona ze zwiedzaniem fabryki Korall potwierdziła, że właściwie nie ma dla mnie ratunku.

- Tak, drogie panie, to tutaj właśnie, w tej hali, powstają kremy

najłagodniejsze z łagodnych. Proszę o podniesienie ręki te z pań, które mają alergię. Dziękuję. Same panie widzicie, że to poważny problem naszych czasów. Dlatego w naszej fabryce produkujemy wyjątkowe preparaty, bezpieczne w stu procentach, przygotowane w sterylnych warunkach. O tu, w tej kadzi, jest jeden z takich delikatnych kremów, proszę nie dotykać, bo jeszcze nie przebadany, każda partia otrzymuje certyfikat bezpieczeństwa. Efekty same panie znacie, czy jest wśród was chociaż jedna osoba, którą uczulił nasz krem?

Wynik: las rąk, dziewięć do dziesięciu dla Obcego i jego spuchniętych łap.

- Dziwne... bardzo dziwne, ale trzeba powiedzieć, że... panie jesteście grupą wysokiego ryzyka...

Jestem zatem ofiarą kosmetologii. Zastanawiam się, czy jest szansa, że z czasem kosmetologia znajdzie sposób, żeby wyrównać straty.

*

Pogodziwszy się z egzemą, zaczęłam z większą ostrożnością podchodzić do kosmetyków. Co można zrobić z kremem robionym na bazie kwiatów zbieranych o poranku przez kobiety w białych rękawiczkach na przeciwległej półkuli ziemskiej (cena równie wyszukana), skoro uczuła? Wyrzucić szkoda. Oddać? Nie wypada. Na szczęście jest miejsce na ciele, które zazwyczaj opiera się atakom obcych, wyjątkowo dobre miejsce do testowania kosmetyków. Tym miejscem są... pięty. Sprawdziłam, polecam - nawet najdroższe świństwo można tam sobie wsmarować bezpiecznie. Na pięcie nigdy nie wyskoczy krostka, pięta się nie zaczerwieni - trudno o lepsze miejsce do doświadczeń.

W charakterze kremu do pięt dziennikarki urodowe używają najrozmaitszych preparatów kosmetycznych: maseczek, kremów na dzień i na noc, kuracji przeciwzmarszczkowych, słowem wszystkiego, co kremem do stóp nie jest.

Kremy do stóp, czyli z definicji kosmetyki „niskich” rejonów, wypadają na tym tle zbyt pospolicie i nie ma co sobie nimi zawracać głowy, nie mówiąc o piętach.

Nietypowe zastosowania kosmetyków to też często wyraz eksperymentatorskiej pasji specjalistek od urody, tęsknoty za czasami, kiedy w gazetach można było „sprzedawać” najbardziej niewiarygodne pomysły na to, co można zrobić w dążeniu do piękna. Niewiele zostało jeszcze na rynku pism, w których można przeczytać radę w rodzaju: „Jeśli wyskoczy ci pryszcz, posmaruj go na noc pastą do zębów” albo: „Jak nie masz pod ręką żelu pod prysznic, użyj płynu do kąpieli - ich skład jest podobny, możesz mieć tylko problemy ze spłukaniem”. Dzisiaj kosmetyki są wąsko wyspecjalizowane, firmy kosmetyczne robią wszystko, żebyśmy kupowały jak najwięcej. Krem do skórek wokół paznokcia, balsam do dekolту, szampon do włosów suchych u nasady i tłustych na końcach, krem na zmarszczki mimiczne to są właśnie kosmetyki wąskiej specjalizacji. Formuła trzy w jednym kompletnie się nie sprawdziła z marketingowego punktu widzenia, chodzi przecież o to, żeby kupić trzy, a nie jeden. Żeby pisać o urodzie barwnie, z pomysłem, trzeba eksperymentować zawsze, i w domu, i w pracy, dlatego w naszej redakcyjnej toalecie w charakterze odświeżaczy do powietrza stoi cały legion luksusowych perfum. Nie wiem, czy PR-owcy od tych zapachów już wiedzą, ale perfumy świetnie sprawdzają się w takiej roli - nie wywołują uczuleń.

*

W pokoju pani Maliny flakoniki perfum wypełniają szczelnie nawet przestrzeń między monitorem a klawiaturą komputera. Siedzę naprzeciwko naczelnej i pocę się straszliwie - nie mam pojęcia, dlaczego mnie wezwała. Czy coś zawałam? Może nie przyłożyłam się wystarczająco do tekstu o stopach? Naczelną lubi, jak jest dużo

ramek, a ja nie dałam ani jednej... A może to dlatego, że w teście maskar zredukowałam liczbę Korala do czterech - OK, wiedziałam, że ryzykuję, ale cztery tusze na dziesięć to i tak sporo, inne firmy miały po jednym. Hmm, no bo chyba nie chodzi o to, że wczoraj na śniadaniu prasowym producenta pianki do włosów Flex zadawałam za dużo pytań... Albo o to, że... O rany, a jak chce rozmawiać o tym, że widziałam ją wtedy z Olgierdem?!

W końcu naczelna przerywa to krępujące milczenie.

- Ma pani wielkie szczęście, że pani u nas pracuje, wie pani o tym, pani Joanno? Wie pani, ile kobiet dałoby się pokroić za taką pracę?

Ciekawe, skąd ja to znam. Tyle że w ustach pani Maliny to brzmi bardzo niepokojąco. Chce mnie zwolnić? To znaczy przerwać współpracę, bo przecież ja nie mam etatu.

- Dostanie pani etat.

Z wrażenie omal nie spadam z krzesła i zaczynam się nerwowo drapać po chorej ręce. No coś takiego, nie wierzę własnym uszom.

- Na... naprawdę?

- Naprawdę. Nie cieszy się pani? Proszę się bardzo cieszyć. Niełatwo dostać etat dziennikarza, wie pani o tym?

Czy ja o tym wiem? Już prawie rok piszę dla „Cudu na Twarz” i nic, aż do tej pory. Jak to powiem Pawłowi, nie uwierzy. Taki sukces!

- Chyba oszaleję z radości - zapewniam naczelną. - Nic a nic się nie spodziewałam. To wspaniała wiadomość. Dziękuję z całego serca i obiecuję, że zrobię wszystko, żeby pani nie zawieść.

- Ja myślę. - Widać, że moje deklaracje sprawiają naczelnej przyjemność. - Teraz będzie się pani musiała jeszcze bardziej starać.

- Tak, tak, oczywiście, będę jeszcze lepsza niż do tej pory, będę

superszybka, superwydajna, zobaczy pani. Dziękuję, dziękuję raz jeszcze.

- Proszę, to tyle na razie. - Naczelną odprawia mnie skinieniem ręki. - Formalności dopełnimy w przyszłym miesiącu, proszę skontaktować się w tym celu z działem kadr, przygotowują dla pani umowę.

Jak we śnie ruszam do drzwi.

- I jeszcze jedna rzecz. - Głos Pani Maliny zatrzymuje mnie w pół drogi. - Proszę się nie łudzić, że zarobi pani tyle, ile teraz na wierszówkach. Coś za coś, pani Joanno: albo etat, albo kasa.

Fitness dla ciała i ducha

Moja nominacja na etatowego pracownika, choć na razie nie przybrała formy konkretnego, czyli umowy, sprawia, że patrzę na wszystko przez różowe okulary. I kto mi teraz powie, że nie warto się starać?! Życie potrafi przybierać nieoczekiwane kształty. Tak do końca uświadomiłam to sobie w trakcie wywiadu ze specjalistką od fizykoterapii, która chciała mi wyjaśnić, na czym polega rozciąganie mięśni. Użyła do tego celu gumki od majtek.

- Jak pani będzie taką gumkę rozciągała i natychmiast puszczała, to ona zawsze będzie wracała do pierwotnego położenia, jej długość się nie zmieni. Ale jak rozciągnie ją pani z całej siły i przytrzyma trochę dłużej, to gumka wydłuży się przynajmniej o kilka centymetrów. Z mięśniami jest tak samo. Regularne ćwiczenia rozciągają je.

Przykład, aczkolwiek malowniczy, jakoś mnie nie zachęcił do uprawiania sportu. Może wizja trwale rozciągniętej gumki w majtkach to nie było to, co miało mi zrekompensować codzienny trud. W każdym razie poza jazdą na nartach wysiłek sportowy od lat budzi we mnie najszczerze obrzydzenie. Ale temat fitness podpada pod urodę i jest to kolejna dziedzina, w której muszę się wykazać profesjonalizmem.

W naszej redakcji fitnessem zwykle zajmuje się Hania. Nie dlatego, że lubi, tylko dlatego, że ma kolegę instruktora aerobiku, który w razie czego pomaga jej w pisaniu. Jak Hania robiła przegląd stołecznych siłowni - ceny, wyposażenie, subiektywne oceny -

wszystkie pieniądze, które dostała od naczelnej na zakup biletów wstępu, przeznaczyła na solarium. Po dwóch tygodniach testowania była opalona na mahoń, a najwyższą notę przyznała siłowni, która ma najlepsze łóżko samoopalające.

Hania powiedziała mi, że teoretyczna wiedza w dziedzinie fitnessu w zupełności wystarcza do pisania. Trzeba tylko wiedzieć, jak wygląda ćwiczący człowiek. Jest to człowiek spocony, sapiący, wydający po każdej serii jęki mówiące o tym, że oto przekroczył właśnie granicę wytrzymałości, na pewno nie jest to człowiek zadowolony z życia. Na zasadzie przeciwieństwa w tekście z dziedziny sportów domowych należy długo rozwodzić się nad tym, jak wspaniale można się zrelaksować, ćwicząc, jak cudownie jest wstać rano i zamiast zajmować się przyrządzeniem kawy, od razu pobiec przed siebie. Dlaczego nie można opisać, jak wygląda powrót z porannego joggingu? No tak, nie opisujemy w gazecie rzeczy brzydkich, strasznych, odrażających... Ktoś to może czytać przy śniadaniu.

Pisząc o ćwiczeniach, trzeba położyć nacisk (łagodny) na potrzebę zakupu odpowiedniego stroju i przyrządów. Oczywiście to jest prawdziwy cel pisania o sportach domowych - reklamodawcy. Firmy odzieżowe, producenci butów sportowych czasem fundują dziennikarkom darmowe karnety na siłownię. Mnie też się trafiło i dostałam bilet wstępu do salonu odnowy biologicznej w jednym z nowo otwartych hoteli. Pięciogwiazdkowym! Zawzięłam się i postanowiłam uczęszczać. Szczerze mówiąc, akurat zbiegło mi się to z remontem łazienki (na konto przyszłego etatu kupiłam najmodniejszą umywalkę i sedes do kompletu, potem już może nie będzie mnie stać na takie wydatki), gdzieś musiałam się przecież myć. Przez cztery dni, z pełnym poświęceniem, codziennie przed redakcją albo konferencją, pędziłam do hotelu, przebierałam w klinicznie czysty szlafroczek i wyciskałam z siebie siódme poty na siłowni (przez

jakieś trzy minuty), potem trzy minuty sauny i biegiem pod prysznic. Piątego dnia instruktorka powitała mnie strasznie zdenerwowana, mówiąc, że mają poważną awarię prądu i sala ćwiczeń będzie niedostępna. Tego dnia nie musiałam udawać mistrza sportu, tylko od razu udałam się pod natryski. Co za ulga!

*

Choć sama jestem ze sportem na bakier, wysoko usportowione osoby robią na mnie wrażenie. Choćby Marzena Giętka, taka nasza polska Jane Fonda. Pamiętam, że jako dziecko oglądałam jej programy w telewizji. Wypadały akurat w czasie, kiedy urwałam się ze szkoły i sadowiłam się przed telewizorem z paczką chipsów (wtedy jeszcze prażynek). Na innych kanałach leciały programy edukacyjne albo rolnicze. Popisy Marzeny zdecydowanie lepiej pasowały do chipsów niż inseminacja bydła.

- Nóżka do przodu i zaraz mocno do tyłu, pierś wypięta i skaczemy rytmicznie: hop, hop, hop!

Ciekawe, czy ktoś spośród oglądaczy skakał wtedy przed telewizorem razem z mistrzynią. Najwidoczniej tak, bo po dziś dzień pani Marzena jest gwiazdą telewizji, alfą i omegą w propagowaniu zdrowego trybu życia. Z tego powodu występuje też w gazetach.

Wywiad z panią Marzeną to prawdziwa przyjemność. Przede wszystkim dlatego, że nie spotykamy się w kawiarni czy redakcyjnym korytarzu na parapacie, tylko jadę do niej do domu. Spodziewam się czegoś w rodzaju gigantycznej siłowni, a widzę luksusową rezydencję z przestronnym salonem otwartym na nowoczesną kuchnię. Siadamy przy szklanym stole na fotelach z kremowymi obiciami. Pani Marzena wygląda zachwycająco w dżinsach i bluzeczce na ramiączka. Ciało jak u dwudziestolatki, Jane Fonda nie dorasta jej do pięt. W tym salonie jest tak elegancko, że mój przybrudzony notes zwiija rogi ze wstydu, ale co tam, czas na pytania.

Interesują mnie nowości w dziedzinie fitness, podobno pilâtes jest już passé. O czym mówiono na Kongresie Fitnessu w Nowym Jorku? Czy wymyślono nowe ćwiczenia dla leniwych? Wysłuchawszy pytań, pani Marzena robi coś nieoczekiwanego.

- To ja pokażę - mówi szybko i rzuca się na podłogę.

Wyciągam głowę, bo wcale jej nie widać zza stołu.

Propagatorka zdrowego trybu życia wywleka spod szafy piankową matę i pudło z piłeczkami (a jednak są tu, sprytnie ukryte).

- Ja będę ćwiczyła, a pani niech pisze.

Kiedy już wszystko jest opisane, gospodyni wstaje z podłogi (nawet się nie zmęczyła) i otwiera wielką lodówkę.

- Popracowałyśmy sobie, a teraz nagroda - mówi tajemniczo. - Zrobiłam tiramisu, według własnego przepisu.

Taki fitness to ja rozumiem - tiramisu palce lizać!

Obieg zamknięty

To, co człowiek ma na głowie, to oczywiście są włosy. Ale jak powiedzieć inaczej? Czupryna - mało efektownie, cóż, niech będzie, a dalej?

Pisanie o urodzie tylko z pozoru jest łatwe i przyjemne. Najgorsze są słowa kamienie. Zero zamienników, synonimów albo tyle, co kot napłakał. Na przykład tytuł tekstu (banalny): „Włos włosowi nierówny” wyczerpuje liczbę powtórzeń, a to przecież dopiero początek, bo cały mój test ma być o hmmm... czuprynie i problemach z nią związanych. Eliminowanie powtórzeń przypomina pracę saperską: znaleźć, zabezpieczyć, w przeciwnym razie będzie źle.

*

Ćwiczenie czyni mistrza, dlatego nie omijam żadnej okazji, żeby potrenować. Kiedy ludzie widzą w kawiarni, poczekalni, pralni, na pływalni i w autobusie zamysloną panienkę bazgrzącą coś na serwetce, strzępku papieru albo w kalendarzyku, myślą pewnie, że z niej taka romantyczka, listy miłosne skrobie... Tymczasem prawda jest trywialna: ćwiczę zamienniki. Zamiast: „noga” można napisać: „dolna kończyna”, znacznie gorzej, bo nieprecyzyjnie, brzmi: „dolna końcówka”, raczej: „stopa z przyległościami” albo po kolei: „stopa, łydka, kolano, udo”. Wyjściem awaryjnym jest omówienie: „jak dbać o tamte rejon”, „daj chwilę wytchnienia najbardziej spracowanej części ciała” (tu trzeba cały czas pamiętać o kontekście, czyli

o tym, o czym jest tekst i kim są jego bohaterki, i unikać dwuznacznych sytuacji). Można też zdać się na inteligencję i zaproponować zagadkę: „Czy wiesz, że Twoje ciało to nie tylko to, co od pupy w górę?”. Jak czytelniczka będzie na poziomie (a do takich przecież adresowane są pisma kobiece), to się zorientuje: to, co od pupy w dół, czyli nogi - i jesteśmy w domu.

Piersi są fajne, da się je zastąpić: „biustem”, „apetycznymi krągłościami”, „kobiecyymi atrybutami”, „kuszącymi wypukłościami”, czymś z owoców: „ślicznymi jabłuszkami”, „cytrynkami”. Raczej nie polecam „arbuźów”, ale na upartego można.

Dłonie to prawdziwy problem, nie powiemy przecież „łapy” tylko garść, palce i wierzch”. Najlepiej jest odmieniać dłonie przez wszystkie przypadki, a jak się skończą... załamać ręce.

Pupa, no i tu znowu jesteśmy w czarnej... kropce. Pupa albo „pośladki”, „piękny tył”, od biedy: „najbardziej seksowna część naszego ciała” - raz można użyć „tyłeczek” (nieelegancko, ale cóż zrobić), potem wracamy do pupy.

Paznokcie mają płytkę, nie wolno o tym zapominać: „pomaluj płytkę czerwonym lakierem...”; jest jeszcze słowo „manikiur”, które wiele wyjaśnia i podobnie jak „pedikiur” kieruje uwagę na właściwe rejony.

Przejdźmy do kosmetyków: „krem”, czyli „zawartość”, na początku wypełnia „słoiczek”, w dalszej części tekstu wypełnia już tylko „jego wnętrze”. Tym, co wypełnia, może być: „koktajl składników odżywczych”, „esencja naturalnych wyciągów roślinnych”, „mieszanka upiększająca”, w przybliżeniu rozpaczy nawet „melanż”. Wreszcie, ostatnio jakby nieco mniej popularna, „bomba energetyczna”.

Zamiast bez końca powtarzać, jaki krem jest (odżywczy, przeciwzmarszczkowy, dotleniający i tak dalej), warto wprowadzić element tajemnicy: „Sekret receptury to...”. Tajemnica znakomicie maskuje skutki niewiedzy, to znaczy, kiedy nie mamy zielonego

pojęcia, z czego składa się krem, bo na przykład zgubiliśmy opis albo PR-owiec spóźnia się z przysłaniem materiałów prasowych, zwałamy na „sekret receptury”, najlepiej „pilnie strzeżony”, bo wtedy raz na zawsze ucinamy ewentualne pytania zaciekawionych czytelniczek.

*

Największe szczęściarzy świata urody to te pracujące w tygodnikach. Niby cykl wydawniczy morderczy, ale czy ktoś widział kiedyś w tygodniku dłuższy tekst o urodzie? Sporadycznie. Zwykle kilka stron z butikami, czyli zdjęciami kosmetyków i podpisami, załatwia sprawę i całe dnie można spędzać na konferencjach. Biedne, zapracowane po wysmarowane kremami uszy dziennikarki z miesięczników co miesiąc czeka nowa porcja słów kamieni i doskonalenia sztuki uniku - ale za to jak to rozwija wyobraźnię! Po prawie roku treningu znam już słownik synonimów na pamięć, potrafię wyciąć połowę tekstu w mgnieniu oka i w podobnym czasie tyle samo dopisać. Moją pasją są tytuły. Odkryłam na przykład, że kiedy bardzo szybko piszę na komputerze słowo „maskara” zawsze wychodzi „masakra” ... Dziwne...

*

Skrzętnie wyrywam i gromadzę artykuły o urodzie. Nigdy nie wiadomo, co się może przydać. Szczególnie cenne są artykuły z prasy zagranicznej - to są przecież gotowe pomysły, podane jak na tacy. Oczywiście muszę taki tekst nieco zmodyfikować, żeby dostosować do rodzimych realiów. Jeśli w artykule napisano: „Znasz już wszystkie SPA w swoim kraju, czas wypuścić się gdzieś dalej”, tłumaczę to na: „Choć raz, z ciekawości wybierz się do SPA”. Zamiast: „Ten krem warto uwzględnić w kosmetycznym budzecie” lepiej

będzie: „Drogi, ale wart swojej ceny”. Język urodowy w zagranicznych gazetach jest nieco mniej wyszukany niż w krajowych, więc nie ma potrzeby kopiować go wiernie. Tym, co naśladowuję, jest sposób ujęcia tematu i zdjęcia. Inspirujące ułożenie lakierów do paznokci na kolorowych wacikach albo sposób rozgniecenia cieni na betonie. Wydieram całą stronę i daję fotografowi na wzór, a on już robi z tym, co tylko możliwe. Zwykle mimo starań rodzimego artysty efekt jest daleki od oryginału. Wtedy mówi się, że unikamy kopiowania na ślepo.

Wydzierki z polskich pism kobiecych też bardzo pomagają przy pisaniu, ale trzeba wiedzieć, jak z nich korzystać. Początkująca dziennikarka, taka jak ja, łatwo może wpaść w pułapkę skomplikowanych zdań. Niebezpieczne są zwłaszcza smakowite porównania, które aż się proszą o przepisanie, na przykład: „Zmarszczki są jak emerytura - trzeba na nie zapracować” albo: „Te molekuly działają jak głuchy telefon - przekaz dociera gdzie trzeba, tylko lekko zmodyfikowany”. Można sobie wyobrazić, jak napracowała się osoba, która takie coś wymyśliła, jak mocno zaangażowała się w pracę nad tekstem, jak bardzo chciała ożywić go czymś błyskotliwym. Takiego wysiłku się nie zapomina. Dlatego nie można mieć nadziei, że jeśli ta sama dziennikarka otworzy kiedyś, choćby za parę lat, inną gazetę i przeczyta swoje własne - w pocie czoła wymyślone - zdanie, to nie domyśli się, że chodzi o plagiat. Zorientuje się na pewno.

*

- Macie może jakieś wycinki o kosmetykach z lawendą? - Ala przygotowuje się do tekstu.
- Pamiętam, że czytałam o tym. Było tam dużo ciekawostek o uprawach, jakieś badania... - Hania drapie się po głowie.
- To by mi się bardzo przydało, poszukasz?

- Oczywiście, mam gdzieś tu na tej stercie. Wszystko mam ponumerowane, z datami, znajdę raz-dwa. Czekaj... Proszę, już jest.
- O kurczę, a nic innego nie masz?
- Nie, a dlaczego? To bardzo dobry artykuł i stary jak świat, to się ukazało chyba ze trzy lata temu.
- Cztery.
- O, a skąd wiesz?
- Bo ja to napisałam, wtedy jeszcze używałam pseudonimu.

Kobiece redakcje to obieg zamknięty, od lat pracują w nich te same osoby, dlatego z cytowaniem trzeba strasznie uważać. Istnieje obawa, że zacytowany (często jednocześnie sam będąc cytującym) spotka się z przytaczającym w jednej redakcji i będzie głupio.

*

Jeszcze na studiach uczyli mnie, że dobry tekst powinien być napisany tak, jakbyśmy pisały do przyjaciółki, czyli sympatyczna pogawędka o różnych sprawach „wagi państwowej”. „Jedna pani drugiej pani” radzi, jak wybrnąć z rozmaitych kłopotliwych sytuacji, na przykład: „Lato zmusza nas do odkrycia stóp - zdejmujemy skarpety i...” - tu potrzeba kilka słów otuchy, nie opisujemy, co widzimy, tylko śpieszymy z pomocą i pociechą, np.: „Spokojnie, to tylko skutki zimowych zaniedbań, można im zaradzić”.

Jak to często bywa w prawdziwych rozmowach z koleżankami, rady są zawsze „od serca”, nawet jeśli nie mamy pojęcia, o czym mówimy, powinnyśmy brzmieć przekonująco i to wystarczy.

Weźmy dwie kobiety, które rozmawiają o życiu. Mężczyźni tego nie rozumieją, tej gorączkowej paplaniny przerywanej okrzykami: „No coś ty... niesamowite...”, „i co zrobiłaś?”, „nie mów”, „super!”

„rewelacja!”, „obłądna!”, „dlaczego nie?”, „daj mu szansę”, „przemyśl to, poczekaj”, „zaatakuj, idź na całość!”, „no widzisz!”, „a nie mówiłam?!”.

Emocjonalne zaangażowanie da się wypreparować sztucznie, dodając słowa: „prawdziwa rewelacja”, „sprawdziłam i polecam”, „godny uwagi”, „używałam go z prawdziwą przyjemnością”. Staram się być elegancka, dlatego nie używam trybu rozkazującego. Sformułowania typu: „biegnij do sklepu!”, „kup!” zarezerwowane są raczej dla gazet z dolnej półki. My, jak mi powiedziała Ala na początku współpracy, tylko sugerujemy, nie wywieramy nacisku, a przynajmniej nie w sposób nachalny, bo my jesteśmy luksusowym pismem.

Łagodna perswazja przejawia się w podkreślaniu, że dany kosmetyk jest modnym krzykiem sezonu i używają go gwiazdy. Prawdę mówiąc, powiedzieć to kobiecie to tak, jakby kazać jej natychmiast biec do drogerii - każda z nas w głębi duszy chce być Natalią Vodianova.

*

W praktyce pisanie do przyjaciółki wychodzi różnie, bo też różne mamy przyjaciółki. Bywa, że do redakcji przychodzi tekst od kogoś z zewnątrz, czyli czytelniczki z pasją pisania. Niezmiernie rzadko (na palcach jednej ręki można policzyć), ale jednak zdarza się, że taki tekst „idzie”, to znaczy ma szansę na publikację, ale trzeba go wcześniej poprawić. Ja jestem człowiekiem od takich specjalnych poruczeń. Siadam do komputera otwieram plik i czytam: „Idzie zima, zanim NŁOŻYSZ czapkę, kup sobie dobrą pomadkę ochronną... kiedy już zaopatrzysz się we wszystkie kosmetyki potrzebne do przetrwania chłódów, WŁOŻ SFETR i wyjdź na długi, zdrowy spacer...”.

Zaczynam od poprawienia „kremu o zapachu POMARAŃCZA” i mojego ulubionego: „PERFUMA”. Po „kosmetycznych” zabiegach skupiam się na treści.

Koleżanka czytelniczki (ta wymaginowana) najwyraźniej jest dziewczyną zagubioną w dorosłym świecie i potrzebuje instrukcji niemal rodzicielskich. Trzeba jej powiedzieć, że się powinna myć, nosić rękawiczki i grube skarpety. Instrukcje dotyczące pielęgnacji są nie mniej szczegółowe: jak krem wycisnąć z tubki, żeby nie zapaskudził rąk, jakie ruchy wykonywać rękami w celu umycia twarzy, jak skutecznie spłukać ciało pod prysznicem. Najpierw to wszystko komplikuję, czyli dopisuję rzeczy zaskakujące i ciekawe, żeby tekst nie był nudny. Wystarczą małe słówka, na przykład do „trzeba nosić skarpety” dopisuję „czerwone”, czy ma to sens? Żadnego, ale zaciekawia, wprowadza niepokój. Jak do „spłucz ciało pod prysznicem” dopiszę „szczególnie starannie bicząc łydki”, to tekst natychmiast nabiera jakości. Oczywiście nie wolno przesadzić, bo pisma kobiece to nie periodyki naukowe. Dlatego po namyśle dopisuję jeszcze instrukcję składania ręcznika. Na wszelki wypadek w domu powinienam przetrenować manewry w łazience - a nuż się okaże, że moje rady są niewykonalne...

*

Moja przyjaciółka Magda najwyraźniej nie ma pojęcia, ile wysiłku wkładam ja i moje koleżanki w napisanie wartościowego artykułu. Dla niej to wszystko jest „pitu pitu”, czczy gadanina, dyrdymały i stek nikomu niepotrzebnych bzdur. Siedzi teraz na mojej kanapie, wymachuje gazetą i się wymądrza.

- I dla kogo właściwie jest ta gazeta? Chcesz powiedzieć, że dla inteligentnej kobiety? *Oh, please*. To, co tu wypisujecie, to jakaś dziecinada.

OK, Bardzo Ważna Pani Magda zajmuje się finansami, ale moim zdaniem trochę przesadza z tym mędrkowaniem. Czy ja ją pytałam o zdanie? Poza tym nie po to co miesiąc dostaje ode mnie „Cud na Twarz”, żeby miała pożywkę dla swoich pseudonaukowych wywodów.

- Powiem ci - Magda nie daje za wygraną - jak tak przeanalizować to, co tu piszecie, to wasza czytelniczka wygląda tak: została wypuszczona z ciemnej piwnicy, gdzie przesiedziała całe życie w odosobnieniu. Dzięki temu udało się jej zachować mentalność przedszkolaka. Nie wie nic. Nie potrafi się samodzielnie uczesać czy umyć. Codziennie staje przed lustrem i zastanawia się, jak odkręcić kran. Gdy już jej się w końcu uda, to leje bez opamiętania wodę i myje twarz wrzątkiem, od czego oczywiście natychmiast pękają jej naczynka. Kiedy jakimś cudem wejdzie pod prysznic, to przyska wodą po ścianach, zamiast skierować silny zwarty strumień na miejsca, które wymagają umycia. Głowę spienia mydłem, bo nie zna przeznaczenia szamponu. Po kąpeli nie wyciera się wcale, tylko mokra wkłada ubranie. Głupiego warkocza sobie nie umie spleść, nie mówiąc o jakimś bardziej skomplikowanym koczku. Jak próbuje wpiąć spinki we włosy, to zawsze źle, zawsze nie tak. Trzeba tej kobiecie pokazać, jak się wyjmuje watek z opakowania i przechyla buteleczkę, żeby wylać trochę toniku. Potem cierpliwie, jak dziadek krówce, demonstrujecie jej przecieranie oblicza. To samo z mleczkiem do demakijażu. Uczycie ją, że porcja balsamu, jaką powinna wycisnąć na rękę, ma mieć mniej więcej wielkość orzecha włoskiego. Czy wy w ogóle robicie jakieś fokusy?

Ma na myśli badania, które pozwalają określić profil czytelniczy i sprawdzić, jak to, co piszemy, jest odbierane przez czytelniczki. I tu ją mogę zaskoczyć. Oczywiście, że robimy. I co z nich wynika? Że nasza przeciętna czytelniczka jest zamożną mieszkanką dużego miasta, ma wykształcenie wyższe, a z gazet (poza prasą kobiecą) najchętniej czyta „Politykę” i „Rzecz” - i co, łyso? Nie kto inny, ale właśnie Magda jest przedstawicielką naszej grupy docelowej. Wygłasza tyrady pełne pogardy, ale mogę się założyć, że czyta każdy numer „Cudu na Twarz” z wypiekami na twarzy. Ta świadomość bardzo mnie podnosi na duchu.

Two way ticket

Zagraniczna konferencja, czyli darmowa przejażdżka na zakupy do jednej z europejskich stolic. Czy może być miłszy przerywnik w zapracowanym życiu dziennikarki urodowej? Z początku trochę się nimi stresowałam, bo to przecież wielka odpowiedzialność: nie zbłąźnić się, nie wypaść na kompletną ignorantkę w sprawach międzynarodowych, ale wystarczyło kilka takich wypadów i „złapałam dryg”. Jak zwykle nieocenioną pomocą okazały się obserwacje, bez nich pewnie bym się wyłożyła na pierwszym wirażu, a tak zaliczam zagraniczne konferencje jedna po drugiej, zwiedzam ciekawe miejsca i nabywam konferencyjnego obycia. Lecę teraz do Nicei na Lazurowe Wybrzeże; zapowiada się weekend pełen wrażeń.

Na miejsce zbiórki w hali odlotów docieram elegancko spóźniona - poprosiłam taksówkarza, żeby pojechał dłuższą trasą, bo wypada się nieco spóźnić, powiedzmy trzydzieści minut, żeby nikt sobie przypadkiem nie pomyślał, że mam *reiseieber*. Takie są zasady, podobnie jak to, że do odprawy podchodzimy nonszalancko, z wolna, jakbyśmy znały procedurę na wylot. Dla dodania sobie animuszu już teraz można zacząć krytykować.

- Ojej, jak tu gorąco. Chyba nie mają klimatyzacji. I jaka organizacja beznadziejna na tym lotnisku, czegoś takiego nie spotykam nigdzie na świecie... - Ania z „Dobra Nasza!” jest zaprawiona w bojach. - Kochana, zobacz, jak oni niewyraźnie piszą na tych

biletach, powiedz sama, czy widzisz tu numer miejsca?

Prawda jest taka, że Ania nie zna języka i nie umie znaleźć właściwej rubryczki, ale w życiu by się do tego nie przyznała.

Przez całą podróż kontynuujemy taktykę „na znużonego bywalca”, a tematem rozmów są wyłącznie nasze niezliczone zagraniczne doświadczenia. Oczywiście starannie wyselekcjonowane. Ola z „Rity” nie mówi na przykład: „Poleciałam czarterem *last minute* na Costa Brava”, tylko:

- Kiedy ostatni raz byłam w Hiszpanii...

Że ten ostatni raz był dotąd jedynym, przemilcza. Zresztą wszystkie tak właśnie robimy: przemilczamy. Przede wszystkim to, że z urokami Egiptu, Grecji i Turcji większość z nas kojarzy jedynie zadziwiająco podobne do siebie okolice hotelowych basenów. Teraz te wojaże są niewyczerpanym źródłem fachowej wiedzy o kulturze, zwyczajach i gastronomii każdego kraju.

- W Turcji kebab jest na każdym rogu - taką uwagę mogę śmiało zaryzykować.

- Egipt to kraj zacofany - odparowuje Ola z „Rity” i szybko przechodzi do następnego tematu, żeby nikt nie zażądał wyjaśnień.

- W Grecji czuję się bezpieczniej niż w Polsce - punkt dla Ani z „Dobra Nasza!”; subiektywna ocena, trudno polemizować.

Tematyka gastronomiczna jest zdecydowanie najbezpieczniejsza, najlepiej wdać się w szczegóły.

- W restauracji w Atenach podali mi jogurt tak kwaśny, że ja bym się na ich miejscu spaliła ze wstydu - szpanuje Jola z „Memoir”.

- Mnie taki jogurt dali na śniadanie w Mediolanie.

- Punkt dla mnie, Ateny to nie to samo co Mediolan.

Jakbym chciała naprawdę błysnąć, mogłam powołać się na Paryż,

ewentualnie odparować: „Najlepsze jogurty są w Oslo”.

Jest ogromna szansa, że nikt tam nie był, no bo na logikę biorąc, jest to ostatnie miejsce, gdzie chciałoby się spędzać urlop - cholernie zimno. Prawdopodobnie.

Istnieje słowo wytrych, dzięki któremu najbardziej gnuśny i nieobyty typ w mgnieniu oka zamienia się w kosmopolitę, tym słowem jest: „zawsze”. Jak je odpowiednio często wtrącać w rozmowie, wychodzimy na bywalca. Na przykład:

- Zawsze (1) w Brukseli w takiej małej knajpce przy rynku, zawsze (2) jadłam mule zawsze (3) z frytkami i zawsze (4) były pyszne!

A teraz proszę wyrzucić wszystkie „zawsze” i przeczytać jeszcze raz - prawda, że różnica kolosalna? Tam mieliśmy zwyczaje i rytuały, a tu, powiedzmy, incydent.

Słowa mają magiczną moc. Bądźmy szczerzy: nie trzeba zaraz tłuc się nie wiadomo po co na koniec świata, żeby sprawdzić na własne oczy. Jak wygląda Bruksela, każdy wie z telewizji - miasto jak każde inne: ludzie, gołębie, samochody, korki na ulicach, śpieszący przechodnie, romantyczne pary w parkach na ławkach - nuda, nic ciekawego. Że jest tam jakieś stare miasto, to też wydaje się oczywiste. Małże z frytkami, zdaje się, są w tamtym rejonie dość popularne. Pewnie serwują je też w jakiejś małej knajpce, bo w końcu chyba nie wszystkie są duże?

*

Po przylocie do Nicei przez pierwszy dzień zwiedzamy miasto z przewodnikiem. Poruszamy się zbite w ciasne stadko jak owieczki w obliczu niebezpieczeństwa. Na powitalnej kolacji siadamy przy stole tak, żeby być jak najdalej od PR-a, zwłaszcza że towarzyszy mu „zagraniczny” przedstawiciel firmy, która zorganizowała konferencję.

Dziewczynom włącza się czerwona lampka: ten zagranicznik będzie próbował zagadywać przyjaźnie, lepiej trzymać go na dystans. Ożywiona dyskusja na babskie tematy powinna go skutecznie zniechęcić. Nie uśmiejemy się do przedstawiciela, nawet nie patrzymy w jego stronę, żeby nie ściągnąć go wzrokiem. Skuteczne jest lekkie skrzywienie ciała tak, żeby widział tylko nasze plecy. W niewymuszony sposób przybieramy taką pozycję, podpierając się łokciem na stole. Może się zdarzyć, że zagranicznik, niezrażony (wiadomo, inna kultura), popuka którąś z dziewczyn palcem w plecy. Szczyt chamstwa, to prawda, ale niestety tak się czasem zdarza. Wtedy nie można panikować tylko ze stoickim spokojem odwrócić się, ale tylko na sekundę i kiedy usłyszymy: - *Excuse me...* - szybko zapewnić: - Nic nie szkodzi (po polsku oczywiście) - i wracamy do rozmowy z koleżankami. Drugi raz nie spróbuje na pewno.

*

Następnego dnia za granicą czujemy się już jak ryba w wodzie. PR-owiec biega jak pies pasterski, próbując zapędzić owce do stada. Nic z tego, bo w dziennikarkach odzywa się natura łowcy... wyprzedzaży.

Na autokarową wycieczkę do Monako jedzie tylko połowa wycieczki. Reszta w podgrupach udaje się na zwiedzanie domów towarowych. Nazajutrz rano zaplanowano wycieczkę łodzią z przeszklonym dnem po wodach zatoki - będzie jatka...

- Ledwo uprosiłam kapitana statku, żeby zgodził się zarezerwować kurs dla piętnastu osób, a już mi pięć za powiedziało, że nie popłyną - jęczy PR-owiec przed recepcją.

Przerywa, bo podchodzą dwie dziennikarki.

- Pani Beato, słyszałyśmy, że szykuje pani dla nas jakieś atrakcje na jutro... - mówi Ola z „Rity”.

- Tak, tak, będzie wspaniale - obiecuje PR.
- Hmmmm, bo my właśnie w tej sprawie... my mamy chorobę morską i nie możemy popłynąć. Ale niech się pani nie martwi, jakoś sobie same zorganizujemy ten czas, pooglądamy trochę... butów.

Pani Beata chyba zemdleje, tylko profesjonalizm zawodowy powstrzymuje ją przed wybuchem hysterii.

*

Pora wracać do kraju. Dziennikarki schodzą się leniwie do autokaru. Z niektórymi nie widziałyśmy się od dwóch dni albo tylko przelotnie na śniadaniu. Zwiedzały bardzo intensywnie i teraz od stóp do głów przebrane są w nowe ciuchy. Odrywają sobie nawzajem metki z podeszew i demonstrują koleżankom najmodniejsze torebki.

- Wspaniały wyjazd, pani Beato - chwałą PR-owca, który w przeciwieństwie do nich wygląda, jakby nie spał dwie noce. - Wszystko było świetnie zorganizowane, proszę o nas nie zapomnieć następnym razem, też z przyjemnością pojedziemy, może tym razem Nowy Jork? Tam teraz tak się opłaca kupować...

Otwórzmy serca i szafy!

Dziś jest wielki dzień w redakcji: Dzień Rozdawnictwa. Raz na jakiś czas, nie za często, powiedzmy raz na trzy miesiące, i tylko pod wyraźną presją zespołu, królowe piękności zamieniają się w królowe ludzkich serc. Organizują wtedy w redakcji aukcję kosmetyków, z której dochód przekazują na jakiś szczytny charytatywny cel. Aukcji nie da się przeprowadzać zbyt często, bo przygotowania są żmudne. Przede wszystkim trzeba zrobić preselekcję, czyli odsiać ziarno od plew - ziarno wraca na półkę w szafie, a plewy lądują w aukcyjnym koszyczku.

- Dziewczyny, czy jesteście pewne, że ja mogę używać tego kremu? Tutaj jest napisane, że dwa miesiące temu stracił ważność... - Graficzka Kasia nie jest zachwycona wygraną.

- Ale oczywiście, kochana, że możesz, nic ci się nie stanie, oni zawsze z zapasem te daty drukują.

- O, a ten to jest nawet przestarzały o rok... - Kasia, jak to grafik, ma oko do szczegółów.

- Dobry krem jest jak wino, a my mamy tylko najlepsze, używaj śmiało!

Jak wygląda aukcja, każdy wie: „Kto da więcej?”, „...po raz pierwszy, drugi, trzeci - sprzedane!”. Oczywiście istnieją rozmaite niepisane prawa i okoliczności, którymi rządzi się aukcja kosmetyczna. Nikt nie będzie się przecież starał przelicytować własnej

naczelnej. Kiedy naczelna wyraża chęć „kupienia” czegokolwiek, to w tym momencie towar można uznać za sprzedany. Inna sprawa, że to są rozważania czysto teoretyczne, bo kosmetyki, na które naczelna mogłaby mieć ochotę, nie biorą udziału w grze. Zaopatrzenie ścisłego kierownictwa w dobra luksusowe odbywa się w drugim obiegu, czyli w zupełnie innym czasie i miejscu. Podczas aukcji każdy ma równe prawa do zakupu, ale kiedy pani Malina podnosi rękę, dając znak, że jest zainteresowana, dajmy na to, lakierem do włosów, nikt nie próbuje jej przebić i lakier łąduje w jej rękach. Nie chodzi przecież o ceny, bo ceny są symboliczne, tak jak symboliczny jest charakter całego wydarzenia. Nie liczy się wysokość ofiarowanego datku, tylko serce, dlatego datki przeważnie są naprawdę niewielkie.

Po wyprzedaniu co do sztuki wypełnionego po brzegi koszyka uzyskujemy sumę odpowiadającą mniej więcej wartości kilku obiadów w bufecie. Dla dzieciaków z domu dziecka to i tak góra pieniędzy, bo one pewnie nie potrzebują do przetrwania sałaty solonej anchois. Zebraną kwotę przekazem pocztowym wysyłamy wprost do potrzebujących, i to jest jeden z tych momentów, kiedy czuję się dumna, że pracuję w „Cudzie na Twarz”.

*

Kiedy aukcja tak jak dzisiejsza ma charakter poświętecznego kiermaszu, koszyczek wypełniają tak zwane kofrety, czyli zestawy kosmetyków przygotowane przez firmy z myślą o prezentach. Kofrety są potwornie uciążliwe - duże toto, nie ma tego jak upchnąć w szafach, trzeba się jak najszybciej pozbyć. Zwłaszcza że skomponowane są dość przypadkowo: dwa szampony do włosów suchych, odżywka na wypadające plus szczotka do loków. Rzadko kto spełnia naraz trzy takie warunki. Ale na kiermaszu wszystko idzie jak woda.

- Fantastyczny zestaw trzech kremów do depilacji okolic bikini...

- Biorę! - krzyczy Andrzej, dyrektor artystyczny.

- Morskie kuleczki do kąpielii...

- To dla mnie! - Hania.

- Ale jak rozdawałyśmy żele pod prysznic, mówiłaś, że nie masz wanny...

- W misce sobie rozpuszczę, do nóg.

- Domowy zestaw do trwałej ondulacji...

- Biorę! - krzyczy Andrzej.

- Torba z jabłkami i tonikiem ogórkowym, to będzie dobre dla Moniki stylistki - mówi prowadząca aukcję Ala. - Ona jest taka proekologiczna...

- Ale...

- Jabłka sobie wyrzucisz, tonik, jak chcesz, to też, i będziesz miała torebkę dla jakiegoś znajomego dziecka. No co? Nie masz w rodzinie jakiejś małej dziewczynki? Na komunię jej dasz... Kochana, nie ma się co zastanawiać, bo zaraz nie będzie.

- Okej, wezmę.

- Krem do biustu push-up...

- A działa?

- Naprawdę działa!

- To biorę! - krzyczy Andrzej.

- A teraz, Andrzej, coś naprawdę dla ciebie: krem zmiękczający zarost przed goleniem... cholernie skuteczny!

- Biorę! - wrzeszczy Ania, наша redakcyjna specjalistka od seksu. Dziewczyny patrzą na nią badawczo - czyżby w jej życiu zaszły jakieś zmiany? Ania wzrusza ramionami. - No co, do nóg będę używała.

*

Po kiermaszu, kiedy opadną emocje, wszyscy oglądają swoje trofea. Miny niezbyt wyraźne.

- Teraz tak patrzę i myślę, po co mi taka czerwona kredka do

oczu... Wzięłam też kurację ratunkową na głębokie zmarszczki, a ja właściwie nie mam zmarszczek, hmm... mamie dam, tylko żeby się nie obraziła... - Ania ma takie dobre serce.

- Ja się zastanawiam, po co mi sztuczne rzęsy – jęczy Andrzej.

Ale ogólnie to był dobry kiermasz, wszyscy wychodzą z redakcji z okazałymi torbami. W domu obejrzą to wszystko jeszcze raz, poleje się niejedna łza, ale też niejedna mama, ciocia, koleżanka, a może i kolega podskoczą z radości, hojnie obdarowani.

*

- Jezu, jakie rzęsy, boskie! Zaraz sobie przyczepię. A do tej śliwkowej szminki to mam idealny pierścionek, zaraz ci pokażę, czekaj! - Magda biega podekscytowana po domu i ogląda wszystko to, co jej przyniosłam w prezencie. Ciekawe, gdzie się podziała ta krytycznie nastawiona do pism kobiecych poważna finansistka. Zachowuje się jak dziecko, któremu rodzice kupili wielkiego czerwonego lizaka. Nic powagi. Wysmarowała się nową pomadką, zarzuciła jakąś purpurową kieckę i grzebie zapamiętałe w szufladzie z biżuterią.

- O, jest! Patrz.

- Rzeczywiście ślicznie.

Bardzo lubię robić niespodzianki. Chyba nie ma drugiej takiej pracy na świecie, która daje równie duże możliwości w tym zakresie.

Gorąca czarna lista

- Przeglądam co miesiąc to twoje pismo - kochana mama jest moją gorącą czytelniczką - i nie mogę wyjść z podziwu, skąd czerpiesz pomysły? Nie masz czasem wrażenia, że wszystko już było?

Dobre pytanie. Oczywiście, że mam, wszystkie w redakcji mamy, w dodatku nie mamy pewności, że idziemy w dobrym kierunku.

W dawnych czasach, kiedy jeszcze nie było Internetu, ludzie smarowali listy do redakcji. Opisywali, co im leży na sercu, co się nie podoba, co trzeba zmienić. Dzięki temu Szanowna Redakcja mogła reagować na zmianę nastrojów, trzymać rękę na pulsie czytelnika, podejmować tematy ważne i aktualne. Dzisiaj listy do redakcji piszą tylko niewyżyte stare panny oraz inni nieszkodliwi wariaci, głównie wtedy, gdy chodzi o udział w jakimś konkursie albo kiedy liczą na opublikowanie własnych wypocin. Nie ma z tego większego pożytku. Prawdziwe nastroje można zbadać w Internecie. Na liście dyskusyjnej kobiety takie jak my w prostych żołnierskich słowach wyrażają to, co dziennikarka urodowa teoretycznie mogłaby przekuć na tak zwany gorący temat numeru. Ale nie przekuje, bo wiadomo, jak by na to zareagowała szefowa działu reklamy. Ala, Hania, Ela i ja też czytamy listy dyskusyjne, żeby wiedzieć co w trawie piszczy, co jest na topie albo na dnie w świecie, który wykracza poza budynek wydawnictwa. W końcu gdzieś tam w sieci

są kobiety, które tak jak my używają kosmetyków, mają na ten temat poukładaną wiedzę i, co ważne, wyrażają swoje opinie w sposób bezkompromisowy.

*

Wieczorem po rozmowie z Pawłem włączam komputer i wchodzi na listę dyskusyjną o urodzie. Nie mam nic do napisania na jutro, zobaczę, o czym mówią internautki. Od razu przyciąga mnie wątek: „Czarna lista kosmetyków”. Ciekawe, co tam piszą, popatrzmy....

13.03 założyciel wątku: Bułeczka

Kochane, kochane, nie wiem, czy takiego wątku już nie było, ale nie mam czasu na szukanie. Chciałam tylko, abyśmy przestrzegały się przed bublami. Ja właśnie jestem wściekła, bo kupiłam lakier do paznokci Korala za masę pieniędzy, a tu się okazuje, że już na drugi dzień się ściera i odpryskuje: - (

13.12 Gość: brrrrr

Dopisuję do tej listy żel do mycia skóry suchej Stay With Me też Korala - niby niedrogi, ale czegoś wymagam od kosmetyków każdej klasy, sorry, to w ogóle myje?!

13.15 Gość: Viola

Szampon Flex - po umyciu włosy są jak strąki, niesamowicie tłuste...

13.18 Gość: Kotka na dachu

Koral żel do mycia twarzy - mam skórę tłustą, ale to świństwo tak wysuszyło mi skórę i tak podrażniło, w dodatku po jednym użyciu, że szerokim łukiem wyfrunęło za okno (dosłownie). Odżywka wzmacniająca Get Song Lilly Plus strasznie rozmiękcza paznokcie, normalnie zginają się jak kartka... zresztą lakiery tej firmy też są do kitu, odpryskują po jednej godzinie.

- Ładnie, ładnie - myślę. Szampon Flex, Get Song Lilly Plus, Stay With Me Korala, a my to wszystko reklamujemy jako hity w

gazecie. Te lakiery dałam Magdzie, nie wiedziałam, że to taki bubel, trzeba będzie przyłożyć się bardziej do testowania.

13.24 Gość: Pamela przez duże D

Mnie zawiodły żele do mycia ciała Irysa, są tak rozwodnione, że pół buteleczki idzie na jedno mycie. Wypróbowałam wiele z ich oferty i wszystkie są niestety kiepskie.

13.30 Gość: Sroka

To samo tyczy się żelu do mycia twarzy - jest strasznie rozwodniony, poza tym ściąga skórę, przesusza ją. Moim zdaniem słabo, ale jednak myje...

13.32 Gość: Karina Boska

Dla mnie pechowy był szampon aloesowy firmy Atom. Nigdy wcześniej nie miałam kłopotu z łupieżem, po użyciu tego kosmetyku - niestety - dostałam. Ale za to świetnie się nadaje do prania rzeczy z jedwabiu i welenki, polecam.

Robię sobie w komputerze notatkę: „szampon aloesowy firmy Atom dobry do welenki” - warto wiedzieć.

13.41 Gość: Buziaczek

Tonik do twarzy Rival Gross - najgorszy tonik, jaki miałam, jakoś dziwnie się pieni, skóra lepka po jego użyciu. W ogóle nie czuję odświeżenia, a tego wymagam od toniku. Ale cóż, zużyję go, kosztował mnie siedem złotych.

14.12 Gość: Buziaczek

Zapomniałam dodać, że ten tonik jest z serii z imbirem i trawką cytrynową.

14.58 Gość: Piękna

Ja mam dwa lakiery Nell i nie znam lepszych - trzymają się trzy tygodnie, zmywam je dopiero, jak mi paznokcie odrośnie.

Notatka: „lakiery Nell warto kupić”.

16.10 Gość: Sroka

Hej, Piękna, lepiej powiedz od razu, że pracujesz w Nell, zamiast takie bzdury opowiadać.

16.15 Gość: Buziaczek

Właśnie! Uważaj, bo tu piszą inteligentne dziewczyny, a twój post na kilometr śmierdzi ukrytym PR-em.

17.22 Gość: Karina Boska

Trzy tygodnie mówisz, ciekawe. Wczoraj nałożyłam trzecią warstwę i już widzę odpryski i „przetarcia”. I to na pewno nie jest pordóbka z Allegro, bo tym razem kupiłam w drogerii.

17.28 Założyciel: Bułeczka

A widzisz, a widzisz! Właśnie dlatego, że też jestem taka zła, założyłam ten wątek.

18.17 Gość: Karina

Może ten lakier był stary i dlatego tak szybko odpryskuje? Moja koleżanka pracuje w perfumerii i twierdzi, że niestety drogie kosmetyki często zalegają za długo na półkach, a potem jak po latach ktoś je kupi, to odpryskują lub uczulają, bo są po prostu przeterminowane.

18.36 Gość: Pamela prze duże D

Głupio to zabrzmiało, ale mam taką nadzieję, bo z moich doświadczeń Nell ma naprawdę rewelacyjne kosmetyki.

20.02 Gość: Dziunia

Niekoniecznie ten lakier musiał być stary czy przeterminowany. Niestety, to raczej efekt złego przechowywania kosmetyków w sklepie, stoją zazwyczaj na podświetlanych szklanych półkach. To na pewno nie jest dobre dla kosmetyków - wygląda tylko zachęcająco dla klientek. Dlatego staram się większość moich „malowideł” trzymać w lodówce (mój facet już się z tym pogodził) lub suchym, ciemnym i chłodnym miejscu, czyli w szafce w sypialni (staram się

spać w niskich temperaturach, nie więcej niż około siedemnastu stopni).

Kolejna notatka: „kosmetyki w drogeriach stoją na podświetlanych półkach, co nie jest dla nich dobre” - ciekawostka do wykorzystania w tekście. I jeszcze jedna: „Nell robi sobie PR w internecie” - powiedziec dziewczynom w redakcji.

23.46 Gość: Czarna Mańka

Zauważyłam, że lakiery firmy Koral, z tej samej linii, ale różne kolory, różnią się między sobą.

Notatka: „lakiery Korala nie trzymają się palety” - uważać przy opisywaniu, starać się ogólnie. Widzę, że internautki się rozkręciły, mimo późnej pory co chwila ktoś dopisuje do listy nową rewelację.

00.01 Gość: Kiziunia

Dolącam do listy krem bodajże matująco-kolorujący z DD (fatalny, przesusza skórę), przewędrował pięć par rąk (siostra, mama, ja, koleżanka i jej mama), zanim wszystkie stwierdziłyśmy, że jest naprawdę beznadziejny, i wylądował w koszu.

00.19 Gość: spaćsieniechce

Peeling ogórkowy Meteor - jakieś ślizgające się kulki pod palcami. OBRZYDLIWOŚĆ!

00.42 Gość: Mamuśka

Krem Masło Kakaowe Meteor do twarzy, co za beznadzieja. Jak posmarowałam na noc, to jeszcze rano czułam warstwę na skórze, koszmar. Dobrze, że tanie było.

00.57 Gość: Huanita

Krem Na Dobranoc Atomu (taki w pomarańczowym opakowaniu). Tak mnie swędziało, że nie mogłam spać.

01.05 Gość: Zażenowana

Żel do mycia cery naczynkowej, biała butelka z czerwonym korkiem, narysowane szkło powiększające, a pod nim ohydny żyłak. No to tak: śmierdzi, wysusza, naczynka są, jak były. Balsam Biolinia z drobkami, całe ciuchy brudne, jak ktoś chce, oddam za darmo (piszcie na priva). Żele pod oczy Clichy krzywdy nie robią, ale efektu zero. Baza pod makijaż Koralek tak samo - zero efektu. Seria Silk do włosów cienkich firmy Mela, wszystko mi oklapło, zamiast objętości jedna wielka tłusta masa. Odżywki Maja bez spłukiwania - jak wyżej, zwłaszcza rzepa, pszenica i witaminowa. Lakiery do paznokci Konstanty Troll Diamond Gloss - odpryskują jeszcze tego samego dnia. Żel pod oczy Lekarski z Babką Lancetowatą - nie widzę działania poza zlepionymi rzęsami. Jakiś dziwny błyszczak firmy Vinci - śmierdział denaturatem czy też autoxidolem, a może ludwikiem? Żenada.

01.16 Gość: Ania27

Pianka do mycia twarzy Koralek: (straszliwie wysusza mi skórę: (czy ktoś wie, jak ją inaczej użytkować?? pranie?? mycie podłóg??

01.33 Gość: Pomysłowa Mira

Gość: Ania27 napisał/a:

> Pianka do mycia twarzy, Koralek: (straszliwie

> wysusza mi skórę: (

> czy ktoś wie, jak ją inaczej użytkować?? pranie??

> mycie podłóg??

: -)))) Może jako aktywna pianka do czyszczenia dywanów?

Notatka: „pianki można używać do czyszczenia dywanów - powiedzieć mamie”.

07.57 Gość: Ewunia

Łagodny płyn do demakijażu oczu i ust Meteor - faktycznie strasznie łagodny, tak łagodny, że na przykład nie może sobie poradzić ze

zwykłym tuszem, jest gorszy niż normalne mleczko do demakijażu, co tam mleczko, jogurtem byłoby łatwiej zmyć makijaż.

08.12 Gość: sprawdziłam

Tonik i fluid nawilżający do cery tłustej Clichy. Oba kosmetyki rewelacyjne, ale tylko na początku. Po jakimś czasie masakrycznie wysuszają skórę. Główny składnik obu produktów - alkohol. Kremy Atomu do twarzy - taka seria z bordową nakrętką, strasznie śmierdzą i uczulają.

08.31 Gość: Fajna

A ja chciałam powiedzieć, że krem Szczęśliwa Chwila Meteor śmierdzi jak skwaszony kompot albo zgniła brzoskwinia. A po kremie Gala Ultraświeżość narzeczony nie chce mnie całować nawet w rękę.

08.56 Gość: Jessica

O tak, krem Gala Ultraświeżość - kosmetyk o konsystencji i skuteczności smalcu.

11.47 Gość: Pamela przez duże D

Taka uwaga: wszystkie balsamy Atomu w ogóle nie nawilżają, „specjalne” kremy Clichy na nic nie pomagają, krem do rąk Korala wysusza, a lakiery do paznokci tej firmy szybko robią się mętne. Jak ktoś zna jakiś dobry kosmetyk, to niech mnie oświeci, bo ja jeszcze na nic takiego nie trafiłam.

Ostatnia notatka to: „wstrząsać buteleczkami lakierów Korala przed zrobieniem zdjęcia”. Ież to można się dowiedzieć z internetu. Nieocenione, naprawdę nieocenione źródło rzetelnej informacji.

Pomyśl o swoim mężczyźnie

Wybrałam samotność w świecie mediów zamiast rodzinnego stadła, więc chyba nie jestem najodpowiedniejszą osobą do opisywania męsko-damskich relacji, nawet jeśli chodzi tylko o kosmetyki. Jednak nawet w pismach kobiecych nie da się tego uniknąć. Na przykład problem męskiej pielęgnacji. Dla potrzeb dobrego tekstu najlepiej byłoby wykazać, że skóra mężczyzny różni się od kobiecej. Niestety, żaden dermatolog nie chce tego przyznać. My, dziennikarki, ale przede wszystkim kobiety, musimy więc polegać na własnych obserwacjach. Wynika z nich, że mężczyźni są jakby bardziej szorstcy w dotyku, drapią. Czoła mają jakby wyższe, przeważnie błyszczące. O pazury dbają tylko o tyle, że skracają. Różnic jest kilka. Wniosek: potrzebują zupełnie innych kosmetyków niż kobiety.

Dlatego istnieją specjalne linie dla mężczyzn. Linia to coś znacznie więcej niż mydło plus szczotka do zębów, plus krem do golenia, a w wersji luksusowej: plus woda po goleniu. Teraz mężczyźni używają również kremów pod oczy i do twarzy, na noc, na dzień i na plażę (osobnych!). Szminek używają - OK, nie szminek, tylko pomadek ochronnych, ale kilka firm z najwyższej półki wypuściło nawet całe linie kosmetyków do makijażu... Puder do noska i brązujący, pomadki i rozmaite czernidła. Sprzedaż tych cudeniek, niestety, pozostaje na poziomie marginalnym, ale prestiż dla firmy jest i tak ogromny, bo świat zmierza właśnie w tym kierunku. Mamy czasy mężczyzn metroseksualnych, co oznacza, że panowie w

rozczłapanych sandałach, z których wyzierają zaniedbane paluchy, szybują teraz na śmietnik. A wszystko to skutek kopniaka wymierzzonego wypielegnowaną stopą bożyszczą kobiet - Davida Beckhama.

To on pokazał facetom, co można zrobić z włosami i gdzie się nosi kolczyk, jak się jest prawdziwym facetem. Takiego przykładu potrzebowali. Swego czasu Zbigniew Boniek miał podobną szansę, ale jej nie wykorzystał, szkoda.

*

Pierwszy duży tekst, jaki mam napisać po przyjeździe z Nicei, jest właśnie o męskiej pielęgnacji. Konkretnie to piszę w nim o tym, że dzisiejszy mężczyzna nie powinien pachnieć końskim potem i cygarem, ale czymś zdecydowanie bardziej subtelnym, na przykład wydzieliną z gruczołu ocelota. Ale nie każdy jednakowo. Biznesmenowi pasuje najbardziej aromat sosnowych igieł (tęsknota za czasami, kiedy mężczyźni najlepsze interesy robili na handlu drewnem). Typ sportowy będzie wolał zapach sandałowca (nie mylić z sandałami). Romantyk wybierze aromat cytryn i ziół (popularny w innym wydaniu pod nazwą Caipirinia). Podobno zapachy męskich perfum komponowane są w taki sposób, żeby podobały się kobietom, i odwrotnie. Dlatego nie bardzo się przejęłam, kiedy Paweł przysłał mi z Londynu na imieniny butelkę dziwnej wody toaletowej, przynajmniej wiem, że sam wybierał. A że akurat ta spodobała mu się najbardziej? Była męska, poza tym opakowanie miało efektowny zatrzask.

Przeciętny mężczyzna zmuszony do wybierania ulubionego zapachu zachowuje się jak gadżeciarz. Z kilku podsuniętych pod nos flakoników wybierze ten, który ma kształt granatu. Producenci doskonale wiedzą, że w kosmetykach dla panów najważniejsze jest

opakowanie: proste, męskie, w spokojnych kolorach. Dobrze, jeśli przy okazji nawiązuje formą do tak zwanych zabawek dużych chłopców. Butelka albo słoiczek przypominający zapalniczkę marki Zippo, rewolwer, gwiazdę szeryfa, sportowy samochód, motor, konsolę PlayStation, scyzoryk - to się liczy bardziej niż zawartość. Do środka można nałożyć zwykłego kobiecego kremu i facet się nawet nie zorientuje. Ale my tak. Kosmetyki dla mężczyzn wcale nie są uboższe wewnętrznie niż te dla kobiet. Zawierają specjalne receptury opracowane pod kątem męskich potrzeb. Zdobywcze kosmologii, dobroczynne molekuły, esencje roślinne, a dopiero gdzieś na końcu olej i woda - o tym właśnie piszę.

Mężczyzna idealny, czyli ten z mojego tekstu, regularnie chodzi do kosmetyczki, na tak zwane czyszczenie (pominę szczegóły), nie podbiera kosmetyków z półki swojej kobiecie (widział kto kiedy taki przypadek?), posiada własną solidnie wyposażoną szafkę w łazience. Raz na dwa tygodnie robi staranny manikiur i maluje paznokcie różową odżywką. Po przyjściu z pracy natychmiast biegnie w stronę łódówki, ale wcale nie po piwo, tylko po specjalne żelowe okulary, czyli odprężającą maseczkę. Co z nią dalej robi, możemy się tylko domyślać, bo do pełnego odprężenia mężczyzna potrzebuje samotności.

*

Najlepszym prezentem, jaki kobieta może sprawić swojemu partnerowi, jest zestaw do golenia w starodawnym stylu: pędzel z ogona bobra, zwykle mydło i miseczka. Taki oldschoolowy set jest teraz bardzo na topie. Skoro w maszynkach rodem z telewizyjnej reklamy zabrakło już miejsca na kolejne laserowe ostrza, do łask wróciły stare dobre brzytwy, pędzle i szare mydło w miseczce. Oczywiście do kobiecych łask, bo mężczyźni golą się czym im tam

wygodniej. Ogon bobra doskonale pasuje do betonowych ścian i teakowej podłogi, czyli do łazienki w stylu nowoczesnym, lekko orientalnym, minimalistycznym. Fotografie takiej łazienki łatwo znaleźć w jakiegokolwiek gazecie wnętrzarskiej. To ważne, bo warto takie zdjęcie pokazać partnerowi na krótko przed wręczeniem prezentu. W przeciwnym razie może nie zrozumieć przesłania i dopytywać się głupio, co ten ogon bobra ma znaczyć, nie mówiąc o miseczce.

*

Jak uzasadnić facetowi potrzebę regularnego wcierania balsamu?

- To proste - wyjaśnia mi Ala. - W tekstach urodowych piszemy wówczas o „zaproszeniu do wspólnej zabawy”. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi oczywiście o seks. Seks jest dla mężczyzny wartością nadrzędną i jeśli cokolwiek może poprawić jego jakość, przy stanie z ochotą.

Tak właśnie robię - pod kosmetycznym płaszczykiem mówię o seksie.

Wspólna kąpiel i masaż będzie dla niego niezapomnianym przeżyciem - obiecuję. Zaproponuj, żeby delikatnie wysmarował cię balsamem, potem odwdzięcz mu się tym samym - wpajam nawyki pielęgnacyjne. Nowości wprowadzam delikatnie i z wyczuciem: Jeśli będzie się opierał, nie chcąc sobie wcierać peelingu, zrób to sama, a potem pokaż mu, jak ci się podoba jego nowe delikatne oblicze. Krok po kroku mężczyzna zgłębi wiedzę tajemną i nabierze biegłości. Na początku może się jeszcze trochę krygować, ale jeśli zapewnimy go, że wszyscy nowocześni mężczyźni odprawiają takie czary w łazience, straci wszelkie opory.

Ale poźeglowałam. Ciekawe, co na to wszystko Paweł - wysłałam mu tekst e-mailem i czekam na odpowiedź. Przychodzi szybciej, niż się spodziewałam.

Jeśli o mnie chodzi, to ta wspólna zabawa w łazience brzmi interesująco. Przy najbliższej okazji zrobię ci taki peeling, że zapominasz o całym świecie.

Trafiony, zatopiony, zachęcony, do pielęgnacji, mam nadzieję, też.

Syndrom poduszkowy i inne

Doceniam to, że PR-owcy nie pozwalają mi zgnuśnić, dbają, żebym wraz z darmową porcją nowego kremu otrzymała coś ekstra: inspirację, taką jak syndrom poduszkowy. Spece od wizerunku utrzymują, że zjawisko to można zaobserwować na twarzy po przebudzeniu: na policzku znajdujemy odcisk poduszki. Problem tylko z pozoru wygląda na błahy. Skoro pojawia się odcisk, to znaczy, że skóra nie jest jędrna, czyli wymaga... więcej kosmetyków i tu PR-owiec chętnie służy pomocą. Genialnie proste! Syndrom poduszkowy jako objaw chorobowy kwalifikuje się do natychmiastowego leczenia. Kolejnym przykładem jest zespół dnia drugiego, czyli to, co dzieje się z człowiekiem (w tym wypadku z jego urodą) następnego dnia po imprezie. Wszyscy to znamy. Uroda wtenczas marnieje: podpuchnięte oczy, chwiejny chód, ogólna ociężałość organizmu, krótko mówiąc: kac. Kremy przeciw kacowi działają na dobrze znanych zasadach ogólnych - ochłodzić, nawilżyć, dotlenić, czyli: zimny prysznic, dużo wody, iść na spacer. Niezależnie od wyboru metody niezbędny jest alka prim jako suplementacja leczenia. W przeciwieństwie do pierwszego zespołu z tym drugim ciężko funkcjonować na konferencji, a po wczorajszym wieczorze prasowym połączonym z projekcją filmu o nocnych kremach zauważyłam niepokojące objawy dnia drugiego. Impreza odbywała się w Fabryce Wódek i obecność przedstawiciela naszej redakcji była absolutnie

obowiązkowa, reszta niech będzie milczeniem, ja tylko liczę na to, że właśnie dzisiaj, dzisiaj wyjątkowo poranna konferencja będzie porywająca.

*

Szef zespołu badawczego firmy kosmetycznej Biolinia objaśnia:

- Pięćdziesiąt kobiet podzieliliśmy na dwie grupy. Kobiety z pierwszej grupy przez trzy tygodnie rano i wieczorem smarowały twarz preparatem bez właściwości odżywczych. Druga grupa z tą samą częstotliwością i w tym samym czasie testowała krem z bioenzymem. Potem zebraliśmy opinie. Pięćdziesiąt procent pań, które używały placebo, oceniło, że ich cera wygląda o wiele lepiej - mniejsze zmarszczki się wygładziły, głębsze bruzdy uległy znacznemu spłyceniu, skóra nabrała zdrowego kolorytu, jest wyraźnie lepiej nawilżona i jędrna. Tymczasem w grupie testującej nasz najnowszy preparat z bioenzymem aż siedemdziesiąt procent pań zanotowało poprawę wyglądu! Różnica, jak same panie widzicie, jest kolosalna: aż dwadzieścia procent! Świadczy to o niezwyklej skuteczności nowego kremu, badania jednoznacznie wskazują, że jest bardzo efektywny.

- Zaraz, a dlaczego te kobiety, które używały tego oszukanego kremu, w ogóle odczuły jakąś poprawę? - wrywam się nie wiadomo po co, dzisiaj jest mi naprawdę wszystko jedno. Syndrom dnia drugiego trzyma bezlitośnie.

- To się nazywa efekt placebo i jako temat szeroki i skomplikowany nie może być przedmiotem dzisiejszej konferencji. Skupmy się na skórze - ciągnie niewzruszony PR. - Jak wiadomo, skóra człowieka składa się z kilku warstw. Pod warstwą zewnętrzną kryje się skóra właściwa, w której zagnieżdżone są naczynia krwionośne i limfa-tyczne, gruczoły potowe, łojowe, włókna nerwowe. Jeszcze niżej znajdują się zakończenia nerwowe, cebulki włosów i podskórna tkanka tłuszczowa...

Tak, tak, znam to. Wszystko razem, czyli skóra z tym co w środku, wygląda jak tort, tylko że owłosiony. Serwują go zawsze na początku poważnej konferencji. Taki sprawdzony i uniwersalny przepis na naukowy wykład. Odwrotnie niż to przyjęte w kulinarnych zwyczajach, na konferencji po torcie wjeżdżają rozmaite dania główne: smarowidła, maści i balsamy, koniecznie z misją, misją tworzenia nowego wyglądu. Dla dobra sprawy misja jest w dużej części utajniona. Omawiając ją, PR-owcy używają kryptonimów: kompleks 312, molekula 8,14, cząsteczka Alfa4, biodynamiczny czynnik PAOLA. Działanie tego czynnika/nośnika jest ni mniej, ni więcej tylko... „dobroczynne”. Co to dokładnie oznacza, wiadomo tylko z grubsza. Wnikliwie poznajemy za to tort. Kiedy widzę na tablicy przekrój skóry, zaczynają mi się kleić oczy, podejrzewam, że to pochodna syndromu poduszkowego...

Z konferencyjnego odrętwienia wrywa mnie buczenie telefonu. Magda. Wybawienie w samą porę. Wymykam się na korytarz z przepaszającym uśmiechem.

Przez chwilę w słuchawce jest cisza, dopiero potem słyszę zduszony głos.

- Asia? To ja... chlip. Możesz teraz rozmawiać?... chlip

- Oczywiście, mogę, co się stało? - Mimo wszystko Magda jest profesjonalistką, rzadko dzwoni do mnie w godzinach pracy i to jeszcze w takim stanie. Coś złego musiało się stać.

- Jestem w ciąży.

Syndrom dnia drugiego momentalnie traci na znaczeniu.

- Wspaniała wiadomość! Cieszysz się?

- No z jednej strony tak, chlip, ale z drugiej, chlip, nie jestem pewna...

- Jak to nie jesteś pewna? Przecież marzyłaś o tym od dawna.

Powiesz mi wreszcie, kto jest szczęśliwym dawcą?

Teraz już ryczy na całego.

- Chodzi o to, że nie wiem.

Na chwilę odejmuje mi mowę.

- Nie ten kolega z pracy?

- Może on - przyznaje Magda.

- A jak nie on, to kto?

- Olgierd, ten fotograf. Kurczę, ale się porobiło.

- Zawsze możesz zrobić badania - podsuwam, choć nie mam o tym pojęcia. - Poza tym zdaje się, że i tak nie miałaś zamiaru powiedzieć ojcu dziecka, co za różnica któremu.

- Bo widzisz, my z Olgierdem od jakiegoś czasu jesteśmy bardzo blisko. Nie mówiłam ci, ale wygląda na to, że to będzie ktoś na dłużej. W tej sytuacji to już mi nie jest wszystko jedno... chciałabym, żeby to było jego dziecko.

Sytuacja rzeczywiście wygląda na skomplikowaną. Nie rozwiążę tego w czasie jednej przerwy w konferencji.

- Przyjadę do ciebie zaraz po pracy, nie płacz, myśl pozytywnie, będzie dobrze.

*

Bez lampki ulubionego czerwonego wina Magda nie jest skora do zwierzeń, ale i tak wyciągam z niej szczegóły. Spotykają się z Olgierdem mniej więcej od czasu, kiedy nakryłam ich u mnie w domu po powrocie z Islandii. Na początku to był zwykły układ, czyli chodziło tylko o seks, ale od dwóch tygodni znajomość wkroczyła w wyższą fazę rozwoju.

- Najpierw były kwiaty na moje imieniny, a potem co tydzień już bez okazji. Dawno nikt mi nie dawał kwiatów. Jak poznasz Olgierda bliżej, to zobaczysz, że to fantastyczny facet.

W to akurat nie uwierzę nawet po stu latach znajomości. Tak czy inaczej Magda jest w ósmym tygodniu ciąży (wczoraj się dowiedziała) i ojcem może być jeden z dwóch panów: Olgierd albo kolega z pracy. Co zamierza zrobić z tym faktem?

- Nic. Już zdecydowałam, nie będę sprawdzać. Urodzę dziecko i będę je wychowywała. To moja decyzja i nic nikomu do tego.

Decyzja odrobinę zaskakująca, biorąc pod uwagę poranne buczenie, ale i tak się cieszę, że Magda jest znów sobą.

- Masz rację, w dzisiejszych czasach kobiety mają prawo decydować o takich rzeczach.

Jakiś taki dzień

Są takie dni, kiedy od rana nic się nie chce. Po prostu. W takie dni dziewczyny pocieszają się tak, jak umieją najlepiej.

- Jakaś taka dzisiaj jestem... no sama nie wiem... miejsca sobie nie mogę znaleźć - narzeka Ala. - Najpierw myślałam, że to ciśnienie: kawę się napiłam w domu, potem w redakcji jeszcze jedną zrobiłam. I nic, nie pomogło. Czy to pogoda tak na mnie działa, czy spałam źle w nocy... no sama nie wiem. I pytam sama siebie, co mi jest, i nie wiem...

- Ala, co ci jest? - Ela wygląda na zaniepokojoną. - Dziewczyno, może to ciśnienie. Sprawdziłaś? Może ty po prostu w nocy źle spałaś. Czasem tak bywa, wystarczy, że jakiś sen niedobry... Ja tak miałam wczoraj, mówię ci, coś okropnego. Już jak przyszedłam do pracy, to wiedziałam, że jestem jakaś taka... Wszystko mi z rąk leciało, nawet długopis. Myślałam przez chwilę, że to ciśnienie, ale nie, to nie to, było średnie. Szefowa do mnie przyszła i coś tam mówi, a ja nawet nie słuchałam, normalnie tak się wyłączyłam, że mogła mówić, i tak nie słyszałam. Jakaś taka byłam. Koleżanki mnie nawet pytały: „Elka, co ci jest? Może to ciśnienie?”. Ja mówię, że nie, bo sprawdzałam, normalne. I tak się razem zastanawialiśmy cały dzień, co mi jest. I nic nie wymyśliłyśmy, cały dzień, wyobraż

- Wyobrażam sobie, cały dzień... To ja mam chyba to samo,

wiesz? Objawy są identyczne. Łączę z kąta w kąt i szukam odpowiedzi. I nic nie mogę wymyślić, pozbierać się nie mogę zupełnie, nie mi się nie chce, na nic nie mam ochoty. Myślałam, że jak obiad zjem, to mi przejdzie. Zjadłam i dalej się tak czuję jakaś taka... no sama nie wiem... dziwna. Dziwne, prawda?

- Bardzo, bardzo dziwne to, co mówisz. Może ty do domu idź, połóż się, odpocznij. Ile się tak będziesz męczyła, bidulko, po co się szarpać.

- A wiesz, że masz rację, pójdę. - Ala zbiera papiery do torby i wkłada żakiet. - Jak jestem jakaś taka, to nic tu po mnie dzisiaj, może na jogę skoczę.

Po wyjściu Ali Hania i Ela kontynuują redakcyjne pogaduchy.

- Wiecie co, kochane? Ja tej Goni z reklamy to nie lubię, jakaś taka jest...

- A wiesz Hanka, że mam takie same spostrzeżenia? Dziwna, bardzo dziwna dziewczyna. Nie da się z nią pogadać zupełnie.

- No właśnie, dobrze to ujęłaś! Ona jest kompletnie nieżyciowa. Jadę z nią na przykład dzisiaj windą, no i normalnie, tak jak my sobie teraz rozmawiamy, pytam ją, co u niej słyhać. A ona wiecie, co mi odpowiedziała? „W porządku”. Wyobrażacie sobie? Ja jestem dla niej miła, a ona mi taki tekst...

- No tak, to w jej stylu. Ja też kilka razy dla niej chciałam być miła i to samo mi powiedziała: „Okej, w porządku”, a raz mi nawet powiedziała, że lubi nasze wydawnictwo. No to co ja jej mam na to odpowiedzieć? Po czymś takim, to można najwyżej: „Aha”, i jędziemy na górę w milczeniu. Ona jest jak z innego świata...

- Tak, masz rację, ona jest jakaś taka... kompletnie niekobieca.

- Grażynę z reklamy za to lubię, fajna babeczka, życiowa

bardzo. Plecie czasem trzy po trzy, ale miło się jej słucha. Byliśmy dzisiaj razem na obiedzie...

- A! Grażynka, ja też ją bardzo lubię, ale dawno jej nie widziałam, jakoś się mijamy. Powiedz, co tam u niej słyhać.

- Czekaj, czekaj, co u niej słyhać... jakoś mi z głowy wyleciało... coś mówiła... Dwie godziny rozmawialiśmy, więc mi dużo opowiadała, nagadałyśmy się za wszystkie czasy. Ale co tam konkretnie, to nie pamiętam, chyba dobrze. Chociaż nie, mówiła, że dzisiaj jest jakaś taka... no wiesz.

Po obgadaniu działów reklamy, marketingu i dystrybucji do wyjścia jeszcze ze trzy godziny, a dzień jakiś taki...

- Jak ci się, Asiu, podoba praca w naszej redakcji, fajnie jest?

- No pewnie! Chodzę sobie na konferencje, dostaję masę kosmetyków do testowania, kto by się nie cieszył - zapewniam.

- A pisanie nie masz za dużo, nadążasz?

- Oczywiście, ja lubię, jak mam dużo pracy, to lepsze, niż siedzieć beczynnie.

Dziewczyny ziewają dyskretnie.

- A nie masz problemów ze skupieniem się, tutaj tak głośno?

- Zakładam sobie słuchawki i słucham muzyki, świetny sposób na relaks, polecam.

Teraz to już ziewają na całego.

- Ale - dodaję szybko, bo już wiem, o co chodzi - dzisiaj jakaś taka jestem...

Ożywiają się momentalnie.

- O rany, ty też tak się czujesz, naprawdę? A co dokładnie czujesz?

Jeszcze nie wiem, ale się dowiem, warto.

*

Na biurku przede mną stoi najnowszy hit rynkowy firmy Gandi: Krem Superskuteczny na Dzień. W materiałach prasowych, czyli złożonej na cztery kartce formatu A4, jedno jedyne zdanie: „Zapobiega szkodliwym skutkom związanym z nadmierną insolacją”. Tylko tyle. Dzwonię do firmy Gandi.

- Chciałam napisać o państwa kremie, ale potrzebuję informacji, jak on działa, pomoże mi pani?

- Z największą przyjemnością już wszystko wyjaśniam...

- Szuranie papierów. - O, mam, czytam i już mówię... - Szuranie. - O, widzę, że to jest bardzo ciekawe, ten krem zapobiega skutkom związanym z nadmierną insolacją, szkodliwym skutkom.

- Aha, a coś jeszcze się znajdzie?

- Niestety, tu mam tylko taką informację. - Wzmoczone szuranie.

- A to może mi pani powiedzieć, co to jest insolacją?

- Zaraz, chwileczkę... - Szuranie przechodzi w łoskot przewracających się mebli. Po dłuższej chwili słyszę:

- Niestety, nie ma dzisiaj szefowej.

- I tylko szefowa wie, co to jest?

- Zaraz, ja nie mówię, że wie. Ja tylko mówię, że szefowej nie ma, niech pani zadzwoni jutro... albo nie... niech pani czeka na telefon. Szefowa do pani zadzwoni.

Nie dzwoni przez dwie kolejne godziny. Po tym czasie w firmie Gandi nikt już nie odbiera telefonu. Sprawdzam w internecie: insolacją to nadmierne nasłonecznienie. Dużo się dowiedziałam, ale wciąż za mało, żeby o hicie firmy Gandi napisać rzetelnie i ze znanstwem. Odkładam go na półkę, może za miesiąc coś mi wpadnie do głowy, to puszcze go w nowościach.

*

Za piętnaście piąta, czyli kwadrans przed planowym wyjściem, można już zacząć się ubierać. Każda z nas pakuje swoje zabawki (kremy do rąk, szminki, kredki, czyli to, co normalna kobieta ma zawsze przy sobie w torebce, z tym że do tego jeszcze dochodzą: szampony, odżywki, zestawy do pedikiuru i kosmetyki dla niemowląt). Już prawie stoimy w drzwiach, kiedy przybiega Wandzia.

- Nie wychodzić z redakcji! - wola zdyszana. - Za piętnaście minut przyjdzie do nas prezes i będzie ważne zebranie.

Wandzia nie ma pojęcia, o co chodzi, mówi tylko, że naczelna zamknęła się w łazience i się maluje. Skoro tak, to my też w popłochu nakładamy cienie na powieki i szminkujemy wargi.

W gabinecie pani Maliny przy okrągłym stole zgromadził się cały zespół. Wszyscy świeżo wyszczotkowani i z nową warstwą pomadki na ustach (Andrzej i Kamil też). Prezes zgodnie z zapowiedzią wchodzi punktualnie o piątej. Taksujemy prezesa wzrokiem, bo nieczęsto mamy okazję przyjrzeć mu się z bliska: wyglansowane jak lustro buty, błękitna koszula, marynarka i spodnie w tenis; na tle naszych modnych kreacji wygląda trochę smutno. Prezes jest śmiertelnie poważny, nie reaguje na ćwierkanie pani Maliny, która niby nas ucisza, ale cały czas patrzy prezesowi w oczy i wysyła sygnały typowe dla kotki w rui.

- Proszę państwa, przepraszam, że was dzisiaj zatrzymałem trochę dłużej, ale sprawa jest ważna i uznałem, że macie prawo wiedzieć.

- Panie prezesie, zamieniamy się w słuch. - Naczelna odgarnia włosy z czoła ruchem podpatrzonym na filmach z Kim Basinger.

- Od prawie dwóch lat staramy się wspólnie z państwem i panią Maliną poprawić kondycję naszego pisma. Jak państwo doskonale wiecie, łączna sprzedaż „Cudu na Twarz” kształtuje się na poziomie

sześćdziesięciu tysięcy egzemplarzy i jest to wynik za słaby jak na ogólnopolskie pismo skierowane do tej grupy czytelniczej. Wyniki naszej konkurencji, czyli pism takich jak „Memoir” czy „Czar Kobiecy”, które mają sprzedaż trzykrotnie większą, pokazują, że zapotrzebowanie na pismo z tej półki jest bardzo wysokie. Nasze wydawnictwo ma inwestorów zagranicznych, którzy z uwagą przyglądają się wynikom sprzedaży, a te nie drgnęły od przeszło roku. Sytuacja jest bardzo trudna i zdecydowaliśmy się podjąć radykalne kroki. Tyle mogę na razie powiedzieć. Przykro mi. Obiecuję o wszystkim informować państwa na bieżąco. Dziękuję za uwagę i do widzenia.

Stoimy jak zakłeci i mija dobre pięć minut po wyjściu prezesa, zanim ktokolwiek odważy się odezwać.

- Nie wiem jak wy, ale ja idę się napić. - Andrzej pierwszy nie wytrzymuje napięcia.

Za moment kilkunastoosobową grupą idziemy do pobliskiego pubu. Nikt się nie wyłamał, no, może z wyjątkiem pani Maliny, która pobiegła porozmawiać z prezesem.

Gładka jak okładka

Dla zespołu informacja, że „Cud na Twarz” ma poważne kłopoty, jest jak grom z jasnego nieba. Ja też myślałam, że skoro stać nas na luksusowy papier, wysmakowane zdjęcia zrobione przez najdroższych fotografów, to znaczy, że jesteśmy na krzywej wznoszącej, a tu taka kłapa. Najgorsze jest to, że w tej sytuacji mój etat prawdopodobnie odpływa właśnie w bliżej nieokreślonej dal. To się nazywa pech - i to akurat jak byłam już tak blisko. Po rewelacjach prezesa wszystko w redakcji staje na głowie - wiadomo, trzeba się wykazać. Po kilku dniach gorączkowych narad i deklaracji, że będziemy walczyć, to znaczy zrobimy wszystko, żeby nasze pismo było jeszcze lepsze i lepiej się sprzedawało, żeby zadowolić wydawcę, przygotowujemy plan priorytetów.

PLAN PRIORYTETÓW:

1. zwiększenie atrakcyjności okładki;
2. więcej gwiazd pierwszej wielkości;
3. więcej poradnictwa i rad ekspertów;
4. kupujemy czytelniczki (konkursy, dołączać próbki, kupony);
5. testujemy kosmetyki - na wszystkie sposoby;
6. pokazujemy zwykle kobiety (więcej metamorfoz, czytelniczki na modelki);
7. testujemy zabiegi - reportaże z gabinetów odnowy;
8. podlizujemy się reklamodawcom (czynne uczestnictwo dziennikarek w konferencjach);

9. piszemy prawdę o chirurgii plastycznej, nawet jeśli jest bolesna;
10. interakcje z czytelniczkami (odpowiadamy na listy do redakcji).

Dyrektor artystyczny przykleja sobie do monitora wielką kartkę z napisem: *Nie liczcie na to, że się zamknę!* i zaczynamy działać.

Okladka to wizytówka naszego pisma, wszelkie badania pokazują, że od tego, czy wygląda atrakcyjnie, zależy, czy czytelniczki po nie sięgną. Bardzo często do redakcji przychodzą listy takie jak ten:

Szanowni Państwo, moja córka jest bardzo ładna i myślę, że z powodzeniem mogłaby wystąpić na Waszej okładce. Podaję telefon (jest w domu przeważnie wieczorami).

Niestety, żeby wystąpić na okładce, trzeba być osobą znaną, i to w zasięgu ogólnopolskim przynajmniej. Uznanie rodziców, dalszej rodziny, a nawet znajomych to stanowczo za mało.

W dalszej kolejności przydaje się uroda, czyli pewna regularność rysów, która pozwala na przesuwanie fragmentów twarzy podczas montażu. Oto dlaczego na okładkach pism kobiecych widzimy wciąż te same twarze. Czasem pojawia się na okładce ktoś nowy, choć jakby znajomy... Po uważnej lustracji podpisu pod zdjęciem odkrywamy, że to gwiazda dobrze znana z rubryk towarzyskich, tylko kompletnie niepodobna do siebie. Na liczniku pięćdziesiątka, a buzia jak u niemowlaka, oczy błękitne jak Morze Śródziemne, cera gejszy, szczupła jak modelka, bluzka na niej leży jak ulał. A jednak coś w tym wizerunku nie pasuje: ręka skręcona jakoś tak niefizjologicznie, ucho ciut za nisko, całość wygląda jakoś tak plastikowe. Ta pani była przedmiotem eksperymentu - ktoś postanowił wyjść poza schemat, sprawdzić, czy po obróbce technicznej da się z niej zrobić чудо. Eksperyment się nie udał i teraz pani wraca do

rubryki Życie Towarzyskie. Życie okładkowe musi być regularne.

Jak pokazują badania, uśmiech wspomaga sprzedaż. Enigmatyczny uśmiech Mony Lisy - tylko trochę. Pełny, serdeczny, wyszczerzony à la Wallace (ten od Gromita) - to marketingowy pewniak. Praca nad uśmiechem nie należy do łatwych zadań, bo tylko nieliczne gwiazdy są pod tym względem bez zarzutu. Stan uzębienia społeczeństwa pozostawia, jak wiadomo, wiele do życzenia i znane twarze nie należą do wyjątków. Grafik pracuje niczym dentysta: wybiela zęby, koryguje zgryz, tu i ówdzie coś dodaje nawet... Czasem efekt ortodoncji przechodzi najśmielsze oczekiwania samego artysty-dentysty, ale takie jest ryzyko zawodowe. Bywa, że wybielanie przeprowadzone zostanie tak skutecznie, iż olśniewająca biel wkracza na czerwień warg - mamy wtedy do czynienia z tak zwaną wiewiórą. Zbyt przykładowa korekta kształtu skutkuje niekiedy czymś w rodzaju antywampira - kły są wtedy szersze od jedynek. Dążąc do perfekcji przy projektowaniu nowej okładki z gwiazdą pierwszej wielkości, Andrzejek pokusił się o ryzykowne połączenie wiewióry z anty wampirem, wrażenie okazało się piorunujące. Uśmiech z okładki ma jednak dużą siłę wyrazu. Znacznie większą niż wyrazy, które się na niej znajdują.

Zgodnie z obowiązującą modą tytuł gazety przeważnie schodzi na drugi plan, dosłownie. Gwiazda opiera na nim głowę jak na poduszce. Zasłania przy tym część liter. Stałym czytelnikom gazety pewnie to nie przeszkadza, bo znają tytuł na pamięć, ale jak ktoś widzi gazetę po raz pierwszy, może się naciąć.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której spragniony słowa pisanego młodzieniec widzi w kiosku nieznany magazyn w luksusowej obwołucie. Na okładce apetyczna laseczka w koronkowym gorsiecie i

napis: *Pan*. Oho, myśli ów młodzieniec, będzie co poczytać. Kupuje, otwiera, a w środku znajduje artykuł: *Jak ogolić nogi, żeby nie bolało*, najmodniejsze kozuchy sezonu i felieton faceta, który przekonuje, że dla niego kobiety są partnerkami nie tylko w seksie. Ale o co chodzi? - zastanawia się wkurzony miłośnik dobrej literatury. Nie rozgryzie problemu, dopóki nie pojmie, że laseczka w gorsecie zasłoniła główką literę „i” ...

Patrząc od strony sprzedaży, to zabieg z przykrywaniem literek spełnił zadanie znakomicie: może nie zyskaliśmy czytelnika, ale sprzedaliśmy egzemplarz. Z tego powodu w ramach rewolucji w gazecie dyrektor artystyczny postanowił przykrywać na okładce co się tylko da - zobaczymy, jak pomysł chwyci, to kupią nas kobiety, mężczyźni, emeryci i siusmajtki.

Dobra okładka powinna zawierać jakąś liczbę.

Numer pisma, miesiąc, numer indeksu to trochę za mało, chodzi o duże wyraźne cyfry. Na przykład: „79 sposobów na piękne stopy”, „53 urodowe triki”, „60 prezentów do wygrania w naszym konkursie”. Magia liczb działa niezawodnie - im wyższa cyfra, tym większa chęć na pismo. Magazyn „Memoir” nie schodzi poniżej setki. Do rankingu stu najlepiej ubranych kobiet w Polsce ma szansę załapać się nawet redakcyjna stylistka. No bo w końcu ile mamy u nas znanych kobiet?

Jeśli chodzi o dołączane do pisma prezenty, to poniżej pięćdziesiątki nie ma sensu się wygłupiać. Polki są dobre z matematyki i wiedzą, że jak do wygrania jest powiedzmy pięć flakonów perfum na cały nakład, to w zasadzie szansa nie istnieje. Poza tym pięć flakonów to nie jest ilość, którą można by zadowolić rodziny tak, żeby jeszcze coś zostało. W zapewnienia, że „rodziny... nie biorą udziału”, nikt przecież nie wierzy.

Po burzliwej naradzie z szefową działu reklamy ustaliłyśmy, że od dziś do każdego numeru „Cudu na Twarz” będziemy dodawały

trzy prezenty. Tylko tak zyskamy pewność, że czytelniczki kupią pismo bez zaglądnania do środka. A nuż znalazłyby tam coś, co by je zniechęciło...

*

Zajawki na okładkę jak zwykle bierzemy z puli hasła uniwersalne: „walka ze zmarszczkami”, „stop samotności”, „poszukiwanie tej jedynej miłości” i tym podobne. Z tym że teraz dobieramy do haseł słowa pewniaki: „recepta”, „tajemnica”, „sekret”, „uchylenie rąbka”, „zdejmnowanie zasłony”, „wychodzenie na światło”. I w ostateczności: „pełna krasa”. Jak aktorka w wywiadzie nie miała nic do powiedzenia, na okładce gościła już w tym miesiącu we wszystkich gazetach, a u nas też, zapowiedź, że pokazujemy ją „w pełnej krasie”, brzmi jak obietnica... że wystąpi na golasa. Kogoś to może skusić.

W warunkach ostrej konkurencji zmuszeni też jesteśmy stosować bief: „tylko u nas...”, „tylko nam opowiedziała o...”, „po raz pierwszy...”. Prawda wyjdzie oczywiście na jaw, ale dopiero po zakupie.

Czego nie załatwią obietnice bez pokrycia, osiągamy magią nazwisk. Wymieniamy je ciurkiem na okładce i pytamy: Wiesz już o nich wszystko? Czegoś tam zawsze czytelnik nie wie, nie ma siły. Będzie chciał wiedzieć, to kupi gazetę.

Pierwiastek męski

W ramach akcji ratunkowej naczelną, pod wpływem nacisków Andrzeja, chce zatrudnić dodatkowego grafika. Mężczyznę, bo jak powiedziała, brakuje nam pierwiastka męskiego. Jego krótką historię można opisać tak:

Sympatyczny doświadczony grafik koło czterdziestki chciał poznać specyfikę pracy w kobiecej gazecie. Spoglądałyśmy na niego z ciekawością i zadumą. Wykazywał zadziwiającą zdolność patrzenia na kosmetyki w taki sposób, jakby były przezroczyste. Można było postawić mu przed nosem stertę najdroższych mazideł, a on tylko ustawiał je na stole jak klocki lego i nawet nie próbował odkręcać, sprawdzać co w środku. Poproszony o opinię na temat nowego zapachu, odparł, że musi poradzić się żony. Na porannych zebraniach, kiedy planowałyśmy nowe tematy, podpierał głowę ręką i z wolna osuwał się w fotelu. Chyba przysypiał. Kiedy jego palce zaczynały wystawać ponad głowę, budził się z rozwichrzoną czupryną, rozglądał ukradkiem, przybierał pozycję wyjściową i kontynuował zabawę w zjeżdżanie do parteru. Po tygodniu sympatyczny grafik przyniósł do pracy pudełko. Flegmatycznie, jak zawsze, zebrał do niego swoje flamastry, inspirujące katalogi i tyleśmy go widziały. Podobno zgodził się pracować za połowę pensji w jakiejś sportowej gazecie. Decyzja o tyle zaskakująca, że wcześniej nie dawał sygnałów, że coś jest nie tak: nie protestował, nie krytykował, nie walczył o podwyżkę. To był zwyczajny facet.

Jedno jest pewne - żeby zwyczajny mężczyzna mógł pracować w kobiecym magazynie, musi odznaczać się czymś w rodzaju powołania. Jego decyzja jest dla zwykłych śmiertelników równie niezrozumiała jak misja księdza albo zawód ginekologa. W świecie, który kręci się wokół szczotki do włosów, gdzie każdy pilnik do paznokci ma swoje lepsze i gorsze strony. Bombardowany newsami o operacjach plastycznych, silikonach, botoksach i jadach kielbasianych, ostrzyknięciach, wkładach i odessaniach...

Nie każdy mężczyzna ma wystarczające predyspozycje psychiczne, żeby wytrzymać takie obciążenie. Przeważnie nie chce wiedzieć, co jest tajemnicą jędrnego biustu aktorki z serialu ani zgłębiać tajników kamuflującego makijażu. Działanie lasera na naczynka też go nie kręci. Woli pozostawać w nieświadomości. A jednak nawet w tak sfeminizowanym środowisku zdarzają się wyjątki.

Andrzej, nasz niezastąpiony dyrektor artystyczny, ma przerzedzoną czuprynę i obgryzione pazury. Patrząc na niego, trudno przypuszczać, że ma w łazience coś więcej niż mydło Bambino, ale pozory mylą, bo Andrzej jest redakcyjnym ekspertem od kosmetyków luksusowych. Gromadzi wszystko: limitowane serie perfum damskich i męskich, kremy wszelakiej maści, akcesoria. Największą przyjemność sprawimy mu, ofiarowując flakon w kształcie kobiety. To akurat można zrozumieć, ale że równie chętnie przyjmie karnałowy żel do włosów ze złotymi gwiazdkami... Nie jestem pewna, co robi z flakonem, w każdym razie żel zabiera natychmiast do łazienki. Wychodzi stamtąd ufryzowany niczym drag queen. Siada do komputera i do końca dnia odbiera hołdy dla urody.

Może się wydawać, że Andrzej to zwykły jajcarz, ale nic podobnego. Traktuje swoją pasję bardzo serio. Z czystym sumieniem można mu zlecić testowanie lakieru do paznokci- nikomu nie odda,

użyje zgodnie z zaleceniami, a jak trzeba, to zrobi test wytrzymałościowy, o jakim nikomu się nawet nie śniło. Współpraca z takim probantem to prawdziwa przyjemność. Która kobieta zgodzi się sprawdzać odporność emalii na przypalanie zapalniczką albo skseruje sobie twarz, badając właściwości fluorescencyjne jesiennego makijażu? Taki mężczyzna to skarb. My, kobiety, czasem przegrywamy w starciu z instrukcją obsługi nawet jeśli chodzi tylko o kosmetyk.

*

- No, sama zobacz, czy to wygląda jak lakier do paznokci? - Hania pokazuje Ali buteleczkę.

- Nie, wygląda raczej jak błyszczak do ust.

- Prawda?! Też tak pomyślałam i posmarowałam. Myślisz, że coś mi się może od tego stać?

- Eee, nie, usta masz normalne, tylko ta szminka na zębach...

*

Rozgryzam działanie produktu o nazwie Ołówek Korygujący. Podobno to cudeńko służy do ścierania krzywo narysowanej kreski. Jakby nie można było tradycyjnie, czyli wacikiem. Albo paluchem. Oczywiście można, ale kobieta nowoczesna powinna używać właśnie tego. Ołówek zrobiony jest z czegoś w rodzaju utwardzonej wazeliny. Kiedy pocieram nim oko obrysowane kredką, wazelina mięknie i rozmazuje kolorową kreskę, wcale nic nie wyciera, tylko właśnie rozmazuje. Pocieram mocniej - rozmazuje na większej powierzchni. Przejeżdżam po skórze palcem - robi się czysta. Używam korektora do drugiego oka - rozmazuje. Palcem - schodzi błyskawicznie.

Taaak.

Mamy zatem korektor, który nie koryguje, nie pachnie (ustaliłam), nie pełni żadnej konkretnej funkcji, jest za to strasznie drogi

(górną półką albo wręcz pawlacz), więc muszę go ładnie opisać, żeby zachęcić do kupowania. Biorę obiekt w dwa palce i ostrożnie, jak chirurg (jeszcze nie mamy zdjęcia), niosę do okna - może w pełnym świetle odkryję jakieś nadprzyrodzone właściwości. Kto wie, może świeci, opalizuje, kurczy się na słońcu, właściwie przyda się cokolwiek. Podnoszę na wysokość oczu i... wiem już, że ten ołówek nie potrafi latać - z piątego piętra sunie ku ziemi jak kamień. Na szczęście nikt nic nie zauważył. Przekradam się do windy, wypadam na ulicę, czołgam się na czworakach między samochodami zaparkowanymi przed budynkiem. Ufff, w końcu go mam. Przeżył, nawet się nie połamał, przecież jest z wazeliny. Jest jeszcze ostatnia deska ratunku - niosę ołówek do Andrzeja.

- O! ołówek korygujący, takiego jeszcze nie miałem, to miło z twojej strony, dzięki. - Andrzejek jest zadowolony i co najważniejsze, od razu właściwie rozpoznaje obiekt.

- Dostaniesz go, jak tylko wróci od fotografa, a teraz proszę, powiedz mi, co to jest.

I Andrzej płynie:

- Nowoczesny przedmiot w trendach nowoczesnego designu z bardzo ładnym zwieńczeniem w formie absydy. Używamy go, dokładnie rozsmarowując...

Co my byśmy bez niego zrobiły?

Ekspert radzi

„Więcej poradnictwa i rad ekspertów” głosi trzeci punkt planu odnowy naszego pisma. Postanawiam nie omijać żadnej okazji do porozmawiania z ekspertem. Wymieniam się z koleżanką z działu Zdrowie w naszej gazecie: szampon regenerujący dla łysych w zamian za zaproszenie na konferencję poświęconą witaminie C. Tam będę miała okazję stanąć oko w oko z lekarzem. Na początku jest nieufny, ale kiedy wyjaśniam, że zajmuję się urodą, wyraźnie się ożywia. Pewnie się bał, że go zasypię fachowymi pytaniami. Trzy godziny w kameralnej atmosferze eleganckiej restauracji z witaminą C w roli głównej i cały notes mam zapisany fachowymi informacjami, które wykorzystam w tekstach. Czas wracać do redakcji. Przy szatni rzucam okiem na lustro i... No nie wierzę, jak w jakiejś tandetnej telenoweli - pod oczami mam wielkie czarne zacieki, całe górne rzęsy odbiły mi się na policzkach. Trochę padało, jak wysiadalam z taksówki, pewnie to dlatego... i pomyśleć, że w tym stanie jeszcze przed chwilą zgrywałam eksperta od urody - brawa dla pana doktora, nic po sobie nie dał poznać, a tusz dostaje zero punktów z wodoodporności.

*

Nasze czytelniczki, jak wynika z badań, bardzo lubią sobie poczytać o usługach fryzjerskich. Najlepiej jak redaktorki przetestują wszystko na sobie i opiszą, wtedy czytelniczki mają pewność, że nie przepłacają za gazetę.

Tymczasem wyprawa do fryzjera to już nie to samo co w czasach naszych mam. Nie zakład usługowy *sensu stricto*, ale duchowe poszukiwania sensu strzyżenia. *Concept store* zamiast salonu fryzjerskiego, *ayurveda* zamiast „pani powie, czy woda nie za gorąca”, zamiast zwykłego szamponu zaś kompletna odnowa włosów. Można się trochę pogubić, dlatego pewien operat pojęć współczesna kobieta musi mieć w małym palcu. Żeby na przykład w sytuacji, kiedy fryzjer proponuje kąpiel, nie zaczęła się rozbiierać. Kąpiel w tym wypadku dotyczy tylko (!) głowy. Podobnie rzecz się ma z masażem.

W dobrym zakładzie - tfu, salonie fryzjerskim - masaż głowy jest obowiązkowy. Oznacza to, że jeśli nie chcemy urazić osoby myjąco-masującej, powinniśmy się ufnie oddać w ręce fachowca. Rozluźniamy się (o ile to możliwe, skoro obok w identycznej pozycji spoczywa sześć innych klientek, każda z dzwoniącym telefonem komórkowym w ręce). Staramy się zapomnieć o zimnym brzegu umywalki wpijającym się w kark, o szczękę nożyczek oraz innych niepokojących odgłosach dochodzących z otoczenia. Zamykamy z lubością oczy i zaczyna się *ayurveda*. Ręce masażysty wprawnie przesuwają się po głowie, uciskają skronie i potylicę, smerają za uszami i po szyi. O ile ktoś nie ma łaskotek (ja mam), powinien to jakoś wytrzymać. Zwłaszcza że seans nie trwa zwykle dłużej niż dwadzieścia minut. Potem przychodzi czas na odnowę włosów, czyli bardziej prozaicznie: mycie i odżywkę.

Gdy zdecydujemy się na farbowanie, zamiast chemii w salonie zaproponują nam aromatyczną koloryzację. Sprzeczność w nazwie zamierzona, ale co tu kryć: cudów nie ma i każda farba, choćby najbardziej aromatyczna, nie jest bezwonna. Gdyby udało się taką wynaleźć, to odkrywca, razem z wynalazcą skutecznej metody depilacji nóg, stanąłby w kolejce po Nagrodę Nobla. Tymczasem na to się nie zanosz, więc w salonie fryzjerskim w asyście mniej lub bardziej

przykrego aromatu oddajemy się lekturze. A jest co poczytać. W dzisiejszych czasach stos wymiętych pism kobiecych ciśniętych na stolik to stanowczo za mało. Teraz każdy fryzjer... o tfu, przepraszam, nie fryzjer, tylko kreator fryzur, wydaje własną blisko czterostronicową gazetkę - o tym, jak jego zdaniem powinien wyglądać jeź albo baranek. Do tego rozmaite katalogi i gazety, nawet zagraniczne, temat obojętny. W naprawdę dobrym salonie musi być też dostęp do Internetu. Zamiast opisywać w pocie czoła: „Proszę mnie obciąć na tę prezenterkę, wie pani, co w pierwszym programie prowadzi program dla dzieci” - namierzamy poszukiwaną w Google'u i po krzyku. Co za wygoda! Zainspirowana tym, o czym piszemy w gazetach kobiecych, pani Basia, która od lat czesze moją mamę, postawiła na wystawie telewizor. Ekranem do wewnątrz oczywiście. Faktycznie od razu zrobiło się bardziej kameralnie i światowo.

Mimo wszystko o wyborze fryzjera decyduje jednak ogląd, czyli dokonana przez szybę pobieżna lustracja fachowca. To działa niezawodnie i nawet dziennikarki stosują ten patent w pracy. Dawniej kryterium wyboru był stopień spalenia włosów trwałą. Proste: jak fryzjerka zrobiła sobie loki i wszystkie włosy jej po tym zabiegu nie wypadły, jest szansa, że umie to powtórzyć na naszej głowie. Teraz kryterium zmieniło się, tak jak same fryzury - im dziwniej, tym lepiej. Mistrz fryzjerski ma dostęp do najnowszych technologii oraz wprawnych rąk kolegów z zakładu, zatem wystarczy na niego popatrzeć i już mamy pełne rozeznanie.

Ekspert nr 1: Grzegorz. Tylko dla wtajemniczonych. Przyjmuje w prywatnym mieszkaniu, bez szyldu i bez reklamy. Tylko na rendez-vous. U Grzegorza można palić, samodzielnie przyrządzić sobie kawę i kanapkę. Wszystko po to, by klient (Grzegorz woli słowo: przyjaciel) poczuł się tutaj jak w domu. Wiele znanych osób tak się

tu właśnie czuje, więc przychodzą tłumnie. Ktoś niezorientowany mógłby pomylić wnętrze salonu z planem popularnej telenoweli - prawie wszyscy aktorzy w komplecie, i do tego robią sobie kawę.

Grzegorz stylizuje się na luzaka: T-shirt, trampki, luźne spodnie. Tak luźne, że kiedy pochyła się mocno do przodu (w tej pracy to normalne), widzę jego slipy w całej okazałości - czerwone. Mistrz z każdym jest od razu na ty, zagaduje przyjaźnie, wprowadza (w) sympatyczny nastrój (salonu). Z ulgą stwierdzam, że to, co Grzegorz ma na głowie, mieści się w granicach pojęcia uczesanie - wystrzępione artystycznie, ale budzi zaufanie.

- Będziesz strasznie zadowolona - obiecuje mistrz Grzegorz. Dobry chwyt socjotechniczny, właściwie już jestem zadowolona. Siedzę na planie serialu, w domowej atmosferze, jak w domu.

Zaczynam opisywać wymarzoną fryzurę, ale Grzegorz macha ręką:

- Kochana, ja dokładnie wiem, w czym ci będzie dobrze, wiem, co masz na myśli, mnie nie musisz mówić, ja wiem.

OK, dlaczego nie, skoro wie. W zasadzie nie mam jakiś szczególnych oczekiwań. Poza tym, żeby było sporo krócej i coś efektownego.

Podczas strzyżenia mój fryzjer prowadzi ożywioną konwersację z oczekującymi VIP-ami. Mówi głównie o zaufaniu, o magicznej relacji, która w jego zawodzie jest podstawą sukcesu. Wyrazem tego zaufania jest między innymi to, że w tym salonie siedzi się tyłem do lustra. Troszkę mnie to niepokoi, ale postanawiam walczyć ze stereotypami. Poza tym taka pozycja umożliwi mi czynny udział w rozmowie.

- Przeglądaj się w oczach innych - radzi Grzegorz, więc wybałuszam oczy i staram się odgadnąć po minach obecnych, jakie też zmiany zachodzą na mojej głowie.

Chyba nie jest źle, bo miny są raczej zadowolone, od czasu do czasu ktoś przyjaźnie puszcza oko, żeby dodać mi odwagi.

Kiedy jest już po wszystkim, mój mistrz wprawia w ruch fotel, na którym siedzę, i po kilku efektownych obrotach staję oko w oko z odbiciem w lustrze. Coś bym powiedziała, ale za plecami słyszę głośny aplauz: - Suuuper.

Następnego dnia wchodzę do redakcji akurat w momencie, kiedy jedna z dziennikarek demonstruje nową fryzurę. Koleżanki i koledzy nie mogą się jej nachwalić, faktycznie wygląda świetnie. Podchodzę na palcach, staję za plecami i głośno mówię:

- A ja...

Kolega Andrzej odwraca się, patrzy na mnie przez chwilę i wypala:

- A ty, Aśka, kiedy wreszcie pójdziesz do fryzjera? Strasznie zarosłaś.

Bo u Grzegorza jest naprawdę jak w domu - sama bym się lepiej nie obciąła...

Ekspert nr 2: Władysław. Gatunek endemiczny. Reprezentant starej szkoły. Szarmancki dla dam, ostry dla personelu, przedwojenna elegancja zawodowa. Zamiast białego fartucha nosi jednak spodnie od garnituru i koszulę (trzy guziki zalotnie rozpięte, grzebień w kieszeni). To, co mnie interesuje najbardziej, czyli fryzura, budzi moje największe obawy. Władysław czesze się na starego Lisa: przedziałek równy jak rów melioracyjny i hałda włosów odrzucona na lewą stronę. Z tą hałdą to jednak przesadziłam, powiedzmy hałdziątko, jednodniowy urobek. No ale kto powiedział, że mistrza nożyczek nie mogą dotyczyć problemy zwykłych śmiertelników. Jak dla mnie wystarczy, że ma bujną wyobraźnię. Siadam i opowiadam.

Władysław jest uważnym słuchaczem, w skupieniu przeczesuje moje włosy palcami, efektownie kończy lustrację miną kogoś, kto

dokładnie wie, co robić. Jaka ulga! Przymykam oczy i pograżam się w przyjemnych myślach.

- Patrz się, co ja robię, patrz się, co ja robię – słyszę za plecami.
- Zobacz, jak ja to robię, o teraz, widziałeś? Nie rozglądaj się, tylko patrz się, co ja robię. Terrraz, teraz i teraz, złapałeś to? Powtórzę to, uważaj. Terrraz, teraz i teraz. Patrz się, co ja robię, patrz się, co ja robię...

Na wszelki wypadek otwieram jedno oko i widzę, że nad moją głową pochyla się stadko młodzieży. Mistrz Władysław z rozwianą lisią kitą wije się jak w transie, nożyczki tylko błyskają w chmurze drobinek ścinanych włosów.

- Patrz się, co ja robię, patrz się, co ja robię... Teraz, lekko i z werwą, ciach, ciach, z fantazją - sapie.

Zamykam pośpiesznie oko, chyba lepiej nie patrzeć. Staram się nie podsłuchiwać, zresztą głos Władysława jakby słabnie i, dziwna sprawa, słabnie też jakby tempo strzyżenia. Właściwie powiedziałabym, że nie ma żadnego tempa... Otwieram oko - kontrolnie.

Za mną stoi jeden z uczniów, jakaś chudzina. W tej chwili chudzina jest maniakalnie wpatrzony w nożyczki. Trzyma je nad czubkiem mojej głowy i zawieszona na kciuku, próbuje okręcić je na palcu, nie używając drugiej ręki. To nie jest łatwa sprawa i tak jak podrzucanie naleśnika na patelni wymaga wprawy. Chudzina trenuje z zapalem, nawet nieźle mu idzie, jeszcze dwie, trzy klientki i powinien się nauczyć.

- Uhm... - chrząkam znacząco.

Podnosi na mnie spojrzenie pełne pasji, szybko cofa rękę i uśmiecha się niewinnie.

- Ćwiczyłem troszkę - wyjaśnia.

- Nieźle ci idzie. - Lepiej go pochwalę, bo a nuż się zdenerwuje, nie chcę mieć zdenerwowanego faceta z nożyczkami nad głową.

Wraca Władysław. Przeczesa moje włosy palcami i mruczy zadowolony:

- Dobrze ci idzie, Arek, widzę, że patrzysz się, co ja robię, bardzo dobrze.

Wymieniamy z Arkiem porozumiewawcze spojrzenia.

- To mój najzdolniejszy uczeń - wyjaśnia mistrz. - Będzie pani bardzo zadowolona, a ja tu co chwila będę wszystkiego doglądał.

Zanim zdążę coś powiedzieć, zostaję sam na sam z uczniem, który teraz na serio zabiera się za cięcie. Łapie w garść i obcina jak leci - ciach, ciach, ciach. W kilka chwil włosy mam tak krótkie, że nie bardzo jest co łapać w garść.

Patrzę, co on robi i myślę... CO JA ROBIĘ!!!

Wtedy wraca Władysław. Ogląda dzieło najzdolniejszego ucznia i tylko wciąga powietrze ze świstem. Rozumiemy się bez słów, właściwie nie ma już co ratować. Na pożegnanie dostaję kurację odżywczą, która podobno błyskawicznie regeneruje włosy.

Grzegorz i Władysław to dwie skrajności, inny warsztat, podejście do klienta i metoda. Tym, co ich łączy, jest efekt końcowy. W obu wypadkach nikt nie chce uwierzyć, że to, co mam na głowie, wyszło spod ręki fryzjera. Cóż, kiedy się pisze reportaż wcieleniowy w dziedzinie urody, czasami trzeba poświęcić urodę dla sprawy. Ważne, że czytelniczki dostaną swoją porcję osobistych wynurzeń, no i będą wiedziały, jakie fryzury są modne w tym roku: proste, asymetryczne, czesane wiatrem i pozornie niedbale. Tylko pozornie.

Interaktywne obuwie sportowe

Miarą profesjonalizmu dziennikarki pisma kobiecego jest to, ile dostaje zaproszeń na konferencje, pikniki, śniadania, obiady, wieczory, premiery, otwarcia, odsłonięcia, odkrycia itp. Z przyjemnością zauważyłam, że po niecałym roku pracy dostaję ich już bardzo dużo, około 15 tygodniowo. Oczywiście na wszystkie imprezy nie chodzę, bo to jest niewykonalne. Siłą rzeczy zmuszona jestem wybierać.

Idealne zaproszenie na imprezę PR-owską powinno wyglądać mniej więcej tak:

„Serdecznie zapraszamy Panią na... (tu coś w rodzaju: bankiet ze szwedzkim stołem). Dołożyliśmy starań, żeby się Pani nie nudziła. W programie między innymi dużo darmowego jedzenia i jeszcze więcej upominków”. I już, to wszystko, ani słowa więcej.

W żadnym wypadku nie wolno robić dopisków w rodzaju: „Przebierzemy się wszyscy za niedźwiedzie polarne i będziemy szukać ochłody w lodach Arktyki zaaranżowanej przez naszego stylistę” albo: „Spotkamy się z prawdziwymi kowbojami i postrzelamy jak na westernie”, a już na pewno nie należy pisać: „Prosimy o zabranie obuwia sportowego”.

Taka informacja od razu plasuje imprezę na samym dnie pudełka z zaproszeniami. Praca to nie zabawa, a już na pewno nie harcerstwo. Wszelkie próby wprowadzania obrzędowości kończą się klęską przedsięwzięcia. Podobnie jak tak zwane zabawy interaktywne.

Może gdy chodzi o grupę znudzonych pracą garniturowców takie pomysły są przyjmowane z entuzjazmem. Chłopaki, nawet już po pięćdziesiątce, lubią czasem pograć w *paint ball* albo pojeździć quadem po błocie, ale na pewno nie lubią tego eleganckie babeczki w szpileczkach i pełnym makijażu. Nawet nie ma mowy! Zaproszenie do wspólnej zabawy działa jak płachta na byka.

PR-owcy od kosmetyków uważają jednak, że jest wręcz odwrotnie. Uwielbiają wymyślać najdziwniejsze scenariusze konferencji, prześcigają się w organizowaniu imprez tematycznych: a to zabawa taneczna w remizie w porze lunchu, a to zwiedzanie z noktowizorami zaciemnionych sal jakiejś zrujnowanej fabryki albo pidżama-party w nowo otwartym hotelu. Teoretycznie takie urozmaicone eventy mają nam rozjaśniać szarą codzienność, ale w praktyce trzeba mieć nielichą odwagę, żeby w środku dnia zaproponować poważnej kobiecie przebranie się na przykład za mistrzynię flamenco albo wywijanie w rytmie rock and roila w adekwatnym utensylium. Możliwość skorzystania z porady specjalnie wynajętego trenera tańca towarzyskiego, niestety, nie będzie dla niej wystarczającą zachętą.

*

W Teatrze Muzycznym trwa specjalne przedstawienie spektaklu „Puchata Sześćdziesiątka”. Na widowni tylko dziesięć dziennikarek i dwóch PR-rów. Impreza odbywa się w samo południe, na zewnątrz ludzie pracują w pocie czoła, a my... też pracujemy, tyle że znacznie przyjemniej. Oglądamy przedstawienie na zaproszenie producenta perfum, raczej niedrogich, toteż podchodzimy do zadania niezbyt gorliwie. Co chwila otwierają się drzwi i przed nosem już siedzących przemyka kolejna spóźniona koleżanka. Gdyby to było normalne przedstawienie, byłoby to raczej niemożliwe, ale tym

razem jesteście gośćmi honorowymi i nikt nam złego słowa nie powie.

Przedstawienie jest mało porywające, gawędzimy więc sobie w najlepsze, czasem tylko zerkając na aktorów. Dostrzegam wśród nich kolegę ze studiów.

A to spotkanie! Faktycznie Arek wspominał, że chodzi na kursy aktorskie. Po spektaklu wysłał mu SMS-a, że jestem na widowni - postanawiam.

Wtem Arek przestaje tańczyć i zapowiada:

- Za chwilę zaproszę panie do wspólnej zabawy, ale zanim to nastąpi, ostatnia piosenka...

Daję mu rozpaczliwe znaki, ale mnie nie widzi w ciemności. No to zawalił sprawę, zaraz frekwencja spadnie do zera, szkoda tej jego „ostatniej piosenki”. Tak jak przypuszczałam, w ciągu kilku minut dziennikarki sprawnie przeprowadzają akcję ewakuacyjną. Kiedy zapalają się światła, na widowni jest już tylko dwóch PR-owców i ja. Ja tylko dlatego, że właśnie piszę do Arka SMS-a: „Nie proponuj zabawy interaktywnej, bo uciekną”.

Musztarda po obiedzie.

*

Wyobraźmy sobie sześć dziennikarek, które w samo południe walczą o palmę pierwszeństwa w konkursie na najlepsze danie przyrządzone na oleju koszalińskim (pełen witamin i Omega-3). Jest piękny majowy dzień. W ogrodzie przed Pałacem Dziennikarza ćwierkają ptaszki. Wprost na murawie zaaranżowano kilka polowych kuchni. Dziennikarki przyszły prosto z pracy, to znaczy z porannej konferencji poświęconej nowej szmince. Teraz położyły na trawie torby ze zdobytymi rano trofeami, założyły fartuszki i gotują. Tak naprawdę nie gotują, tylko udają, bo co można ugotować w ciągu piętnastu minut na polowej kuchni? Ale olej jest prawdziwy, przyska na wszystkie strony aż miło. Gdyby nie to, że nagrodą w

konkursie jest najprawdziwszy wielofunkcyjny mikser, żadna z pań nie stanęłaby w pobliżu wulkanu plującego tłuszczem. Dla miksera warto. Wygrywają placuszki z jabłkiem - pomysłodawczyni odbiera upragnioną nagrodę. Smażone banany, konfitury gruszkowe i grzanki robią „minę”, ciskają w kąt patelnie, podnoszą torebki z trawy i ostentacyjnie wychodzą z konferencji, ciągnąc za sobą zapach przypalonego oleju.

*

Hania od wczoraj chodzi nabuzowana. Pani Malina dała jej swoje zaproszenie na imprezę. Na dole małymi literkami napisano: „Prosimy o zabranie ze sobą obuwia sportowego”.

- Jak pomyśle, że zamiast kończyć tekst, będę jutro przez pół dnia biegała po lesie albo grała w koszykówkę z drużyną PR-owców, to mi się robi niedobrze. Wiesz, jak to jest: oni przygotowywali się do tej imprezy przez trzy miesiące, pisali scenariusze, wybierali miejsca, zebrania organizowali i obgadywali wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Od tygodnia już o niczym innym nie mówią, tylko o ewencie, aż się palą, żeby zaprezentować, co też takiego wspaniałego wymyślili. Stawia się zwarci i gotowi do zawodów. A ja mam takich eventów przynajmniej osiem w tygodniu, wszystkie są strasznie interaktywne. Już nie nadążam z praniem tenisówek. Roboty huk i ostatnią rzeczą, na jaką mam teraz ochotę, jest ruch na wolnym powietrzu.

- To powiedz, że przyjechałaś tylko po materiały prasowe, że jesteś chora i nie możesz brać udziału w zawodach, dadzą ci spokój - podsuwam.

- Coś ty, nie ma szans. Materiały prasowe w ramach wspaniałej zabawy pewnie trzeba sobie wytropić w czasie podchodów w lesie albo ustrzelić z łuku. Do ręki mi nie dadzą, żeby nie zepsuła niespodzianki. Jak powiem, że jestem chora, to mi najwyższej zwiększą

handicap, ale nie odpuszczają.

- Jak to będą podchody, to spróbuj się zgubić gdzieś w lesie, może nikt nie zauważy - wpada na pomysł Ela.

- Oczywiście, że tak zrobię, ale PR-owcy nie są głupi, nie tylko ja będę próbowała zwać, zrobią z nas teamy: dziennikarz plus PR do pilnowania.

- Sprytnie bestie, a nie łatwiej zrobić tradycyjną konferencję, na którą się chodzi z przyjemnością? - pytam naiwnie.

- Pewnie, że łatwiej, właśnie o to chodzi, ale żeby się wykazać, PR-owiec musi zrobić coś ekstra, jakiś genialny przebłysk kreatywności, który zostanie doceniony przez szefa. W tej grze nie chodzi o nas. Teoretycznie wystarczyłoby wysłać materiały do redakcji i też byśmy napisały. Ale firmy kosmetyczne, czyli nasi reklamodawcy, lubią nas przegonić po lesie w obuwiu sportowym - pewnie to rodzaj pokuty za wziętki i darmowe poczęstunki.

*

Teraz, gdy przyszłość naszej gazety stoi pod znakiem zapytania, żadna z nas nie śmie się wykręcić od udziału w konferencji - a nuż by się reklamodawcy poobrażali... Nie możemy sobie na to pozwolić. Dlatego wracam teraz do domu ledwie żywa, nawet nie mam siły porozmawiać z Magdą. Mam nadzieję, że u niej wszystko dobrze. Po raz kolejny zasypiam, obiecując sobie, że zadzwonię do niej jutro, do Pawła też. Ostatnio ilekroć dzwoni wieczorem, dosłownie zasypiam nad słuchawką. Mimo wszystko wolałabym, żeby te zapowiadane radykalne kroki prezesa już nastąpiły. Cokolwiek to ma być, bo to dążenie do perfekcji nas wszystkich wykończy. Przecież my nawet nie wiemy, czy nasze wysiłki na coś się zdają.

Odpowiadam: nie wiem

Pracuję teraz nad arcydziełem sztuki poradniczej, tekstem pod tytułem: „Dieta dla skóry”. Będzie o wpływie składników odżywczych na cerę, o tym, co jeść, żeby dobrze wyglądać. Takich tekstów nam brakuje: poważny artykuł z pogranicza kosmetyki i dietetyki, który wymaga autoryzacji eksperta (!). Udaje mi się umówić na spotkanie z wybitną specjalistką w dziedzinie odżywiania, panią profesor Marią Dużolepszą. Spotykamy się w jej gabinecie w Centralnej Klinice Żywienia. Na ścianie przed wejściem do gabinetu wisi plakat z wielkim hasłem: *Naucz się lepiej żyć!* Jakiś dowcipniś dopisał literkę „r” między „ż” i „y”. Nieładnie! Pani profesor jest przyzwyczajona do kontaktów z prasą. Pokazuje mi teczkę z wycinkami - na jednej fotce stoi obok wielkiej butelki coca-coli, na innej trzyma skrzynkę z połciami słoniny, podpis pod zdjęciem głosi: *Tyle moja pacjentka zgubiła w wyniku racjonalnej diety.* Na pytania pani doktor odpowiada szybko i zdecydowanie, potem patrzy, jak zapisuję, i koryguje ewentualne nieścisłości. Współpraca idzie wartko.

- Pani profesor, co powinnyśmy jeść, żeby wyglądać pięknie?
- Wszystkiego po trochu.
- A na śniadanie?
- Lepiej mniej niż więcej. Więcej małych posiłków w ciągu dnia.

Powiedziałam: więcej? Proszę przekreślić i napisać: trzy do czterech małych posiłków.

- Jakie składniki odżywcze mają największy wpływ na skórę?
- Wszystkie składniki.
- A z witamin to B i C?
- A, B, C, D, E, F też ma znaczenie. No właściwie wszystkie.
- Żelazo?
- Żelazo, cynk i co tam jeszcze jest... Magnez!
- A czego trzeba unikać, jakich produktów nie jeść?
- Tam za panią na półce jest taka gruba książka, proszę uprzejmie się odwrócić i sięgnąć... Dziękuję.

Pani profesor przez dłuższą chwilę kartkuje, w końcu z trzaskiem zamyka książkę i mówi oburzona:

- Nic nie piszą!
- Białego pieczywa to pewnie lepiej nie jeść? - staram się pomóc.
- Hmm, kiedy ja właśnie niedawno gdzieś słyszałam, że można, a nawet należy jeść białe pieczywo w niewielkich ilościach.
- To może napoje jakieś są niezdrowe? - Tylko nie taki banał jak kawa, zaklinam w myślach.
- O tak, dla prawidłowego funkcjonowania całego organizmu, nie tylko skóry, zabójcze są soki.
- Soki?!
- Tak, bo soki zawierają strasznie dużo cukru. A cukier, jak wiadomo, jest niezdrowy.
- Czyli soków jak najmniej?
- Najlepiej w ogóle.
- Zgoda, wodą przecież można popijać, niegazowaną oczywiście.
- Tylko nie popijać, pić można, popijać nie. Ale jak ktoś lubi gazowaną, to co ma zrobić? Niech pije, ja na przykład niegazowaną się nie mogę napić, zupełnie jakbym powietrze łykała...
- No to wiemy już, co pić, a jeszcze chciałabym sporządzić coś

w rodzaju listy pokarmów, które mają korzystny wpływ na cerę. Obok podamy, jakie zawierają witaminy i mikroelementy.

- Dobry pomysł, będzie bardziej przejrzyste. Wymienimy tam dużo zdrowych rzeczy i pokażemy, że to same pyszności: szpinak, orzechy, ryby, kasza, rodzynki, owoce, owoce morza... albo nie, owoce morza nie, ja nie lubię. Zapisała pani?

- Zapisałam: nie lubi pani. A taki na przykład szpinak co zawiera?

- Niech pani pisze. „Odpowiadam: nie wiem”, zapisała pani? „Odpowiadam: nie wiem, ale się dowiem”, to znaczy sprawdzę w domu, jakie witaminy zawiera szpinak i podyktuję pani przez telefon, dobrze? Inne produkty też.

- Dobrze pani profesor, będę czekała na telefon.

Pani profesor nie bez powodu jest ulubienicą wszystkich dziennikarzy - dzwoni do mnie na komórkę w środku nocy i dyktuje, a ja wypełniam luki w notatkach. Co za poświęcenie - endemiczny gatunek człowieka. Następnym razem też ją poproszę o ekspertyzę.

*

Co może lekarz dermatolog? Lekarz dermatolog może nam: wymienić skórę twarzy na nową, wyleczyć pryszcze, wygładzić zmarszczki, trwale (to znaczy na jakieś dwa tygodnie) usunąć owłosienie (z ciała), a na koniec jeszcze pozamykać naczynek. Po czymś takim wygląda się bardziej estetycznie, stąd nazwa - dermatologia estetyczna. Dermatolog estetyczny, jak sama nazwa wskazuje, stanowi widok miły dla oka. Niestety, nie zawsze dla ucha.

Dla potrzeb kolejnego tekstu spotykam się z wyjątkowo estetyczną panią doktor w znanej restauracji. Zamawiamy po soku (a niech tam, wiem, że niezdrowo, ale raz się żyje), rozkładamy na stoliku swoje papiery i zaczynamy rozmowę. Tematem jest trądzik.

Chcę wiedzieć wszystko: przyczyny, objawy, sposoby leczenia. Pani doktor bierze solidny łyk soku i opowiada z przejęciem:

- Mamy różne rodzaje trądziku: pospolity, różowaty, polekowy, dermatoza okołoustna... Wszystkie są bardzo widocznym, a przez to dotkliwym defektem kosmetycznym, wywołują różnego rodzaju problemy psychiczne. Przychodzą do mnie młode dziewczyny z poważnymi zmianami na twarzy, załamane, zrozpaczone. Twierdzą, że używały już wszystkiego, przynoszą całe torby kosmetyków, kremów dla nastolatków...

- No właśnie, czy kosmetyki są w takich przypadkach skuteczne?

- Ależ skąd, przecież one nie leczą, tylko pielęgnują. Czasem wręcz szkodzą, bo przesuszają cerę. Nie mówiąc o tym, że często kosmetyki wywołują tak zwany trądzik kosmetyczny. Na przykład pudry czy fluidy mogą zatykać ujścia gruczołów potowych i łojowych. Powstają wtedy zaskórniki i prosaki...

Restauracja, w której siedzimy z panią doktor, powoli się zapełnia; zbliża się pora lunchu. Przy sąsiednim stoliku dwóch biznesmenów już zabiera się do przekąsek. Inny stolik okupują rozszczebiotane przyjaciółki. Właśnie wybierają dania z karty, kelner poleca sałatki.

- Trądzik jest chorobą skóry, która może mieć wiele objawów - kontynuuje pani doktor. - Zmiany zapalne, popularnie zwane pryszczami, to miejsca zaczerwienione i bolesne przy dotyku, zaskórniki i wągry są niebolesne, wyglądają jak małe ciemne punkty...

Pani doktor przejęta mówi coraz głośniejszym głosem. W restauracji jest trochę gwaro, a moja rozmówczyni chce, żebym wszystko dobrze rozumiała.

- Łój z gruczołów łojowych wydzielany jest do mieszków włosowych. Kiedy nie mamy problemów ze skórą, łój wypływa sobie swobodnie...

Teraz mam wrażenie, że odgłosy dochodzące z innych stolików jakby cichną, milkną nawet gadatliwe przyjaciółki. Muzyka też. Nad wszystkim dominuje teraz głos specjalisty.

- Bywa jednak, że łożu jest za dużo albo ujście mieszka zmniejsza się w wyniku nadmiernego rogowacenia i zostaje zacopowane. W zatkanym kanaliku gromadzą się bakterie beztlenowe, wywołując stan zapalny, tak powstają krosty. Najgorsze, co możemy wtedy zrobić, to zacząć taką krostę wyciskać...

Teraz już niemal czuję w powietrzu napięcie. Goście przy innych stolikach przestali jeść, odłożyli sztucce i czekają.

- Po naciśnięciu pryszczu wydobywa się z niego...
- O Boże! - Jeden z biznesmenów zrywa się z krzesła i patrzy na nas w napięciu. Błyskawicznie pojawia się kelner.
- Rachuneczek dla pań.

Koniec wywiadu, w pośpiechu dopijam soczek - resztę będę musiała sobie dośpiewać w domu, ale zrobię to bez problemu, bo bardzo dużo się dzisiaj dowiedziałam.

Ostra ingerencja w piękno

Istnieje taki obszar działania dziennikarek urodowych, na którym przysłowiowy pies musi przełamać psychiczne opory wobec jeża: chirurgia plastyczna. Nie sposób przecież zachować pozorów wiarygodności, pisząc, że najskuteczniejszym środkiem odmładzającym jest krem przeciwzmarszczkowy. Rozmaite badania fokusowe dowodzą, że czytelniczki mamy bardzo wymagające i dociekliwe. Żeby gazeta była dla nich atrakcyjna, musimy przynajmniej od czasu do czasu zdobyć się na szczerłość, choćby taką, że nawet najlepszy krem Korala nie jest skuteczniejszy od skalpela. Na szczęście specjalistki od urody w zetknięciu z dziedziną nieco bardziej ścisłą niż dobry żel do włosów nie panikują. Co więcej, odnajdują wiele podobieństw. Medycyna w służbie urody to nie przelewki - zarówno chirurg, jak i pisząca o chirurgii mylą się tylko raz. Jedna źle podana cena i redakcja zostanie zasypana listami oburzonych albo zaciekawionych czytelniczek. Jednak o ile istnieją kobiety, które mają w nosie, czym różni się fluid od mleczka, żadnej nie jest obojętne to, kto wiedzie prym wśród krajowych specjalistów od skalpela. Chcą wiedzieć co, gdzie i za ile mogą sobie polepszyć. Tak na wszelki wypadek, na przyszłość, gdyby przyszłość okazała się niezbyt łaskawa. Jeśli chcemy, żeby gazeta była naprawdę dobra, najlepsza, musimy naszym czytelniczkom tę wiedzę dostarczyć, i to na najwyższym poziomie.

Ceny się zmieniają, ale ci sami eksperci są na łamach gazet od lat wcale nie dlatego, że są mistrzami w swojej profesji. W tak

skomplikowanej materii jak chirurgia plastyczna znalezienie kogoś, kto potrafi opowiadać o swojej pracy w sposób przystępny, graniczy z cudem. A skoro się raz udało, to nie warto ryzykować.

Nawet jeśli plastyczny - chirurg to jednak chirurg, lekarz, człowiek uczony, inteligentny, dociekliwy, a co za tym idzie, trudny rozmówca. W urodowej dziedzinie bodaj najtrudniejszy. Do wywiadu z lekarzem trzeba się dobrze przygotować, żeby nie świecić oczami, gdy zada poważniejsze pytanie. Na przykład: „O czym piszecie w waszej gazecie?”. Trzeba mieć jakąś ideę, wizję całości, opinię. Wizyta w archiwum i przejrzenie kilku ostatnich numerów bardzo pomaga. Można potem zaimponować znajomością układu gazety. Albo tego, kto gościł ostatnio na okładce.

Do przeprowadzenia wywiadu niezbędny jest też dyktafon. Notowanie w tym wypadku często zawodzi - terminy medyczne mogą powodować dłuższe przestoje. Kolejną ważną sprawą jest wygląd, zwłaszcza odpowiedni strój. To, co nosimy na co dzień, czyli styl dzidzia piernik albo *vintage* przemieszany z hard rockiem z całą pewnością wywoła niepotrzebny dysonans między powszechnym wśród lekarzy wyobrażeniem żurnalisty a rzeczywistością. Polecam raczej coś z klasyki: tweedowy kostium, cieliste rajstopy. Boli, ale sytuacja jest wyjątkowa.

Odpowiednio ubrana i wyedukowana udaję się na spotkanie, z duszą na ramieniu.

Zaraz po powitaniu, tuż przed rozpoczęciem rozmowy, uprzedzam pana doktora Szczygielskiego, że będę zadawała pytania proste, bo język naszego pisma ma być z założenia nieskomplikowany. Tym samym uprzedzam rozmówcę, że czasem może usłyszeć coś, co lekko go porazi, logiką oczywiście. Kiedy przytaknie, robię próbę: „Raz, dwa trzy” i włączam dyktafon albo odwrotnie.

Na pierwszy ogień dla rozgrzania atmosfery rzucam wędkę:

- Czy wie pan, że niemal sto procent kobiet w Polsce deklaruje, że nigdy nie zrobi sobie operacji plastycznej?

W ten sposób od razu spycham lekarza na pozycję defensywną - musi uzasadniać powody istnienia jego profesji. Przy okazji będzie się wspierał badaniami, podawał liczby i statystyki, a to wszystko powinno znaleźć się w dobrym tekście. Gdybym miała odpowiednio dużo czasu przed wywiadem, to powinnam pokusić się o znalezienie takich danych samodzielnie, ale potrzebowałam tego czasu na dobranie rajstop do garsonki.

Zależy mi na zgromadzeniu dość dużej puli anegdotek, którymi okraszę w przyszłości artykuł. Pytanie numer dwa brzmi zatem:

- Czy to prawda, że implanty piersi wybuchają w samolocie?

Niezależnie od tego, jaka jest prawda, żaden chirurg nie odpowie twierdząco, bo to by oznaczało nadwyżkę implantów w jego gabinetowej szafce. Zgodnie z przewidywaniem doktor Szczygielski dowodzi, że to zwykła bujda, że nie udowodniono ani jednego takiego przypadku. Coś tam nawet burczy o dziennikarzach żadnych sensacji, ale udaję, że nie słyszałam.

Pytanie numer trzy:

- Jakie kobiety przychodzą do pańskiego gabinetu?

Odpowiedź zgodnie z przewidywaniami: wspaniałe, cudowne, otwarte, nowoczesne, aktywnie walczące z oznakami mijającego czasu. Jeśli coś może im pomóc, to dlaczego z tego nie skorzystać. O ile mają odpowiednie środki.

- No właśnie, jakie są orientacyjne ceny operacji tego, tego i tego?

Tu doktor Szczygielski troszkę się miesza, mówi, że tym zajmuje się jego sekretariat. Przyparty do muru, podaje jednak ceny,

wielozerowe. Profesjonalizm wymaga ode mnie zachowania zimnej krwi. Dla dodania sobie animuszu mówię nawet, że spodziewałam się wyższych. Doktor wyraźnie oddycha z ulgą, więc pytam dalej.

- Co kobieta może sobie zoperować?

Wreszcie mój chirurg jest w swoim żywiole. Jak sama nazwa wskazuje, to człowiek uzdolniony plastycznie, toteż łapie kartkę i zaczyna na niej rysować rzeczy straszne. Jakie szczęście, że nie zdążyłam zjeść śniadania. Doktor Szczygielski najpierw kreśli kobietę - całkiem udatnie. Potem czerwonym flamastrem, jak skalpelem, tnije ją na drobne kawałeczki, tu i ówdzie zaznaczając, gdzie będą ukryte cięcia: za uszami, pod brodą, piersiami, dziurki na udach.

- Czy to boli? - Następne pytanie przychodzi mi całkiem naturalnie.

- Nie boli, bo cała operacja przebiega w znieczuleniu.

- A potem?

- Okres rekonwalescencji trwa zwykle około dwóch tygodni. W tym czasie trzeba nosić specjalne uciskowe opaski w miejscach operowanych. Dlatego operację najlepiej zrobić w miesiącach jesiennych albo zimowych, bo wtedy najłatwiej ukryć opatrunki pod ubraniem.

Automatycznie obciążam spódnicę.

- Dlaczego efekty operacji plastycznych, chodzi mi głównie o te w obrębie twarzy i piersi, są tak bardzo widoczne, nienaturalne?

- To wina klientek. Jak już się zdecydują na operację, to chcą wszystko zrobić na zapas, na przykład piersi na wszelki wypadek dwa numery większe niż potrzeba, nos cienki i zadarty. My, lekarze, odradzamy im to, proponujemy rozwiązania kompromisowe, ale klientki i tak wiedzą swoje. Nie ma na to rady.

Nawet ostatnia odpowiedź nie jest w stanie przekonać mnie do operacji. Z wywiadu z chirurgiem wychodzę na miękkich nogach i z

mocnym postanowieniem, że nigdy, przenigdy nie poddam się takiemu zabiegowi. Ale służba nie drużba i już w redakcji z entuzjazmem opisuję, czego to się dowiedziałam od doktora Szczygielskiego, piejąc nad skutecznością nowoczesnej medycyny w służbie urody. Taka robota.

Wenus na salonach

Czytelniczki, o które tak zaciekle teraz walczymy, lubią wiedzieć (i tego chciałyby się dowiedzieć z naszego pisma), jak to jest być w gabinecie kosmetycznym, ale niekoniecznie chcą to ryzyko podejmować same. Dlatego leżę teraz dla nich w wannie wypełnionej cuchnącą zieloną mazią, a Olgierd (tak, tak, nie kto inny tylko właśnie on został oddelegowany do tego zadania, ku mojemu przerażeniu) klęczy nade mną okrakiem (kolana na brzegach wanny) i reguluje aparat. Czekam cierpliwie. Jedna, dwie foty i zmieniamy plan. Robimy temat „Wszystkie zabiegi salonu Venus”. Z braku profesjonalistek chętnych do poświęceń ja robię za modelkę.

Gdyby chodziło o całodniową sesję fotograficzną, to nie byłoby problemu, ale my mamy tylko kilka godzin na wszystko, bo potem klientki przychodzą na zabiegi. Na jedno ujęcie wypada akurat tyle czasu, że mogę wygrzebać się z błota, wskoczyć pod prysznic i truchtem biegnę do drugiego pokoju. Kładę się w czymś, co wygląda jak wielkie solarium, zamykam klapę i wołam Olgierda. Fotografuje moją głowę wystającą z maszyny. Tym razem zadanie jest proste. Muszę mieć tylko błogą minę.

Następny zabieg wymaga pomocy kosmetyczki, która smaruje mnie grubą warstwą szarej papki. Na zdjęciach wypada to jak korpus mieszkańca Pompei.

- O, to będzie super! - Olgierd jest pełen entuzjazmu.

Potem szare zostaje posypane grubą solą i wygląda jeszcze lepiej (zdaniem fotografa).

Przechodzimy do masażu. Mam nadzieję, że przynajmniej na tym skorzystam i trochę się zrelaksuję. Ale na ostatnie ujęcia zostaje już tylko kilka minut. Leżę na brzuchu z ręcznikiem na plecach, a masażysta udaje, że masuje. Nie o masaż przecież chodzi, tylko o to, żeby ręce masującego ładnie się komponowały z całością. Olgierd gra profesjonalistę, jest wybredny. Masażysta już skarży się na ból nadgarstków, a jeszcze mnie nawet nie dotknął. Po ostatnim błysku flesza z ulgą przerywa taniec rękami i roluje ręcznik. Fajrant! Przetestowałam na sobie wszystkie zabiegi salonu Wenus. Czytelniczki powinny być usatysfakcjonowane.

*

Każdy lubi zobaczyć swoją twarz w gazecie - kobiety, które kupują „Cud na Twarz” też. Mamy taką możliwość, pozwólmy im - tak pani Malina uzasadnia potrzebę pokazywania na łamach „zwykłych” kobiet. Pomysł wydaje się niegłupi. Nawet jeśli materiał będzie kompletną kłapą, jest szansa, że rodzina takiej szczęściary wykupi pół nakładu. Poza tym jak to obniża koszty - profesjonalne modelki kosztują majątek, a tu mamy dziewczynę za darmo.

Do salonu kosmetycznego wkracza bohaterka reportażu „Nastolatka w gabinecie” - Krysia.

- Cześć, jestem Krysia, koleżanka powiedziała mi, że mam się tutaj zgłosić, że jakieś zdjęcia mi będziecie robili, nie wiem nawet, co to za gazeta...

- Witaj, Krysio, wejdź, proszę. Pani kosmetyczka zaraz się tobą zajmie, a my sobie rozstawimy sprzęt. Nie znasz naszego pisma? - zagajam.

- E, nie, ja raczej gazet nie czytam, zdałam na studia, nie mam czasu.

- Słusznie, studia najważniejsze. Ale powiesz nam kilka słów już po zdjęciach o tym, jak ci się podobał zabieg?

- No, jak coś będę wiedziała, to powiem.

- A, no to świetnie, rozbieraj się.

Olgierd lustruje modelkę fachowym okiem.

- Nieźle, tylko, kochana, rajstopki też zdejmij.
 - O nie - protestuje Krysia. - Rajstop nie ruszę, bo mam straszne siniaki, byłam wczoraj na rowerze.
 - Nie przesadzaj, kochana, od czego jest pani makijażystka, wszystko ci pięknie przypudruje, nic nie będzie widać. Pokaż.
- Krysia posłusznie pokazuje nogi.
- Wiesz, rzeczywiście lepiej zostań w rajstopach, wyczyści się je na komputerze.

Dziewczyna jest wdzięczną modelką, ze zdjęciami idzie nam raz-dwa. Gorzej z opisem. W czasie sesji nie było można pytać, Olgierd krzychał, że go rozpraszam. Jak jest już po wszystkim, to Krysia pamięta tylko tyle, że było fajnie. Tekstu z tego nie ukręcę, a do reportażu cały zabieg ma być przecież opisany w najdrobniejszych szczegółach. Cała ekipa idzie do domu, a ja zostaję i ładuję na kozetce (w rajstopach). Nie ma rady, muszę sprawdzić na własnej skórze.

*

Po kilku tygodniach intensywnych zabiegów i spotkań z ekspertami od urody mam wrażenie, że boli mnie każdy mięsień. Przydałby mi się jakiś zabieg, ale taki prawdziwy, od początku do końca tylko dla mnie.

Przeglądam z nadzieją moje pudło z zaproszeniami i... jest! Zaproszenie na kompletną odnowę biologiczną „bez zobowiązań”. Elegancko wydrukowane, imienne, oczywiście gratisowe. Do nowo otwartego luksusowego salonu Lux. To będzie raj - rozmarzam się - oddać ciało w dobre ręce, zrelaksować się, jak piszemy w takich wypadkach, „aż po czubki palców”. Natychmiast dzwonię do salonu Lux, żeby potwierdzić swoją obecność. Właścicielka salonu jest wniebowzięta.

- Wspaniale, to już będziecie panie we dwie z redakcji. Wszystko będzie przygotowane, zapraszam na sobotę.

Świetnie, pewnie Hania albo Ala też dostały zaproszenie. Razem zawsze różniej.

Sama właścicielka salonu wychodzi mi otworzyć, kiedy dzwonię domofonem.

- Dzisiaj jest taki nietypowy dzień, będziecie panie tylko we dwie, a ja będę wam robiła zabiegi.

Naprawdę bardzo to miło z jej strony, zapowiada się sympatyczne popołudnie. Przebieram się w króciutki szlafroczek i na bosaka biegnę za moją przewodniczką. Prowadzi mnie do białego pokoju z kozetką, tylko jedną. Przez chwilę niepokoję się, że będę musiała czekać w tym stroju na swoją kolej, ale nie. Kosmetyczka rozsuwa lnianą zasłonę, ujawniając istnienie jeszcze jednego łóżka. Leży na nim jakaś biała postać z twarzą nierozpoznawalną pod grubą warstwą białej mazi.

- Cześć - rzucam w jej kierunku.

- Buhu - odpowiada biała postać.

Ala, Hanka, może Ela? Nie mogę za nic poznać ani po głosie, ani po wyglądzie.

Zabiegi na twarz z reguły są bardzo przyjemne. Gdy tak leżę z zamkniętymi oczami, jedyną rzeczą, o jakiej muszę myśleć, jest to, że gdybym zasnęła, to wszystkie te wonne mikstury wciekną mi do nosa i ust. Walczę ze snem, ale zarówno relaksująca muzyka, jak i przytłumione odgłosy rozmów zza ściany działają jak tabletki nasenna.

- Kabina parowa już się rozgrzała, więc teraz rozbierzemy się - słyszę głos właścicielki salonu.

Posłusznie zdejmuję szlafroczek.

- Proszę za mną!

Kosmetyczka rozsuwa drzwi i moim oczom ukazuje się... pani Malina, jak ją Pan Bóg stworzył. Stoimy naprzeciwko siebie jak jacyś kowboje na Dzikim Zachodzie, tyle że oni mieli przynajmniej takie skórzane ochraniacze na spodnie, a ja co? Sytuacja jest idiotyczna. Co mnie podkusiło, żeby nie sprawdzić, kto jeszcze potwierdził wizytę w salonie.

Obie z naczelną staramy się nie patrzeć sobie w oczy, ale fakt, że jesteśmy gołe, nie ułatwia nam zadania, bo gdzie niby mamy patrzeć?

- Jak tam, pani Asiu? - Pani Malina pierwsza przerywa krępując milczenie.

- Bardzo przyjemnie - kłamię.
- Co teraz pani będą robili?
- Czekam na przejście do kabiny parowej.
- Aha, ja też.

I wtedy ją dostrzegam: kabina parowa, czyli zwyczajny prysznic, taki jaki mam w domu, na oko dziewięćdziesiąt centymetrów średnicy brodzika. Standard.

- Chyba mają tu jeszcze drugi? - Pani Malina też już zauważyła ten cud techniki.

Nie mają. Szefowa luksusowego zakładu wskazuje ręką kabinę w kącie i zachęca:

- Zapraszam panie do środka, na godzinkę.

Teraz już wiem, że nic nie działa skuteczniej na ocieplenie stosunków w relacji służbowej niż sześćdziesiąt minut spędzonych z szefową ramię w ramię, kolano przy kolanie, w stroju adamowym (nie licząc plastikowego czepka) w kabinie wypełnionej kłębami pary. Żadne wyjazdy służbowe, nagrody, premie i awanse. Specjaliści od zarządzania personelem powinni to sobie wziąć do serca. Wiem, co mówię. To jakby wspólne przejście na drugą stronę. Totalna symbioza, jedność i kooperacja w najczystszej postaci. Wiadomo, w sytuacjach ekstremalnych ujawniają się najlepsze cechy człowieka.

Współpraca:

- Zabroniła otwierać drzwi, ale ja już nie wytrzymam, duszę się - jęczę.

- Przetrzyj szybę i sprawdź, czy patrzy, a ja wpuszczę trochę powietrza.

Czy ja się nie przesłyszałam przypadkiem? Pani Malina właśnie przeszła ze mną na ty!!!

- Okej, tak zrobimy. Teeraz - komenderuję, a naczelna rozsuwa odrobinę drzwi.

Bezinteresowność:

- Wreszcie łatwiej oddychać i widać też lepiej. Ładny masz lakier na paznokciach u nóg - chwali naczelną.

- Dziękuję, mam jeszcze jeden taki, przyniosę go pani w poniedziałek, jak stąd wyjdziemy żywe.

- Daj spokój z tą panią, po prostu Malina.

Jednak się nie przesłyszałam.

Zaangażowanie i gotowość do poświęceń:

- Myślisz, że jest tu jakieś pokrętle, żeby obniżyć temperaturę?

- Coś tu wymacałam, ale trochę się boję przekręcić, żeby nie było gorzej...

- Trudno, musimy zaryzykować, stańmy bliżej drzwi.

- Przekręciłam, i jak, czujesz coś?

- Czekaj, chyba czuję, jest jakby bardziej...

- Gorącoooooo!!! Ueee, aaaa nie mogę zakręcić, ręce mi się ślizgają.

- Mnie też, a te cholerne drzwi nie mają klamki od środka! Odkręcaj, odkręcaj!

- Dobra, zakręciłam. Udało się.

- Ufff!

Gotowość do szczerych rozmów i empatia:

- Ale się zmęczyłam, tu są takie plastikowe ławeczki w ścianie, chodź sobie posiedzimy i pogadamy, nie wypuszczą nas przed czasem.

- Świetny pomysł.

Para powoli rzędzie i robi się całkiem przyjemnie.

- Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś o mnie wiedzieć? Nie krępuj się, pytaj śmiało, nie mam nic do ukrycia - chichocze Malina.

- Obiecuję, że nic, co widziałam, nie opuści tych czterech ścian - deklaruje i też wybucha panicznym śmiechem. Śmiejemy się tak, że kiedy szefowa salonu piękności otwiera wreszcieabinę, obie nie mamy siły, żeby z niej wyjść.

Trudne pytania

„Interakcje z czytelnikami” to ostatni punkt naszego Planu Priorytetów. Dotąd nie przywiązywaliśmy wielkiej wagi do kontaktów ze światem zewnętrznym, ale skoro od tego może zależeć nasza przyszłość... Na stronie www naszej gazety jest informacja, że: „Wszelkie pytania i opinie prosimy wysłać na adres czekajtata@lata.com”. Redakcyjna poczta jak w każdej gazecie działa jednokierunkowo: do wewnątrz. Czytać trzeba uważnie - nigdzie nie jest napisane, że odpowiadamy na listy, prawda? Bo nie odpowiadamy, nigdy.

Dlaczego? Wszystkiemu winien postęp w dziedzinie technik przesyłania informacji. Łatwo to sobie wyobrazić. Przed wiekami wysyłało się dyliżans albo umyślnego, który dziesięć razy zmieniał konie i zajazdy, nim dotarł do adresata. Gdyby po takiej akcji nie doczekał się odpowiedzi, prawdopodobnie sprawa oparłaby się o sąd. W najlepszym razie zawiedziony nadawca wysłałby drugi dyliżans z silniejszą grupą umyślnych, aby nauczili delikwenta, jak się odpowiada na korespondencję i na czym polega działanie poczty.

W dobie Internetu to nie takie proste. Każdy może wysłać e-maila jednym naciśnięciem klawisza. Nie trzeba biec po znaczek, perfumować papieru, zużywać kilku kartek na przepisywanie całości „pod linijkę”. Wysilek jest nieporównywalnie mniejszy, ale skuteczność niestety też i trzeba się z tym pogodzić.

Większość gazet umieszcza w okolicach tak zwanej stopki formułkę: „Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca”.

Moim zdaniem powinien tam być również dopisek, że odpowiedzi na niezamówione e-maile i listy również nie”. Bez takiej informacji czytelnicy dopytują się głupio, szukają, wysyłają ponaglenia. Tymczasem im więcej pytań, tym mniejsza szansa, że adresat, czyli redakcja, zechce się do nich ustosunkować. To jest bardzo ważna zasada, którą trzeba brać pod uwagę, nawiązując korespondencję: jak najmniej presji! Nikt nie lubi, gdy się go stawia pod ścianą.

*

Mimo że jest już prawie południe naczelna jeszcze nie przyszła do pracy, więc Wandzia pokazuje mi list od czytelniczki.

On 10.06.2008, Adrianna Guzdała wrote:

Szanowna Redakcjo!

Przeszło cztery miesiące czekam na odpowiedź na mail, który wysłałam 02.02.2008 w sprawie ceny kremu, który pokazaliście na str. 28 (nie podaliście, są tam tylko jakieś takie znaczki XXX). Po raz kolejny (piąty) proszę o wyjaśnienie. Jednocześnie informuję, że w poniedziałek, jak nie dostanę odpowiedzi, to wyślę to jeszcze raz. Tylko dodam: ponieważ nie dostałam odpowiedzi na mój mail z dnia 09.06.2008, pozwalam sobie jeszcze raz do Państwa napisać.

I dalej treść jak wyżej. I tak do skutku.

Wandzia zwykle wyrzucała takie listy do kosza, ale teraz i ona chce mieć swój wkład w ratowanie „Cudu na Twarz”.

- Patrz, co odpisałam. - Sadza mnie przed swoim komputerem.

Środa, 19.12 2009, odpowiedź redakcji:

Szanowna Pani!

Odpowiedzi na skierowane do nas pytania prosimy szukać w naszej gazecie, do lektury której serdecznie zachęcamy. Informacji o

prenumeracie udziela Dział Prenumeraty, tel. ...

Z wyrazami sympatii.

Zespół

- Myślisz, że dobrze, nie obrazi się? - Troska o czytelnika przepełnia teraz nas wszystkich.

- A skąd, świetnie napisane - chwale.

Dumna z siebie Wandzia wciska przycisk „wyślij” i jej dzieło szybuje do adresatki. W tym momencie widzę, że do skrzynki pocztowej asystentki naczelnej przychodzi e-mail. Od: Prezes, temat: „Proszę natychmiast zwołać zebranie”.

- Chyba nie muszę odpowiadać? - pyta Wandzia pobielającymi wargami.

Prezes tym razem wygląda na przybitego, ma jakieś dziwne wy pieki na twarzy. Stoimy smutni, ze zbolałymi minami, nawet Andrzej nie małpuje, tylko nerwowo obgryza paznokcie.

- No nic, co się odwlecze, to nie uciecze, kiedyś to i tak musiało nastąpić - szepcze Ala. - Otworzę sobie studio zakładania tipsów albo lepiej... salon kompleksowej odnowy włosów.

Prezes ucisza szmery machnięciem ręki i pyta:

- Wolicie naokoło czy prosto z mostu?

- Prosto z mostu - skandujemy ponuro.

- Kończ waść - cedzi Andrzej, wypluwając kawałek paznokcia.

- Wasza naczelna złożyła rezygnację.

- Jak to, jak? Jak to możliwe?! - mamroczeni zszokowani.

- Przyznaję, że ostatnio troszkę przykręciliśmy śrubę - ciągnie prezes. - Wyniki sprzedaży nie są optymistyczne, ale miałem nadzieję, że wspólnie zdołamy wyjść z zapaści. Z przykrością muszę stwierdzić, że pani Malina nie chciała podjąć tego wyzwania. Tym bardziej to przykre, że byliśmy bardzo zadowoleni z jej pracy. No

cóż, szkoda. Zresztą, o ile wiem, dostała już jakąś propozycję.

Prezes coś tam jeszcze mówi, ale kto by go słuchał. Wszyscy zachowują się jak pijani, ze szczęścia. O pracy nie ma mowy. Zresztą kto by pracował, skoro mamy bezkrólewie!

- Ale numer, złożyła wymówienie!
- Kto złożył? - Paweł nie rozumie moich skrótów myślowych.
- Naczelną! Wyobrażasz sobie?
- Wyobrażam, i co z tego? Możesz mówić trochę głośniej?
- Nie mogę, mówię z toalety. Jak to co z tego, to pierwszorzędną informacją! Myśleliśmy, że zamkną gazetę, a tu taki numer!
- Nie chciałbym cię sprowadzać na ziemię, ale zdaje się, że ta pani Malina chciała ci dać etat. Jak jej nie będzie, to chyba nic z tego, tak? Siedzisz w tym „Cudzie” już od roku, rzeczywiście masz się z czego cieszyć...

Paweł ma rację, moja sytuacja wygląda niewesoło. Jak się tak zastanowić, to teraz dopiero się zacznie: przyjdzie nowa naczelną i będzie trzeba wszystko zaczynać od początku. Masakra.

Reszta zespołu otwiera w gabinecie naczelną szampana i ryczy z radości, a ja w toalecie pogrążam się w czarnych myślach. Co robić w tej sytuacji?

- Moje zdanie znasz, ja bym chciał, żebyś przyjechała do mnie do Londynu - mówi Paweł. - Bardzo mi ciebie brakuje...
- Poczekaj... - Ktoś chyba próbuje się do mnie dodzwonić. - Muszę kończyć! - Rozłączam się.

*

Próbuję odsłuchać sekretarkę. To niełatwe, ponieważ przez pomyłkę mój numer figuruje w jakichś spisach jako telefon do wydawnictwa książkowego.

Ktoś z uporem maniaka nagrywa mi codziennie następujące wiadomości: Zamawiam trzydzieści dwa „Kubusie Puchatki”, osiemdziesiąt siedem „Pamiętników Anais Nin”, dwadzieścia sześć „Autoportretów reportera” Kapuścińskiego, sto pięć „Hebanów” tego samego autora, czternaście „Krain Chichów” Carrolla, dwadzieścia „Cesarskich pokerów” Łysiaka, pięćdziesiąt siedem „Moich drogich B.” Jandy, sześćdziesiąt dwa „Domy na Sekwanie” Whartona... - I tak przez dobry kwadrans. Żeby to wszystko skasować, muszę najpierw wysłuchać, nie ma innej możliwości.

W przystępie rozpaczy nagrałam na sekretarce takie powitanie: „Szanowni państwo, to nie jest wydawnictwo książkowe, proszę nie nagrywać zamówień, to jest mój telefon prywatny, a ja nie mam nic wspólnego z książkami - nie piszę, nie wydaję - szkoda państwa czasu”.

Ale gdzie tam, skrzynka znów jest pełna zamówień. Słucham i kasuję po kolei: dwadzieścia siedem poradników do nauki suahili, sześćdziesiąt siedem „Bożych igrzysk” Normana Davisa, dwieście „Kodów Leonarda da Vinci”, trzydzieści „Aniołów i demonów”, sześćdziesiąt sztuk „Juwenaliów” Tuwima, czterdzieści „Zezowatych szczęść”, czterdzieści „Wojen polsko-ruskich” Masłowskiej, siedemdziesiąt jeden „Opowieści” Karen Blixen...

Na samym końcu jest coś jeszcze. Zaraz, co to było? Muszę odsłuchać jeszcze raz. - Cztery razy „Pan Kotek był chory” ... - Nie, to nie to. O, mam:

- Przyjdiesz, kotek... do mnie do pracy? - Uszom własnym nie wierzę, to pani Malina! - Dam ci etat i dwa razy więcej, niż teraz zarabiasz, oczywiście to tajemnica, więc ciiii... Skontaktuj się ze mną, jak cię to interesuje. Paaa.